



ALFRED SIATECKI

TRZECI KLUCZ DO BRAMY

TRZECI KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA



ZIELONA GÓRA 2011

**Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze**

ALFRED SIATECKI
**TRZECI KLUCZ
DO BRAMY**

**ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA**

Zielona Góra 2011

Copyright © Alfred Siatecki
Copyright © Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Projekt okładki
Igor Myszkiewicz

Redakcja
Małgorzata Zielińska

Skład
Emilia Ćwilińska

Zdjęcie autora na okładce
Leopold Dunajewski



Zrealizowano przy pomocy finansowej
Miasta Zielona Góra

ISBN 978-83-88426-65-0

Wydanie I Zielona Góra 2011

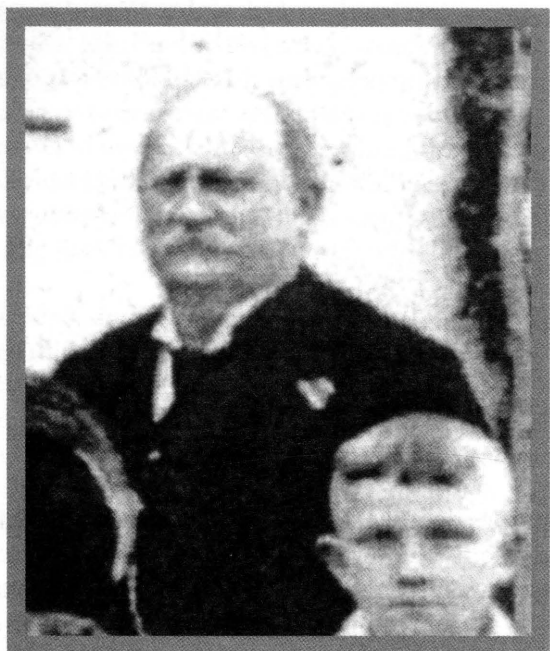
Wydawca
Muzeum Ziemi Lubuskiej
al. Niepodległości 15, 65-048 Zielona Góra
tel. 68 327 23 45, faks 68 324 65 61
www.mzl.zgora.pl, e-mail: muzeum@man.zgora.pl

Druk i oprawa
„LIGATURA”
ul. Sulechowska 4 a, 65-119 Zielona Góra

Uważam, że Środkowe Nadodrze jest regionem. Geograficznie wiąże je oś Nysy i Odry, politycznie pas nadgraniczny. Historycznie większość regionu stanowią były niemieckie *Ostgebiete*, po których otrzymaliśmy w spadku znaczne zasoby kulturowe, ale także infrastrukturę techniczną (drogi, sieć kolejową) zorientowaną ku zachodowi.

prof. dr hab. Marian Eckert,
Studia Zielonogórskie 1997





*Felix Hobus – fotografia z „Nadwarciańskiego
Rocznika Historyczno-Archiwalnego” 1999, nr 6, tom 2*

Felix Gottfried Ferdinand Hobus

Urodził się 26 stycznia 1866 w Schlawe (pol. Sławno), zmarł 1 lutego 1941 r. w Dechsel (pol. Deszczno). Ukończył studia teologiczne w Gryfii (pol. Greifswald) i Berlinie. W 1903 r. został pastorem w Dechsel. Amatorsko zajmował się archeologią. Jego największym odkryciem było znalezienie figurki sprzed 2,5 tys. lat, należącej do cywilizacji łużyckiej. W swoim domu zgromadził pokaźną kolekcję przedmiotów z czasów przedhistorycznych. Po jego śmierci zbiór przejęły muzea berlińskie, kilka eksponatów trafiło do muzeum w Landsbergu (pol. Gorzów). W 1945 r. berlińska kolekcja uległa rozproszeniu. Jest autorem wielu opracowań z zakresu archeologii.

BOGINI z DESZCZNA

**Rozmowa z pastorem Feliksem Hobusem,
archeologiem z zamięłowania**

– Gdyby Pastor nie zosatał duchownym, to byłby kim?

– Może muzykiem. Nie, pewnie antropologiem albo prawnikiem. A może zawodowym badaczem dawnych dziejów, które pociągały mnie już w gimnazjum w Neustettin (pol. Szczecinek). Jako gimnazjalista podpatrywałem historyków, od świtu do zmierzchu przeszukujących okolice jezior w pobliżu miasta. Znalezione tam fantastyczne przedmioty układali w pobliskiej szopie i odpowiadali nam, gimnazjalistom, nawet na najgłupsze pytania.

– Mimo to absolwent sławnego szczecineckiego gimnazjum wybrał teologię na prowincjonalnym uniwersytecie w Gryfii.

– Protestuję przeciw zaliczeniu tej uczelni do prowincjonalnych. To, mój panie, najbardziej znany, najlepszy uniwersytet w Prusach, położony najbliżej mojego domu. Większość studiujących w tej uczelni pochodziła z ziem nadbałtyckich.

– Do najślawniejszych uniwersytetów w Prusach należała królewiecka Albertyna, uczelnia kształcąca także protestanckich duchownych.

– Mój ojciec uważał, że powinienem studiować na uniwersytecie w Greifswaldzie.

– Nie spytam, dlaczego Pastor wybrał studia teologiczne. A dlaczego z Gryfii, gdzie był najbardziej znany uniwersytet w Prusach, jak Pastor twierdzi, wtedy kandydat do stanu duchownego przeniósł się na uniwersytet berliński.

– Nie ja pierwszy i nie ostatni zmieniłem uczelnię. Taki był zwyczaj w Europie. Wielu moich kolegów z teologii przeniosło się albo do Berlina, albo do Halle, albo aż do Heidelbergu. W największych miastach w pobliżu mego domu, mam na myśli Stettin (pol. Szczecin) i Danzing (pol. Gdańsk) nie było uczelni humanistycznej.

– W Berlinie Ksiądz kontynuował studia teologiczne. Czy może zapisał się też na inne studia jak to było w zwyczaju?

– Berlin jako główne miasto Prus i stolica Niemiec był największym skupiskiem profesorów i szkół wyższych. Profesorowie teologii zachęcali nas, kandydatów na duchownych, abyśmy chodzili na wykłady innych humanistów. W parafiach, do których traficie, mówili, czasem będziecie musieli zastąpić nauczyciela, reagenta, lekarza, a nawet akuszerza. Pastor powinien znać się niemal na wszystkim. Mnie pociągała historia najdawniejsza, z wielką ochotą chodziłem na wykłady młodego wówczas Adolfa Fürtwänglera czy Eduarda Selera, notabene urodzonego w Crossen an der Oder (pol. Krosno Odrzańskie).

– Na koniec XIX wieku przypadają wielkie odkrycia archeologiczne szczególnie w Azji Mniejszej.

– Z pewnością miały one wpływ na moje zainteresowanie starożytnością. Stało się to pod wpływem Carla Humanna, odkrywcy Pergamonu, który wiele fragmentów odkopanych w Bergamie budowlą przewiózł do Berlina. Jednego dnia chciałem być jak Robert Koldwey, badacz Babilonu, drugiego – jak Ernst Curtius, odkrywca Olimpii, trzeciego – jak pochodzący z Schivelbein (pol. Świdwin) Rudolf Virchow, który wyodrębnił cywilizację łużycką. Ale najbardziej chciałem być jak Heinrich Schliemann, poszukiwacz skarbu króla Priama, któremu udało się odkryć mityczną Troję.

– I dlatego współcześni nazwali Pastora Schliemannem dołiny Warty.

– Dla landsberczyków byłem Schliemannem doliny Warty, dla innych, szczególnie dla berlińczyków, Schliemannem Łęgów Warciańskich i Nowej Marchii. Za zasługi dla Brandenburgii, mój panie, dostałem zaszczytny Order Czerwonego Orła.

– **Czy zaraz po ukończeniu studiów i przyjęciu święceń kapłańskich w Berlinie Pastor zamieszkał w Dechsel?**

– Jako wikary przez trzy lata pracowałem w Schönfless (pol. Trzcinisko Zdrój). Sprawdziłem się na tym stanowisku, więc Wielebny Konsystorz przeniósł mnie do Dechsel. Tu miałem pomagać schorowanemu proboszczowi Paulowi Gensichenowi i pod nadzorem tego znakomitego kapłana uczyłem się zarządzania parafią podmiejską.

– **Z dokumentów przechowywanych w gorzowskim archiwum wynika, że mieszkańcem Dechsel został Pastor w 1901 roku. We wspomnieniach opublikowanych wiele lat po drugiej wojnie światowej córka Pastora podała, że miało to miejsce rok wcześniej.**

– Wierzyłbym dokumentom, a nie pamięci mojej Bodildy. Ożeniłem się w 1906 roku z Elszą Wendt, panną pochodzącą z Schänow (Sieniawa Lubuska koło Łagowa). Bodilda przyszła na świat sześć lat po naszym ślubie, gdy Bóg obdarzył nas już synami Andreasem i Feliksem.

– **Rok 1901 zapisał się w biografii Pastora jako bardzo ważny.**

– Mówi pan o odkryciu figurki antropomorficznej, którą nazwałem boginią z Deszczna?

– Właśnie to miałem na myśli.

– Szczęście od Boga. Nagroda za wierną służbę. Nic więcej, mój panie.

– **Raczej zadatek. Figurkę odkrył Pastor przecież na początku swojej posługi w parafii, będąc jeszcze pomocnikiem proboszcza.**

– Słuszne spostrzeżenie.

– Zapiski na temat odkrycia nie są jednoznaczne. Ba, między wierszami padają nawet podejrzenia, że odkrywcą figurki nie był wcale Pastor.

– A kto?

– Woźnica Rudolf Lehmann, który od dziecka znał okolice Deszczna. On odkrył cmentarzysko kultury łużyckiej.

– Nieprawda. Lehmann tylko mi pokazał, jak mówił, dziwne miejsca nad strumykiem Altensorge (pol. Glinik) i w lesie Eichführ (brak polskiej nazwy).

– Dziwne, czyli jakie?

– Ziemia wyglądała tam nienaturalnie, jakby była ubita przez tabun galopujących koni. Z rzadko rosnącymi krzewami i chwastami. Nawet pachniała inaczej.

– Czyżby już kilka miesięcy po zamieszkaniu w pastorówce, jak wynika z dokumentów archiwalnych, albo w pierwszym roku pobytu w Deszcznie, jak podaje córka, rozpoczął Ksiądz badania wykopaliskowe? Z historii parafii wynika, że po zamieszkaniu w Deszcznie rzucił się Pastor w wir pracy duchownej, ale i ogroził cmentarz parafialny, przyłożył rękę do budowy szkół w Deszcznie, Krupczynie i Maszewie, zainicjował rozbiórkę starej świątyni i budowę kościoła w Borku. Regularnie prowadził Ksiądz nabożeństwa w Deszcznie, Brzozowcu, Ciecierzycach i Borku, a po śmierci pastora z Karnina przejął jego obowiązki. Pełnił Pastor urząd inspektora szkolnego, któremu podlegało siedem szkół. Miał żonę i troje dzieci. Gdzie tu czas na badania archeologiczne?

– Stara to prawda, mój panie, że kto chce, ten znajdzie czas na rozwijanie swoich zainteresowań.

– Czyli nie ma krzty prawdy w twierdzeniu, że to woźnica odkrył cmentarzysko kultury łużyckiej?

– Ja, Felix Hobus, jestem tym, który znalazł figurkę. Okoliczności odkrycia i opis tego niezwykle cennego znaleziska szczegółowo przedstawiłem na łamach czasopisma naukowego, przeznaczonego dla historyków.

- Kiedy więc i gdzie natrafił Pastor na figurkę?
- Szczęście dopisało mi 23 września 1901 roku na cmentarzysku kultury łużyckiej. Spod ubitej gliny wyjąłem wtedy wiele przedmiotów o ogromnej wartości historycznej.
- Gdzie było to cmentarzysko?
- Wtedy, w 1901 roku, słabo znałem terytorium parafii. Dokładnie nie pamiętam, czy figurkę znalazłem na wygrzewającym się w je-siennym słońcu wzgórzu Dechesler Berg, czy na pagórku przy dro-dze prowadzącej do Czettritz (pol. Ciecierzycy).
- O których Ciecierzycach Ksiądz mówi? Na początku XX wie-ku były Ciecierzycy Małe i Ciecierzycy Wielkie.
- Może to było na Racherge (Zbójcka Góra koło Glinika).
- A może Ksiądz nie potrafi określić tego miejsca dlatego, że ktoś inny znalazł figurkę, na przykład woźnica Lehmann. I Lehmann zachował się tak, jak nakazały władze: znalezio-ny przedmiot należy oddać policjantowi, nauczycielowi lub pastorowi. Każdy z nich był zobowiązany do powiadomie-nia najbliższego muzeum. Woźnica przyniósł więc figurkę do pastorówki. I dopiero wtedy Pastor zaczął grzebać w miej-scach, które woźnica nazwał dziwnymi.
- Jak pan śmie oskarżać mnie, duchownego, o oszustwo?!
- Dziennikarze opisujący to znalezisko też podają różne miej-sca. Herta Grunow na łamach „Heimatblatt” twierdzi, że fi-gurkę bogini znalazł Pastor „podczas wykopalisk prowadzo-nych koło Santoka”.
- Bzdura.
- Ponieważ nigdy nie określił Pastor dokładnej lokalizacji znaleziska, współcześni historycy przyjęli, że jest to figurka z Deszczna.
- Informując stowarzyszenie antropologiczne w Berlinie, którego byłem członkiem, nazwałem ją boginią z Deszczna. W sprawo-zdaniu zamieszczonym w *Verhandlungen der Berliner Gesellschaft für Anthropologie, Ethnologie und Urgeschichte* napisałem, że figurka stała

w piaszczystej ziemi na głębokości około siedemdziesięciu pięciu centymetrów, odchylona nieco do tyłu, z twarzą zwróconą na zachód. Ze wszystkich stron otaczały ją małe naczynia. W pobliżu stała czarna urna wypełniona spalonymi kośćmi oraz liczne wazy, ustawione w półokrąg otwarty na południe.

– Jak wyglądała figurka?

– Była to gliniana, czarna, cylindryczna bryła wysokości trzydziestu centymetrów, o kształcie człowieczym, zwężona ku głowie przесо-
niętej zwierzecą maską. Otworki w uszach świadczyły o tym, że były w nich kolczyki.

– Z czego zostały zrobione te kolczyki?

– Nie znalazłem kolczyków ani śladów materiału, z którego je wykonano. Przypuszczam, że był to brąz lub żelazo. Prawdopodobnie figurka powstała w warsztacie garncarza żyjącego około 700-550 roku przed naszą erą. Ten czas archeolodzy określają jako początek wczesnej epoki żelaza.

– Czy znajdowały się na niej jakieś ozdoby?

– Całą powierzchnię obiegał geometryczny ornament. Na wysokości szyi linie ornamentu były gęste, wokół tułowia zanikały i pojawiały się dopiero tam, gdzie są stopy. Takie rozmieszczenie ornamentyki świadczyło o tym, że artysta starał się pokazać postać w długiej szacie. Nie wspomniałem jeszcze o jednym elemencie. Postać trzymała przed sobą naczynie ofiarne przeznaczone na jakiś płyn, być może symbolizujący wodę życia.

– O czym to świadczyło?

– Figurka znajdowała się w grobie ciałopalnym. Ten, kto ją tam umieścił, mógł to zrobić w celu... bo ja wiem...

– ...zapewnienia zmarłemu jego ponownego odrodzenia. Tak uważa polski znawca cywilizacji łużyckiej, profesor Bogusław Gediga.

– Mimo że jako duszpasterz ewangelicki należałem do wspólnoty chrześcijańskiej, wiernie i z przekonaniem służyłem mojemu Kościołowi, cenię każdą religię, choćby nawet zaprzeczała istnieniu

Boga Najwyższego. Wiara jest tym, co odróżnia człowieka od zwierzęcia.

– W niedawno wydanej książce o pradziejach Wielkopolski znalazło się zdjęcie bogini z Deszczna. Podpis pod nim informuje, że była to figurka ludności kultury pomorskiej.

– Kultura pomorska jako nazwa archeologiczna dotycząca epoki żelaza nie sięgała do dolnej Warty. Znalezione przeze mnie figurka jest dziełem człowieka należącego do grupy górzyckiej kultury łużyckiej. Potwierdziło to wielu badaczy, wśród nich mój przyjaciel z Berlina, twórca archeologii osadniczej, profesor Gustaf Kossina, którego często gościłem na plebanii.

– Autor *Pradziejów religii w Polsce* profesor Włodzimierz Szafrąński pisze, że figurka znaleziona w Deszcznie nawiązywała swoim kształtem i ornamentami do ceramiki włoskiej z lat 700-550 starej ery, wytwarzanej przez Etrusków, tamtejszych przodków Rzymian.

– To niczego nie zmienia, a jedynie pogłębia wiedzę o znalezisku i pradziejach doliny Warty. Nikt nie wątpi, że do osad kultury łużyckiej docierali kupcy z południowej Europy, a razem z nimi zwyczaje i religia. Może autor figurki był pochodzenia etruskiego? A może artysta z osady nad Wartą przywiózł sobie żonę z nad Morza Śródziemnego, gdzie nauczył się ceramiki? Może nawet figurka była nadwarciańska odpowiedniczką Demetri, greckiej bogini ziemi i urodzaju, czczonej w basenie Morza Śródziemnego?

– Współczesny archeolog Stanisław Sinkowski twierdzi, że gliniane figurki antropomorficzne na stanowiskach cywilizacji łużyckiej to rarytas. W dolinie Warty znaleziono tylko cztery takie postacie: boginię z Deszczna i Karnina oraz ptaszki z Ciecierzyc i Gorzowa.

– Badacz, którego imię i nazwisko pan wymienił wie, co mówi. Proszę zauważyć, że dwie pierwsze figurki zostały odkryte u progu XX wieku, czyli niemal dwa i pół tysiąca lat po tym, jak Fidiasz ozdobił swymi rzeźbami Akropol i Olimpię. Odnalezienie ich dowodzi, że przed wiekami również w środkowej Europie żyli ludzie utalentowani.

– Jaki był los bogini z Deszczna?

– Przekazałem ją berlińskiemu muzeum archeologicznemu. Tam można ją było oglądać wśród eksponatów pochodzących z Brandenburgii. Zgodnie z moją sugestią muzeum zrobiło kilkanaście kopii bogini, jedną zatrzymałem w swojej kolekcji, drugą za zgodą Fritza Bucholza umieściłem w muzeum regionalnym w Landsbergu.

– Założyciel landsberskiego muzeum i jego kierownik Fritz Bucholz, podobnie jak znaczna część brandenburskich archeologów, uważał figurkę z Deszczna za najcenniejszy zabytek cywilizacji łużyckiej, znaleziony nad dolną Wartą i środkową Odrą.

– Z tą opinią i ja się zgadzałem. Nie zgadzałem się z Bucholzem w czym innym. Ten znakomity landsberski badacz doliny Warty dostrzegał w bogini odzwierciedlenie szamana. Miał odwagę twierdzić, iż wyjąłem ją z grobu, w którym byli pochowani kapłani. Moim zdaniem, w tym grobie spoczywały szczątki zwyczajnego człowieka, może naczelnika osady, może kogoś zamożniejszego, którego rodzina pragnęła, jak pan określił, zapewnić ponowne odrodzenie.

– Biografowie Pastora podają, że odkrycie figurki przyciągnęło na Nadwarcie berlińskich archeologów.

– Owszem, zainteresowanie przeszłością łęgów nadwarciańskich niepominiernie wzrosło. Archeolodzy znajdowali zabytki kamienne, fragmenty naczyń ceramicznych i kości po obu stronach rzeki. W tym czasie badaczy rozległej ziemi brandenburskiej można było spotkać także w okolicach Berlina, Lossow, Leubus, Guben...

– W 1926 roku wśród grobów odkrytych na cmentarzysku łużyckim w Karninie Fritz Bucholz znalazł figurkę podobną do bogini z Deszczna.

– Z wyglądu rzeczywiście była bardzo podobna do tej, którą ja znalazłem ćwierć wieku wcześniej. Bucholz twierdził, że odkryta przez niego figurka jest upostaciowieniem kapłana, który przejął symbol bóstwa. Do mnie ta teza nie przemawiała.

- Współczesny archeolog z Kostrzyna nad Odrą, Sławomir Górka doszedł do wniosku, że jedna i druga figurka mogła być naczynkiem „na płyny w bliżej nieokreślonych obrzędach”.
- Pozostaję przy swoim stwierdzeniu, że jest to figurka antropomorficzna bogini, wykonana we wczesnej opoce żelaza.

- W sprawie autentyczności figurki z Karnina archeolodzy nie mówią jednym głosem. Podejrzewają nawet Bucholza o wykonanie doskonałego fałsyfikatu.
- Nie mam powodu kwestionować jej autentyczności, tym bardziej że Bucholtz wykonał kompletną dokumentację swego odkrycia.

- Historycy podają przykłady wręcz hochsztaplerskiej działalności Bucholza.
- Co to znaczy, mój panie?

- Często pojawiał się tam, gdzie rolnicy podczas prac polowych znajdowali skarby. Kupował od nich te rarytasy. Jeśli było to większe znalezisko, to je dzielił i jako pojedyncze przedmioty z fałszywą historią sprzedawał okolicznym muzeom.
- Nic o tym nie wiem.

- Oto, pierwszy z brzegu przykład. Gdy w Mętnie Małym koło Chojny natrafiono na skarb brązowy, natychmiast pojawił się tam Bucholz z robotnikami. Kopał, ale niczego nie znalazł.
- Ciekawe...

- Podobny zarzut archeolodzy stawiają Pastorowi.
- To znaczy...?

- Że w bogatej kolekcji na plebanii w Deszcznie przechowywał Pastor topory, kamienie młyńskie, monety, groty oszczepów znalezione przez siebie i przyniesione przez parafian. Fritz Bucholz podaje, że był to największy i najcenniejszy prywatny zbiór w Nowej Marchii.
- On najlepiej wiedział, jakie eksponaty trafiały do mojej kolekcji.

– Archeolodzy podejrzewają, że Pastor handlował pamiątkami przeszłości.

– Bzdura, mój panie. Jako aktywny członek berlińskiego stowarzyszenia prehistoryków wszystkie najcenniejsze zabytki systematycznie przekazywałem do muzeum etnograficznego w Berlinie. Zazaczyłem, aby po mojej śmierci cały zbiór został przewieziony z plebanii do Berlina. Niemało przedmiotów będących chlubą landsberskiego muzeum pochodziło z mojej kolekcji.

– Dziękuję za rozmowę.

Skarby lubuskie

Nie wspominam o naczyniach ceramicznych znalezionych na cmentarzyskach, które służyły jako urny na prochy zmarłych oraz o innych naczyniach kultowych. Nie wspominam też o ozdobach ani o broni odkrytej w tych miejscach. Pod uwagę wziąłem jedynie te przedmioty, które przetrwały do naszych czasów jako depozyty, czyli zostały ukryte albo zagubione i przez archeologów są uważane za skarby.

Wicina – wieś w gminie Jasień, w powiecie żarskim

W miejscu, gdzie stał gród cywilizacji łużyckiej, w 1860 r. znaleziono dwa naszyjniki. W 1902 r. odkryto skarb ozdób brązowych. Prowadzone po 1966 r. systematyczne badania pozwoliły na odkrycie wielu przedmiotów wykonanych ok. 2,5 tys. lat temu, m.in. złotych ozdób włosów, zawieszki w formie konika, naszyjnika, kolii paciorków z brązu i niebieskiego szkła. Znalezione tam przedmioty znajdują się w Muzeum Środkowego Nadodrza w podzielonogórskiej Świdnicy.

Witaszkowo – wieś w gminie Gubin, w powiecie krośnieńskim

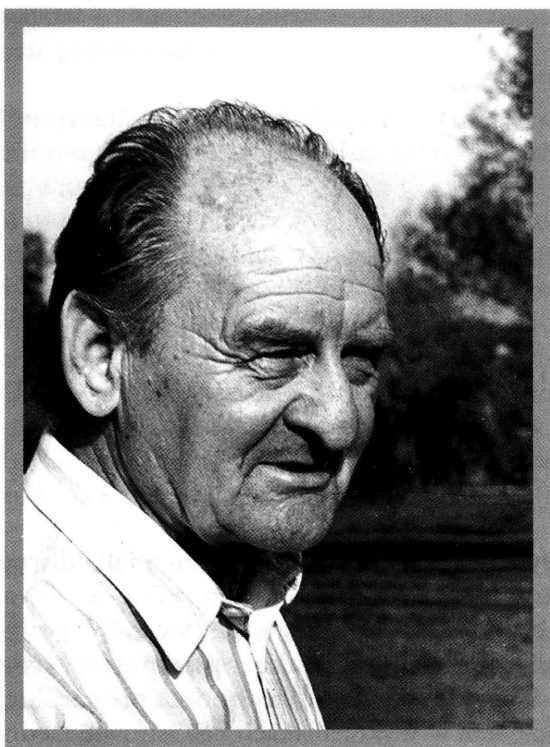
1 października 1882 r., gdy wieś nazywała się Vetersfelde, miejscowy rolnik trafił na skarb scytyjski. Składał się on z 20 przedmiotów wykonanych ze złota: okucia gorytosu, o długości 41 cm, w kształcie ryby, której ciało wypełnione jest przedstawieniami innych zwierząt; akinakesu z pochwą zdobioną ornamentyką zwierzęcą; dwu naszyjników; naramienników; osetki w złotej oprawce. Przedmioty zostały wykonane ok. 500 r. p.n.e. Prawdopodobnie część znaleziska trafiła do muzeum w Guben. W Muzeum Środkowego Nadodrza są kopie przedmiotów znalezionych w Witaszkowie.

Ulim – wieś w gminie Deszczno, w powiecie gorzowskim

W 1911 r. podczas budowy linii kolejowej z Gorzowa do Kostrzyna znaleziono skarb z epoki brązu, datowany na lata 900-700 p.n.e. Składał się z pięciu naszyjników, czterech obręczy, toporków tulejkowych, szpili i noża z uchwytem. Przewieziony do Berlina, uległ rozproszeniu w 1945 r.

Mirocin Dolny – wieś w gminie Kozuchów, w powiecie nowosolskim

W 1972 r. na skraju wzniesienia znaleziono brązowy grot włóczni i pięć siekier. Zdaniem badaczy przedmioty zostały wykonane w cywilizacji łużyckiej, a więc ok. 2,5 tys. lat temu.



*Edward Dąbrowski –
fotografia z rodzinnego archiwum archeologa*

Edward Dąbrowski

Urodził się 17 października 1921 w Trzcinie koło Sieradza, zmarł 20 września 2007 r. w Zielonej Górze. Najpierw studiował polonistykę, potem prehistorię na Uniwersytecie Poznańskim. Badaniami archeologicznymi zajął się przed wojną. Po studiach przez krótki okres był aspirantem na uniwersytecie. W 1955 r. rozpoczął pracę w muzeum w Międzyrzeczu, skąd przeniósł się do Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Zawodową działalność zakończył w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze w 1986 r. Odkrył grodziska wczesnośredniowieczne m.in. w Krośnie Odrzańskim i Połupinie. Jego jedyna książka ukazała się po śmierci. Został Honorowym Obywatelem Krosna Odrzańskiego.

TROJACZKI KROŚNIEŃSKIE

Rozmowa z Edwardem Dąbrowskim, archeologiem

– Prehistorycy, z którymi rozmawiałem o ich odkryciach, opowiadali, że w warunkach polowych, jakie panowały na wykopaliskach, był Pan niezastąpiony. Nie tylko podpowiedział, gdzie kopać, ale i głodnego nakarmił, smutnego rozweselił.

– W latach 1948-1949 jeszcze jako student poznańskiej archeologii uczestniczyłem w wykopaliskach na Ostrowie Lednickim koło Gniezna. Byłem tam zastępcą kierownika, czyli bardzo ważną osobą. Któregoś dnia dostałem wiadomość, że nasze obozowisko odwiedzi arcybiskup gnieźnieński i warszawski Stefan Wyszyński w towarzystwie kilku biskupów. Nigdy nie miałem do czynienia z hierarchami kościelnymi, to i nie wiedziałem, jak podjąć gości? Postawić wódkę czy może wystarczy wino lub kawa? Nie miałem się kogo poradzić, co jeszcze podać na stół.

– Co na to profesorowie?

– Byli bardziej przejęci niż ja. Przecież hierarchowie nigdy nie jeździli do archeologów. Jeśli mieli ochotę rozmawiać o odkryciach to zapraszali prehistoryków do swoich rezydencji. Zapowiedziana wizyta na Ostrowie Lednickim miała miejsce pierwszy raz. Sam więc podjąłem decyzję: ugościmy arcybiskupa wedle staropolskiej zasady – czym chata bogata! W obozowisku brakowało wielu rzeczy, ale ryb i wódki było pod dostatkiem. Okazało się, że przyszły prymas

Polski i kardynał z niejednego pieca jadł chleb, wzniosł więc toast za pomyślność polskiej nauki.

– Zaczął Pan studia uniwersyteckie na polonistyce, skończył z dyplomem magistra archeologii. Już jako młodzieniec pisał Pan piękne wiersze.

– Talentami to mnie Bozia obdarzyła aż za szczodrze, bo i nieźle rysowałem, udawały mi się akwarelki, zajmowała mnie muzyka, szczególnie skrzypce, a nawet jako badacz przeszłości ziemi krośnieńskiej filmowałem wykopaliska. Podobno byłem pierwszym poszukiwaczem, który zastosował technikę filmową do utrwalania profiliów wykopów. To, że nie skończę polonistyki i zostanę archeologiem, przepowiedział mi w 1946 roku najślawniejszy polski prehistoryk profesor Józef Kostrzewski, gdy pomagałem mu jako ochotnik na wykopalisku koło Kalisza.

– Zastanawiam się, kto podpowiada archeologowi, gdzie kopać?

– Mnie Pan Bóg obdarzył dużym nosem (śmiech). Nos więc mi podpowiada, gdzie badać, aby nie wyrzucać pieniędzy w przysłowiowe błoto. Nigdy się na nim nie zawiodłem!

– Oczywiście to żart?

– W 1960 roku jako świeżo upieczony zielonogórzanin wybrałem się do Międzyrzecza, z którym związałem się niedługo po studiach. Po wyjeździe z Zielonej Góry, tuż za ostatnimi domami w Zawadzie rozciągało się dopiero co zaorane pole. Kraczące tam wrony przyciągnęły moją uwagę, a niewielkie wzniesienie, gdzie ziemia była nienaturalnie czarna, zwabiło spojrzenie. Niebawem przeprowadziłem tam wstępne prace archeologiczne, a potem badania sondażowe. Gdy przeszedłem na emeryturę stanowiskiem w Zawadzie zainteresowali się młodszy archeolodzy. Efekt ich i mojej pracy to między innymi 77 fragmentów glinianych talerzy z czasów wczesnośredniowiecznych. Niestety, nie potrafiłem wyjaśnić, do czego one służyły. Może do pieczenia smakołyków i ich spożywania?

– A w jaki sposób wybierają miejsce swojej pracy badacze, którym Pan Bóg poskąpił dużego nosa?

– Bardzo często miejsce godne zainteresowania archeologa wskazuje przypadkowe znalezisko przez rolnika, myśliwego, grzybiarza, leśnika, żołnierza, turystę. Tak było, na przykład, z odkryciem osady warownej sprzed dwu i pół tysiąca lat w Wicinie koło Jasienia. W drugiej połowie XIX wieku miejscowy rolnik w pobliżu swego pola znalazł pojedyncze ozdoby z brązu. Powiadomił o nich nauczyciela, ten policjanta, a on dał znać do muzeum w Gubinie. Gdy wiadomość dotarła do berlińskiego archeologa Carla Schuchhardta, tenże w 1920 roku rozpoczął prace wykopaliskowe w Wicinie i pobliskim Starosiedlu, bo i tam ktoś coś znalazł.

– Czy nos wskazał Panu również drogę do Międzyrzecza jako miejsca badawczego?

– Do Międzyrzecza wezwali mnie organizatorzy rewaloryzacji piastowskiego zamku. A jak już tam się znalazłem to od podpowiedzi, gdzie jeszcze powinienem badać, nie mogłem się opędnąć, tym bardziej że szybkimi krokami zbliżało się millenium chrztu Polski. Jak pewnie każdy wie, ziemia międzyrzecka, a szczególnie wieś Święty Wojciech budziła niecodzienne zainteresowanie tak Kościoła, jak i administracji państwa.

– Pewnie miałby Pan zajęcie na ziemi międzyrzeckiej do grobowej deski, wszak to niemal kolebka państwa polskiego. A jednak przeniósł się Pan bliżej granicy zachodniej, na ziemię krośnieńską. Też nos wskazał kierunek badań czy może był ktoś, kto wydał takie polecenie?

– Sam sobie poleciłem. Pod koniec lat pięćdziesiątych zostałem wojewódzkim konserwatorem zabytków archeologicznych. Wtedy doszedłem do wniosku, że w okolicy Międzyrzecza jest za dużo badaczy, a wokół Krosna za mało. Ponadto wydawało mi, że z archeologicznego punktu widzenia ziemia krośnieńska będzie również ciekawa. Wierzyłem, że bliżej pierwszej granicy z Niemcami natrafię na coś, co będzie miało ogromne znaczenie dla nauki.

– I nos Pana nie zawiódł?

– Gdy spytał pan o sposoby wskazywania miejsc ważnych dla archeologów, pomyślałem sobie o Mikołaju Starynowiczu, troszkę młodszym koledze z Muzeum Ziemi Lubuskiej. Nie miał uniwersyteckiego

wykształcenia historycznego, ale jako badacz dawnych dziejów był niezastąpiony. Urodził się na Polesiu, co spowodowało, że jak nikt spośród muzealników rozumiał przyrodę. Był też myśliwym i gdy podczas polowań jego koledzy strzelali do bezbronnych zwierząt, on przypatrywał się polom, lasom, brzegom jezior. Mikołaj odkrył grodzisko w Smolnie Wielkim koło Kargowej, pozostałości osady średniowiecznej pod Sulechowem, wielokrotnie naprowadził mnie na ślady budowli obronnych nad Nysą, Bobrem i Odrą. Miał motocykl, którym woził mnie w zapomniane przez Boga i ludzi, trudno dostępne miejsca.

– Czy Mikołaj Starynowicz podpowiedział Panu w 1960 roku, gdzie szukać grodziska w Krośnie?

– Bezpośrednio Mikołaj, a pośrednio Thietmar. Prowadząc badania pod Międzyrzeczem starannie przejrzałem *Kronikę* biskupa merseburgskiego, niezastąpione źródło dziejów państwa polskiego. Thietmar tak pisze: „Owóż, te tak różne i pod różnym przewodnictwem oddziały dotarły wnet do Odry i rozbiły namioty nad krętą rzeką, zwaną po słowiańsku Bóbr, po łacinie zaś Castor”. W innym miejscu kronikarz zanotował: „Bolesław (...) obwarowawszy brzeg tej rzeki i usadowiwszy się z wielkim wojskiem w Krośnie, przeszkadzał jak mógł w przeprawianiu się ich [Niemców] na drugą stronę”.

– Kiedy działo się to, co zanotował biskup z Merseburga?

– Mieszko I oparł swoje państwo o ziemie dzisiejszej środkowej i zachodniej Polski. Jego syn Bolesław, zwany Chrobrym albo Wielkim, starał się nie tylko umocnić granicę zachodnią, ale jeszcze bardziej ją przesunąć na zachód. Przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, co miało miejsce na początku trzeciego tysiąclecia, bardziej politycy niż historycy nadali ogromnego znaczenia wizycie Ottona III w Gnieźnie w 1000 roku. Cesarz próbował stworzyć wielkie państwo zachodnioeuropejskie, w którym miały powstać królestwa: Italia, Galia, Germania i Sklawinia. Chrobry to akceptował, ale i nie wyrażał entuzjazmu w sprawie podporządkowania swojej monarchii cesarzowi, ponieważ zgoda oznaczała ograniczenie jego władzy.

– Dlaczego więc akceptował projekt Ottona III?

– A dlatego, że polityka tego cesarza pozwalała mu na zaniechanie powinności wasalskich wobec Niemiec. Thietmar pisze, że Mieszko i Bolesław płacili cesarstwu trybut z ziem zajmowanych przez Polan. Proszę pana, Thietmar nie był przychylny państwu piastowskiemu, czego wyraz dał w *Kronice*, ale był uczciwy. Otóż biskup mersebur-ski zanotował, że z chwilą zakończenia zjazdu w Gnieźnie, gdy Ot-ton III nałożył na głowę Chrobrego swój cesarski diadem, piastowski książę poczuł się władcą całej zachodniej Słowiańszczyzny. I pewnie tak by się stało, gdyby Otto III nagle nie oddał duszy Panu.

– **Uważa Pan, że śmierć zaledwie 22-letniego cesarza była momentem przełomowym w polityce Chrobrego?**

– Od tego momentu polski władca nie zamierzał podążać wedle drogi politycznej wytyczonej przez Sylwestra II, pierwszego papieża Francuza, który był nauczycielem młodziutkiego Ottona III. Jesz-cze jako mnich benedyktyński Gerbert z Aurillac wymyślił sobie odtworzenie cesarstwa rzymskiego, będącego uniwersalnym pań-stwem zachodnich chrześcijan. Śmierć Ottona III doprowadziła do upadku papieskich planów, chociaż formalnie cesarstwo istniało do czasów napoleońskich.

– **Następcą Ottona III został książę bawarski Henryk.**

– Z pewnością to zasługa feudałów niemieckich, którzy obawiali się ekspansji Chrobrego na ziemie zajmowane przez zachodnich Słowian. I mimo że po wyborze nowego cesarza władca Polan za-warł z nim dobrosąsiedzkie przymierze, wczesnym latem 1002 roku wyruszył się na Łużyce i Miłsko. Wyruszył ze swoimi wojami albo spod Żagania, albo spod Krosna. Historycy nie są w stanie dokład-nie określić tego miejsca.

– **A Pan?**

– W świetle moich odkryć jestem przekonany, że chodziło o nad-odrzańskie Krosno.

– **Na jakiej podstawie doszedł Pan do takiego wniosku?**

– W 1960 roku udało mi się wskazać miejsce, gdzie stał wczesnośred-niowieczny gród krośnieński. A stał na miejscu grodu plemiennego, wzniesionego w VII wieku, czyli na zachodnim brzegu starego

koryta Bobru, u ujścia rzeki do Odry. Odkryte tam przedmioty świadczą, że piastowska osada obronna zaczęła powstawać w X wieku, być może z inicjatywy Mieszka I, który był pierwszym władcą państwa Polan umacniającym granicę zachodnią. Gród jako punkt obronny miał wymiary: 120 x 150 metrów. Co ciekawe, ten gród jak i inne warownie piastowskie na Środkowym Nadodrzu, na przykład, w Santoku, Międzyrzeczu, Kostrzynie, były usytuowane w widłach rzek.

– O tym miejscu wspomniał Thietmar w swojej *Kronice*?

– Zanim odpowiem na to pytanie, przypomnę, że wyprawa Chrobrego na Łużyce i Miłsko była udana. Polski władca zajął tamte ziemie, a możni wschodni Niemcy, jak pisze Thietmar, „uwierzyli pięknie brzmiącym słowom i na hańbę swoją udawszy się do niego, jak gdyby do pana, zamienili wrodzoną cześć na uniżoność i ciężką niewolę”. Henryk II Święty przyjął ten stan za wygodny dla cesarstwa, bowiem powstała strefa buforowa między Niemcami a państwem Polan. Ale w obawie przed rozszerzaniem się władzy Chrobrego zaatakował polskiego księcia w Merseburgu. Thietmar usprawiedliwia Henryka II, pisząc, że stało się to „bez wiedzy i zgody cesarza”. To wydarzenie rozpoczęło trwającą szesnaście lat wojnę cesarstwa z młodym państwem polskim.

– Którędy ruszył Henryk II na podbój ziem piastowskich?

– Wedle Thietmara, przez Bramę Krośnieńską zwaną też Przejściem Krośnieńskim. Mimo że Chrobry obwarował brzegi Bobru, umocnił gród w Krośnie i ze swoimi wojskiem przeszkadzał Niemcom wspartym wojami wieleckimi i czeskimi, Henryk II przeprawił się przez rzekę. Jednak zanim to się stało, jak podaje kronikarz, obrona grodu trwała około tygodnia. Kronikarz pisze, że kiedy Henryk II „jął przygotowywać tratwy i mosty, Opatrzność wskazała wysłanym przezeń wywiadowcom bardzo dogodny bród na rzece. Z brzaskiem dnia sześć legii udało się tam na rozkaz króla i skorzystało bezpiecznie z owego brodu. Straż Bolesława, która zauważyła to z daleka, przekazała czym prędzej swemu władcy tę smutną i trudną do wiary wiadomość. Ten, upewniwszy się wreszcie przez wysłanych wywiadowców, zwinął szybko obóz i uciekł wraz ze swoimi, pozostawiając na miejscu wiele materiału wojennego.”

– Pierwsza, udana wyprawa Henryka II w 1005 roku na ziemię piastowskie zakończyła się podpisaniem pokoju w Poznaniu.

– Henryk II nie pokonał Bolesława Chrobrego i nie zniszczył piastowskich sił zbrojnych. Thietmar relacjonuje, jakoby spod grodu poznańskiego „z radością tedy wracali nasi do domu, ponieważ wielkie znosili trudy wskutek długich marszów i dotkliwego głodu, nicodłących od przykrości wojny”.

– Kolejne wojny nękały państwo Bolesławowe. Najkrwawsze miały miejsce w latach 1015-1017.

– Brakuje potwierdzenia, że w 1015 roku Henryk II zdobył gród w Krośnie. Wtedy przyczółka bronił nie Chrobry ze swoimi wojami, lecz jego syn Mieszko II. Na ten temat Thietmar tak pisze: „I pociągnął cesarz aż do Odry, do miejscowości Krosno, i wysłał najznakomitszych swoich wodzów w poselstwie do Mieszka, który stał tam obozem z wojskiem, aby go przekonali o celowej i słusznej sprawie cesarza”. Mieszko nie poddał Krosna, a za wycofującymi się jego wojami ruszyli Niemcy. W okolicy Głogowa Henryk II rozbił swój obóz, gdzie, jak informuje kronikarz w sutannie, „nieprzyjaciele zwarli się i uderzyli na nasze wojska, rozpędzając wszystkich i wybijając pojedynczo przy pomocy zdrazieckich strzał”.

– Ta szesnastoletnia wojna zakończyła się podpisaniem traktatu pokojowego 30 stycznia 1018 roku w Budziszynie.

– Cesarz zgodził się na pozostawienie Łużyc, Milska i Moraw przy państwie piastowskim. Ponadto Chrobry uzyskał wsparcie zbrojne na wyprawę kijowską, której celem było osadzenie jego zięcia Światopełka I Przekłętego na tronie kijowskim. Cztery dni później traktat uświetniono małżeństwem Bolesława z Odą, córką Ekkeharda I, margrabiego Miśni. Mimo korzystnych postanowień dla cesarstwa, Thietmar uznał, że traktat był „nie taki, jaki powinien, lecz jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji”.

– Wróćmy na ziemię krośnieńską. Dlaczego Henryk II akurat wtedy usiłował przedostać się na ziemię Piastów?

– Przyczyn wyboru tej drogi wojennej było kilka. Najważniejsza wiązała się z ukształtowaniem terenu. Pradolina Warszawsko-Berlińska

pod Krosnem od strony północnej jest ograniczona Wysoczyzną Lubuską, od południowej – Wysoczyzną Zielonogorską. W tym miejscu pradolina, tworząc korytarz, jest najwęższa, bo zaledwie dwu i półkilometrowa. Takie jej ukształtowanie znakomicie wykorzystali Piastowie do budowy grodów i obwarowań. Pewnie nie muszą pana przekonywać, że od trwałości obrony właśnie takich miejsc zależał wynik wojny we wczesnym średniowieczu.

– Nie rozumiem. Cesarz Henryk II wybrał drogę przez dolinę krośnieńską, chociaż najpierw jego wojska musiały sforsować Nysę Łużycką, potem Bóbr i Odrę?

– Myśli pan jak człowiek współczesny. Wtedy stałe punkty oporu, czyli warownie grodowe, odgrywały zasadniczą rolę w obronie granic państwa. Nieprzyjaciół napadał nie tylko po to, aby zdobyć terytorium zajmowane przez sąsiada, lecz również aby pokonać jego obrońców. Ci mogli bronić się w grodzie lub atakować na przestrzeni otwartej, na którą wydostawali się z warowni. Najpotężniejsza z trzech rzek, które pan wymienił, najszerzej rozlewała się w okolicach Krosna, tu był bród i tu najłatwiej było ją sforsować.

– Przeprawa przez Odrę odbyła się tam, gdzie dziś brzegi Odry spina most w Krośnie?

– Na podstawie przeprowadzonych badań doszedłem do wniosku, że przeprawa przez Odrę musiała być przedłużeniem drogi przecinającej podgrodzie bądź też, co jest prawdopodobne, przebiegającej jego wschodnim skrajem, czyli w niedużej odległości od współczesnego mostu.

– Mówi Pan: przeprawa przez Odrę musiała być. Czy to znaczy, że nie udało się potwierdzić tego miejsca?

– To miejsce zostało zniszczone przez budujących bloki mieszkalne i hotel z restauracją w latach osiemdziesiątych XX wieku. Gdy się o tym dowiedziałem, natychmiast pojechałem na plac budowy. Było za późno. Mogłem jedynie stwierdzić walające się wraz z murszem torfowym i ciemną, ilastą ziemią większe kawałki drewna, prawdopodobnie pochodzące z moszczenia ulic i być może z umocnień przyczółka mostowego.

– Jeśli nie w Krośnie to może w pobliżu były znane inne brody na Odrze?

– Druga przeprawa, od strony południowej, mogła biec obok grodziska w Połupinie w stronę Gostchorza. Tu pradolina jest bardzo wąska, dlatego wtedy mogły się przeprawiać oddziały zbrojne Henryka II na prawy brzeg Odry.

– Przecież wokół Połupina jest teren zalewowy.

– Architekci umocnień wczesnośredniowiecznych albo usypali tu wały, grzbietem których biegła droga, albo wykorzystali wały wcześniejsze, zbudowane przez Dziadoszan. Zresztą wokół Krosna rozmaitych wałów biegnących wzdłuż Odry i przez tereny zalewowe jest bardzo dużo. Jak i grobli, rzeczek, rowów, przekopów, kanałów, nasypów sztucznych i wzniesień naturalnych. Ich znajomość stwarzała znakomite warunki do obrony.

– Czy pradoliny bronił wyłącznie gród w Krośnie?

– Były co najmniej trzy takie warownie. O grodzie krośnieńskim na lewym brzegu Bobru u wlotu rzeki do Odry już mówiłem. Kontynuując badania, w 1961 roku wskazałem miejsce w Połupinie, gdzie przodkowie założyli grodzisko. Warownię w Krośnie zaliczyłem do grodów nizinnych, natomiast tę w Połupinie do wyżynno-cypłowych. Leżała ona w południowej części pradoliny, w odległości około dwustu metrów od wsi, w najwygodniejszym przewężeniu. Otoczony wałem ziemnym na fundamencie drewnianym, gród zajmował niespełna hektar. Z tego miejsca było można kontrolować całą pradolinę. Było też widać, co się dzieje po drugiej stronie Odry, w Gostchorzu, gdzie granic piastowskiego państwa broniło grodzisko cypłowe.

– To znaczy, że na ziemi krośnieńskiej, na jej niewielkim obszarze, stała jeszcze jedna osada obronna?

– Trzeci gród, o wiek młodszy od warowni w Połupinie, był na bardzo wysokim północnym, czyli prawym brzegu Odry w Gostchorzu. Zajmował powierzchnię 40 x 100 metrów na niedostępnym cyplu. Był obwarowany konstrukcją drewniano-ziemną, a od nasady miał głęboką fosę. Musiał tam stać budynek mieszkalny, były też ślady palenisk, jamy produkcyjne.

– Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jakie znaczenie obronne w dziejach państwa Polan miała pradolina pod Krosnem.

– Trzy warownie, mam na myśli Krosno, Połupin i Gostchorze, nazywałem trojaczkami krośnieńskimi. Taka nazwa przeniknęła do literatury i niemal do dziś każdy badacz wczesnego średniowiecza na Środkowym Nadodrzu, gdy usłyszy to określenie, nie ma wątpliwości, o które budowle chodzi. Tyle zostanie po mnie w archeologii.

– Jest Pan autorem ponad setki artykułów ogłoszonych w publikacjach zbiorowych i czasopismach. Jedyna książka powstała na podstawie referatu wygłoszonego na sesji naukowej w tysiąclecie Krosna Odrzańskiego. Mimo że nigdy nie napisał Pan nawet rozprawy doktorskiej, młodszy badacze wykopalisk tytułowali Pana profesorem.

– Gdybym nie zamienił Poznania najpierw na Międzyrzecz, potem na Zieloną Górę i pozostał w katedrze archeologii Polski Uniwersytetu Poznańskiego, pewnie doczekałbym się godności profesora doktora habilitowanego. Wcześniej jednak musiałbym napisać dysertację doktorską, potem rozprawę habilitacyjną, wypromować kilku doktorów, wygłosić немало referatów na krajowych i zagranicznych sesjach naukowych.

– Czyżby nie pociągała Pana czysta nauka?

– Uchowaj, Boże! Czysta nauka pociągała mnie od dziecka, ale jeszcze bardziej wciągały wykopaliska, ta niezwykła przyjemność obcowania z niemymi świadkami historii. Ten kontakt z przyrodą, z tajemnicami ziemi, rozmowy z ludźmi poszukującymi odpowiedzi na historyczne pytania. Zamiast pisać rozprawy naukowe, wołałem pisać wiersze, malować akwarele, podpowiadać młodszym wnioski. Większą satysfakcję miałem z opublikowania artykułu w *Gazecie Lubuskiej* czy *Roczniku Lubuskim* niż gdybym pisał opasłe tomiska, po które co najwyżej sięgaliby archeolodzy.

– Dziękuję za rozmowę.

Zaginione grody

Kiedy ziemie położone nad Nysą Łużycką, Bobrem i Odrą weszły w skład państwa polskiego, dokładnie nie wiadomo. Czy gdy powstawały grody na nysko-bobrzańsko-odrzańskiej, czyli pierwszej linii obrony, ziemie te już były pod władzą piastowską, też nie wiadomo. Najczęściej cytowany badacz przeszłości Środkowego Nadodrza prof. dr hab. Grzegorz Domański uważa, że w X wieku pretensje do tych ziem zgłaszali margrabiowie niemieccy, książę Czech Bolesław II i książę Polan Mieszko I.

Gubin – miasto w powiecie krośnieńskim

Zdaniem dr. Ryszarda Pantkowskiego, który powołuje się na prof. Domańskiego, gubiński gród powstał „od razu jako centrum administracyjno-gospodarcze”. Prawdopodobnie zajmował najwyższy punkt w widłach Nysy Łużyckiej i Lubszy. Być może było to miejsce, gdzie stoją ruiny fary, późnoromańskiej trójnawowej bazyliki.

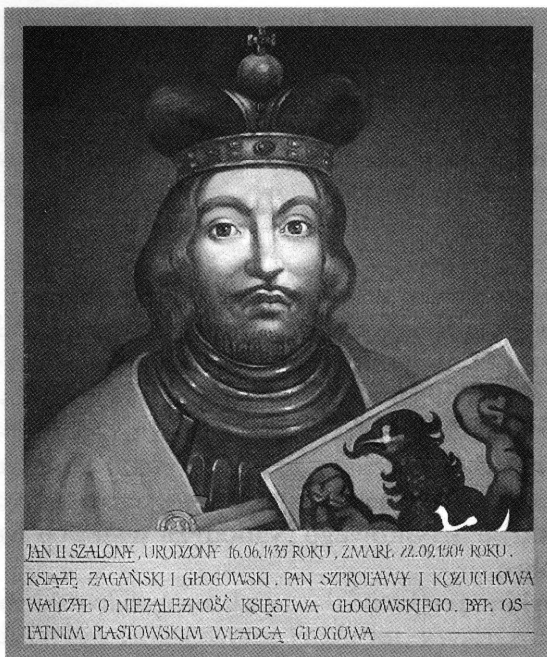
Polanowice – wieś w gminie Gubin, w powiecie krośnieńskim

Wieś ta przeszła do historii jako Niemcza. Ponieważ na Dolnym Śląsku jest miejscowość nie tylko o tej samej nazwie, lecz i o podobnej przeszłości, środkowonadodrzańska wieś otrzymała nieformalnie drugi człon w nazwie: Łużycka. Wedle prof. Domańskiego, „w bliżej nieokreślonej części X wieku, przypuszczalnie przy jego końcu, powstaje potężny, największy na Dolnych Łużycach (198 x 228 m u podstawy) gród w Niemczy”. Gród stał na miejscu dawnego grodu plemiennego. W 1000 r. cesarz Otton III podarował go benedyktynom z Nienburga nad Soławą. Kiedy i w jakich okolicznościach wraz z terytorium niemczańskim przejęły go gubińskie benedyktynki, brak dokumentów. Po likwidacji klasztoru w 1567 r. dobra przeszły na własność państwa.

Szydłów – wieś w gminie Cybinka, w powiecie słubickim

Kiedy powstał gród, nie wiadomo. Był młodszy od grodu gubińskiego. Stał w miejscu strategicznym u zbiegu Nysy Łużyckiej i Odry. We wczesnym średniowieczu był to jeden z najważniejszych dla państwa Piastów grodów, broniący zachodniej granicy. Około 1225 r. do nowo wybudowanego grodu w Szydłowie, jak podaje prof. Domański, przeniesiono kasztelanę z Gubina. Po zajęciu osady przez Brandenburgię, gród podupadł. Wieś została

wysiedlona na początku XX wieku, ponieważ władze niemieckie nie mogły zapewnić ludności ochrony przed podwoziami. Tylko najbardziej uparci przetrwali do wojny. Dziś w lesie można jedynie odnaleźć ruiny po domach i wiejskim kościele.



*Jan II Szalony – podobizna pędzla Ireny Bierwiałonek
w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

Jan II Szalony

Urodził się 16 czerwca 1435 w Żaganiu, zmarł 22 września 1504 r. w Wołowie. Najpierw władał księstwem przewozkim, potem żagańskim. W 1472 r. księstwo sprzedał kuzynom z Saksonii. Po bezpotomnej śmierci Henryka XI chciał przejąć księstwo glogowsko-krośnieńskie, którego domagali się także Władysław Jagiellończyk oraz król Węgier i Czech Maciej Korwin. W 1480 r. Jan II pokonał pretendenta do spadku i po 150 latach połączył w całość podzielone księstwo. Osiem lat później pokonany przez Macieja Korwiną, zrzekł się praw dziedzicznych do księstwa, co oznaczało koniec panowania piastowskiego na ziemi glogowskiej.

OSTATNI Z RODU PIASTA

Rozmowa z Janem II Szalonym,
księciem żagańskim i głogowskim

– Dziejopisarze Środkowego Nadodrza wydali o Księciu opinie złe i dobre.

– Których było więcej?

– Przewaga złych. Niemieccy kronikarze nazwali Księcia Szalonym i ten przydomek występuje najczęściej. Współcześni mieli powody, aby określić Księcia jako Jana Złego, Jana Okrutnego, Jana Dzikiego. Był Książę nawet Janem bez Ziemi. Wedle dziejopisarzy Książę był dokuczliwy dla Kościoła i podwładnych.

– Dokuczliwy, powiadasz, skrybo. Hm, dokuczliwy?... Na pewno byłem niespokojny duchem.

– To lepiej brzmi niż szalony czy okrutny albo kapryśny. Co ważne, nikt nie nazwał Księcia władcą nieodpowiedzialnym, niesolidnym, niesłownym.

– Bardzo chciałem dorównać moim pradziadom Henrykowi Brodatemu, Henrykowi Pobożnemu, Konradowi I. Za wzór władcy usiłującego powiększyć księstwo brałem Henryka V Żelaznego, chociaż opat żagańskich augustianów Szymon Arnoldi ze Ścinawy po wielokroć przestrzegał, abym nie podążał jego drogą.

– Jedni dziejopisarze chwalili Waszą Miłość za ambitne plany przywrócenia księstwu ziemi krośnieńskiej, a nawet prawobrzeżnej Ziemi Lubuskiej. Za zdolności organizacyjne i dowódcze, za umacnianie fortyfikacji, za porządkowanie sądownictwa. Drudzy ganili za awanturnictwo, za szalone i szkodliwe pomysły, za bezwzględność wobec poddanych.

– A któreż moje szalone pomysły nie podobały się poddanym, mości skrybo?

– Choćby ten, gdy w 1474 roku na czele zwerbowanych wojaków złupił księżę Wielkopolskę. Albo prosił papieża Piusa II, aby obłożył Żagań interdyktem, a mieszczan klątwą.

– Władałem księstwem nie jako samozwaniec, lecz w imię Boże, jako najmłodszy syn Jana I Żagańskiego i Scholastyki Saskiej. Świeć Panie nad ich duszami. Wedle świętych kodeksów jako władca mogłem robić to, co uważałem za najlepsze dla mojego księstwa i poddanego mi ludu.

– Badacz dziejów Głogowa Janusz Chutkowski porównał Księcia z pradziadem Bolesławem Rogatką, zwanym też Łysym i Srogim.

– Jeśli ci życie miłe, skrybo, przy mnie nie wymawiaj imienia tego arcyłotra.

– Bolesław Rogatka wojował ze swoimi braćmi o ziemię.

– Skryboooo...

– Pan, mości Księżę, również wojował z braćmi. Rogatka był krewki, porywczy. Pan, mości Księżę, również. Rogatka potem żałował swoich kroków. Pan również bił się w piersi i przysięgał, że to było ostatni raz. Mimo zapewnień, wojaczka z braćmi się powtarzała.

– Jeśli chodzi o ojcowiznę to swoimi czynami dowiodłem, jakim byłem gospodarzem. Gdyby bracia z własnej woli mnie uczynili jedynym spadkobiercą, władanie rozpocząłbym od zjednoczenia ziem księstwa głogowskiego i żagańskiego, umocnił tym je, nie pozwolił, aby stanowiły lenno czeskie.

– Miał Księżę zamiar zbliżyć się do króla polskiego?

– Hm?

– Spytałem, czy miał Księżę zamiar zbliżyć się do króla polskiego.

– A... tak, tak. Zamyśliłem się po tym, co usłyszałem na temat Rogatki. Już odpowiadam. Nie miałem zamiaru szukać pomocy ani u Jagiellona, ani u Habsburga, ani u Korwina. Jam z dumnego rodu Piasta. Chciałem sam władać księstwem, a jakby się dało, to i państwem w granicach ustanowionych przez Mieszka I, jeszcze lepiej Bolesława Chrobrego, zwanego też Wielkim.

– Kiedy Jan I opuszczał ten świat, Księżę miał cztery lata. Jako dziesięciolatek wraz z chorym umysłowo Wacławem został Pan władcą Przewozu i przyległości. Notabene tę część księstwa zapobiegliwy ojciec Waszej Mości kupił od Sasów.

– Uboga to była kraina. Ledwie cherlawy Przewóz i niewielki okręg. Co innego zasobny Żagań i Iłowa, Nowogród nad Bobrem.

– Czy dlatego żądał Księżę od starszych braci innego podziału ojcowizny? Zanim usłyszę odpowiedź na to pytanie, proszę powiedzieć, czy mając zaledwie dziesięć lat Pan rzeczywiście władał księstwem przewozkim?

– Pomimo dzieciennego wieku, wszelka władza w księstwie do mnie należała. Nie na wszystkim się znałem, dlatego podejmowałem decyzje po uprzedniej rozmowie z moim sekretarzem, księdzem Trudwinem. Onże pierwszy zwrócił uwagę, że podział księstwa między starszych braci Baltazara i Rudolfa z jednej strony oraz Wacława i mnie najmłodszego z drugiej, nie był sprawiedliwy.

– Gdyby nie uwaga sekretarza Waszej Miłości, nie domagałby się Księżę innego podziału ojcowizny?

– Książdz Turwid otworzył mi oczy na wiele krzywd, które chcieli wyrządzić mi starsi bracia. Domagaj się, panie, sprawiedliwości, mówił. Żądaj części ziemi żagańskiej, bo ona ci się należy. Tej, którą mógłbyś uczynić sobie podległą, bogatą, a ludzi na niej żyjących takimi, aby dzień zaczynali od pochwały Boga i ciebie, panie. Już miałem wyruszyć ze zbrojnymi do Żagania i zrobić jak mi poradził

ksiądz Turwid, gdy do przewozkiego zamku przyjechał Fryderyk Saski, młodszy brat mojej zmarłej matki. Wuj długo mnie przekonywał, abym siłą nie odbierał księstwa braciom. Zobowiązał się rozwiązać konflikt z korzyścią dla mnie i Wacława, nad którym sprawowałem kuratelę. Musisz, skrybo, wiedzieć, że Wacław nie był przedniego rozumu i nie uczestniczył w rządzeniu księstwem. Latem leżał na brzegu Nysy i gapił się w niebo, zimą szwendał się po drogach, karmił ptaki albo modlił się w zamkowej kaplicy.

– W 1473 roku Fryderyk Saski odwiedził Księcia od wyprawy na Żagań. Pięć lat później, po śmierci Rudolfa pod Chojnicami, kiedy Baltazar wojował w Prusach, Książę jednak zajął księstwo żagańskie.

– Może uznałbym władzę Baltazara nad całym księstwem, gdyby nie to, że mój brat, Piast z Piasta, wziął stronę krzyżaków i wojował przeciw Polsce. Tego, jak mi Bóg miły, nie mogłem ścierpieć. Dlatego siłą zająłem całą ziemię żagańską i wymusiłem na stanach księstwa złożenie hołdu lennego.

– Po powrocie Baltazara do Żagania hołd ten został unieważniony, a Książę wrócił do Przewozu.

– Nie na długo, ha, haa. Przy wsparciu króla czeskiego Jerzego z Podiebradu odbiłem księstwo żagańskie. Mało tego, jego granice przesunąłem hen, aż za Nowogród, który był odprawą wdową mojej matki.

– Przerwijmy na chwilę wątek dotyczący bratobójczej walki o sukcesję po Janie I Żagańskim.

– Jeśli masz zamiar, skrybo, spytać o Wacława to informuję cię, że po śmierci Henryka XI mój brat wyrzekł się ojcowizny i władzy książęcej. We Wrocławiu, gdzie znalazł swoje miejsce w Bractwie Maryjnym, modlił się o zbawienie dusz zmarłych. Wszystkie posiadane pieniądze przeznaczył na budowę kościoła Świętej Barbary.

– Czeski monarcha Jerzy z Podiebradu, popierany przez husytów, od połowy XIV stulecia władał Śląskiem, będąc też właścicielem połowy Głogowa. Dziwne, ale król Polski Kazimierz Jagiellończyk nawet nie zabiegał o panowanie nad

dzielnicą śląską. 17 maja 1462 roku heretycki król Czechów spotkał się z katolickim władcą Polski w Głogowie. W jakim celu?

– Gospodarzem zjazdu był książę głogowski Henryk IX. Poza tym, że orszak króla czeskiego liczył dwa tysiące ludzi, a króla polskiego aż pięć tysięcy, nie się wtedy nie wydarzyło. Uczestniczący w zjeździe Jan Długosz zanotował, że „Kazimierz bowiem, król polski, dla króla czeskiego i wszystkich jego towarzyszków wydał ucztę wspólną i kosztowną; król czeski zaś bojąc się, aby w tej wspólności nie był pośledniejszy, wstrzymał się od wzajemnego zaproszenia”. Miałem nadzieję, że król Kazimierz będzie domagał się od Jerzego z Podiebrada zwrotu Śląska, a on jedynie traktat o przyjaźni z Czechem podpisał.

– Czyli władca głogowski Henryk IX nie osiągnął żadnego celu?

– Nie tym zaprzętałem sobie głowę. W myślach prosiłem Boga, aby pan na Głogowie odrzucił prośbę mego brata Baltazara i nie ruszył mu z pomocą w odebraniu mi księstwa żagańskiego.

– Panu Bogu milszy był Baltazar, bo głogowczyk stanął w obronie jego praw do księstwa żagańskiego. To wydarzyło się w 1467 roku.

– Gdyby Henryk IX nie wyruszył przeciwko mnie, nie oddałbym kęsa ziemi żagańskiej Baltazarowi. Zauważ, skrybo, że nigdy nie powiedziałem: to już koniec mego panowania na ziemi żagańskiej. Że do śmierci muszę się zadowolić lichym księstwem przewozkim. Ile razy wycofywałem się z Żagania, tyle razy wracałem nad Bóbr i księstwo było moje.

– Nie bacząc na to, że król węgierski Maciej Korwin chce siłą zagarnąć tron czeski, zwerbował Książę najemników do jego wojska. Za uzyskane w ten sposób dziesięć tysięcy florenów zajął Pan ziemię żagańską.

– Na zawsze. A za tym psubratem Baltazarem wysłałem najlepszych żołnierzy. Pojmali go w Witoszynie Dolnym, gdzie zamierzał się ukryć i pewnie znowu przeciw mnie wystąpić. Tom kazał osadzić go w ciemnicy przewozkiego zamku.

- Najmłodszy brat tak srogo rozprawił się z najstarszym?
- Nie myśl sobie, mości skrybo, że miałem zamiar pozbawić go życia. Książd Turwid podpowiedział, że choć to mój najstarszy brat i po ojcu najważniejszy w rodzie, trzeba go przykładnie ukarać. Jak, wielebny ojczec? Najlepiej, odrzekł książd po długim zastanowieniu, aby Baltazar sam sobie wybrał karę.
- Jaką karę wybrał?
- Zajęty tysiącem spraw ważnych w księstwie, na śmierć o nim zapomniałem. To i Baltazar, zamknięty w przewozkiej ciemnicy, padł z głodu i pragnienia. Później miejscowy lud wieżę zamkową nazwał głodową.
- Kronikarze podają, że po uwięzieniu Baltazara Książę przede wszystkim ucztował. Na żagańskim zamku miód lał się strumieniami. Dopiero po dwu miesiącach, gdy zabrakło trunku, Książę przypomniał sobie o Baltazarze uwięzionym w Przewozie.
- Nie ty, skrybo, będziesz mnie osądzał... Jeszcze jedno pytanie dotyczące Baltazara i każę cię zamknąć w wieży głodowej. Ha, ha, haa... A o tym, kto wtedy był winien, mój brat czy ja, zadecyduje Najwyższy Pan na Sądzie Ostatecznym.
- Musze spytać, dlaczego kilka miesięcy po zdobyciu Żagania Książę sprzedał księstwo panom saskim Albrechtowi i Ernestowi za pięćdziesiąt tysięcy florenów węgierskich. Podobno nie z własnej woli? Wtedy podwładni nazwali Księcia Janem bez Ziemi.
- Skrybo, miarkuj. Jam Piast z Piasta. Nie mam zamiaru tłumaczyć się ze swoich decyzji. Chcesz pytać, to pytaj, ale o co innego.
- W 1476 roku umarł ostatni Piast z linii głogowskiej Henryk XI, władca księstwa obejmującego połowę Głogowa, Kożuchów, Zieloną Górę, Krosno...
- Henryk rezydował na zamku kożuchowskim. Zamiast władać księstwem, stracił głowę dla jedzenia, picia i spania. Młodo wyzionął ducha, ale nie z woli Pana Najwyższego. Brandenburdzy go otruli.

– Jaki mieli powód, aby piastowskiego księcia w tak podstępny sposób pozbawić życia?

– A ten, i tylko ten jedyny, aby zagarnąć całą ziemię nad środkową Odrą. Najpierw ożenili Henryka z ośmioletnią Barbarą, córką elektora brandenburskiego Albrechta Achillesa, a potem podali mu wino z trucizną. Zanim je podali, przekonali Henryka, aby sporządził testament, że po jego śmierci Kozuchów i Zielona Góra z przyległościami przejdą na własność wdowy. Na to ja, potomek starożytnego rodu królów Polski, nie mogłem pozwolić.

– Wspomniany już historyk Janusz Chutkowski podaje, że po śmierci Henryka XI rozpoczęła się długa i wyniszczająca księstwo wojna sukcesyjna. Pretendentów było wielu.

– Najciszej wołali Jagiellonowie, nieco głośniej król Węgrów Maciej Korwin, najgłośniej Brandenburdzy. Wyobraź sobie, skrybo, że władający królestwem czeskim Władysław Jagiellończyk, aby przejąć księstwo głogowsko-krośnieńskie, pojął za żonę Barbarę, wdowę po Henryku XI. Na szczęście Pan Bóg nie dopuścił do skonsumowania małżeństwa, to i wedle Prawa kanonicznego było ono nieważne.

– Nie wspomniał Książę o swoim udziale w wojnie sukcesyjnej.

– Na Henryku XI zakończyła się głogowska linia Piastów, której dał początek książę Konrad I. Jam był ostatnim z rodu Piasta, z linii żagańskiej, która wywodziła się od Przemka, najmłodszego syna Konrada I. Gdybyż dobry Bóg wysłuchał moich błagań i obdarował mnie chociaż jednym synem... Miałem nadzieję, że księżna Katarzyna Opawska, którą pojąłem za żonę będąc w średnim wieku, urodzi Piastowicza. Tędy ziemia głogowska i żagańska na wieki pozostanie w naszych rękach, a ona wydała na świat pięć córek.

– Prawda to, że w wojnie sukcesyjnej Waszą Wysokość wspierał król Węgrów Maciej Korwin?

– Gdyby księżna Katarzyna wydała na świat chociaż jednego Piastowicza... Stało się inaczej nie z mojej winy.

– I nie z winy księżnej Katarzyny.

– Król Maciej Korwin był rzekł, że mnie wesprze w walce z Brandenburgami pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– A takim, że gdy zamknę oczy na wicki, księstwo przejdzie we władanie Jana Korwina, nieślubnego syna Węgry i wrocławskiej mieszczyzny.

– Historyk z Uniwersytetu Zielonogórskiego, znawca dziejów ziemi głogowskiej, profesor Hieronim Szczegółka pisze, że zaraz po śmierci Henryka XI do księstwa wkroczyły wojska brandenburskie.

– Na ich czele stał margrabia Jan. Nie bacząc na święte prawo dziedziczenia, zajmował kolejne miasta. Barbarzyńską metodą faktów dokonanych chciał stać się właścicielem piastowskiego księstwa. Ogłosiłem, że nie tędy droga, mości margrabio. Pierwej musisz mnie pokonać.

– Z kim Książę wojował?

– Jeszcze w 1476 roku zająłem książęcą część Głogowa i przyjąłem hołd stanów. Jako pan ziemi głogowskiej, wspierany przez Macieja Korwina, za przykładem Henryka V Żagańskiego postanowiłem przepędzić Brandenburgów z naszych miast. Najpierw załogi brandenburskie opuściły Szprotawę i Kożuchów. Potem na czele wojsk najemnych ruszyłem wzdłuż Odry na północ, przywracając księstwu kolejne miasta.

– Badacze przeszłości twierdzą, że żołnierze Księcia napadali na miasta i plądrowali je, mordując opornych.

– Widać, skrybo, żeś nie dzierzył miecza w dłoniach i nie znasz praw wojny. Rycerz walczy dla chwały swego pana, ale i dlatego, aby zdobyć nagrodę.

– Gdy rycerze dotarli pod mury Ośna, obrońcy byli gotowi otworzyć im bramy. Miasto nie poddało się tylko dzięki kobietom, które żołnierzy Waszej Wysokości oblały wrzaskiem. Potem ośnianki śpiewały: „Książę Jan Szalony również nagrodzony. Kubkiem gorącej masy poparzony. Pędził na koniu poprzez niwy, pola i nikt nie widział więcej agresora.” Wtedy urodziło się przekleństwo: „Obyś sparzył sobie pysk jak Jan pod Ośnem”.

– Nic pod Ośnem to się stało, skrybo, a podczas oblężenia warowni w Kopanicy... Tak się zapędziłem w gromieniu Brandenburgów, że zatrzymałem się hen za Frankfurtem, skąd było widać mury Berlina. Widząc, z jakim obrońcą prawa do ziemi głogowskiej ma do czynienia, elektor Albrecht Achilles z Hohenzollernów zrezygnował z pretensji o księstwo.

– Nie domagał się niczego w zamian?

– Za oddanie południowej części księstwa w moje ręce Albrecht żądał pięćdziesięciu tysięcy florenów węgierskich. Zgodziłem się na to, aby do czasu aż mu wypłacę żadaną sumę, pod jego panowaniem jako zastaw będzie Sulechów i Świebodzin, Lubsko i Krosno. Pozostawiłem w jego rękach całą Marchię Wschodnią, chociaż miałem ochotę rozgościć się nawet w Dreźnie.

– Po pokonaniu Brandenburgów Książę stał się władcą połowy Głogowa. Druga część należała do Piastów cieszyńskich. W imieniu królów czeskich władała nią owdowiała księżna cieszyńska Małgorzata Cilly.

– Długo nie czekałem. Zaraz po ugodzie z elektorem brandenburskim uderzyłem na królewską część Głogowa. Owa białogłowa, której imię wymieniłeś, a ja go nie powtórzę, nie miała zamiaru dobrowolnie oddać reszty miasta w moje władanie. Aż siedem tygodni oblegałem zamek, aby pokonać jej rycerzy. Było trudniej niż pod Frankfurtem, gdzie za dużo żołnierzy straciłem. To kazałem bombardować obrońców głogowskiej twierdzy łajnem, gnojem i wszelkim cuchnącym ściervem. Dopiero te nieczystości, wystrzeliwane z katapult i wszelkich machin oblężniczych, doprowadziły do osłabienia ducha bojowego rycerzy broniących zamku. 1 maja 1480 roku zdobyłem warownię. Po 150 latach rozbicia Głogów został zjednoczony.

– Co się nie udało Henrykowi V Żelaznemu, Henrykowi VI Starszemu, Henrykowi VII Średniemu i ich potomkom, udało się Księciu.

– Zwyciężyłem, zjednoczyłem i co dalej? Gdybym był młodszy, a ja miałem już 55 lat, pięć córek na wydaniu i brak nadziei na syna. Przymuszony, zgodziłem się z władcą czeskim, że po moim zejściu

z tego świata, księstwo przejdzie w ręce jego nieślubnego syna Jana Korwina, tego, którego matką była wrocławska mieszcza... A dla czego nie w ręce Piasta?

– Książę oszukał króla Czech.

– Ja? Kiedy? W jaki sposób?

– Najpierw Książę zgodził się, że księstwo przejmie Jan Korwin, a potem wydał swoje córki Salomeę i Annę za synów hrabiego kłodzkiego. Mało tego, Książę przekazał księstwo zięciom i domagał się od stanów głogowskich złożenia hołdu nowym władcom.

– A rajcy miejscy błagali, abym zwolnił ich od złożenia hołdu moim zięciom, bo królowi czeskiemu przyrzekli posłuszeństwo. Nie Maciej Korwin w Głogowie włada i wam rozkazuje. Ja, Jan II, najmłodszy syn Jana I Żagańskiego, wnuk Henryka VIII Wróbla, jestem prawowitym panem ziemi głogowskiej, zagrzałem. I jako potwierdzenie, kto włada księstwem, siedmiu spośród tych, którzy trwali nieugięci przy królu czeskim, skazałem na śmierć głodową w wieży zamku.

– Gdybym był na miejscu Macieja Korwina, uznałbym Waszą Wysokość za buntownika.

– Tak też się stało. Jego czarna rota oblegała miasto dłużej niż pół roku. Gdy głód zaczął zaglądać do domów głogowian, a i mnie choroza zmogła, nie było sensu się bronić. Powiedziałem wysłannikowi Czecha, że zrzekam się władzy w księstwie, co będzie kosztowało dwadzieścia tysięcy guldenów.

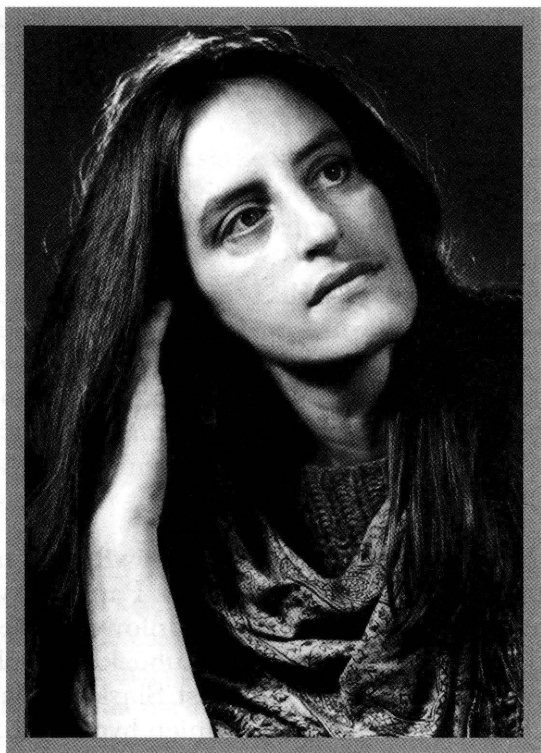
– Czy do końca swoich dni Książę żył w Głogowie?

– Chory i wyczerpany byłem. Za namową córek wyjechałem do Wołowa, gdzie zięciowie zapewnili mi dach nad głową i strawę na stare lata. Jak pytali, co napisać na moim nagrobku, odrzekłem, że pragnę, aby wszystkim było wiadomo, gdzie spoczywa Jan II, książę głogowsko-żagańskiego. Ostatni Piast tej ziemi.

– Dziękuję za rozmowę.

Daty z dziejów ziemi głogowskiej

- 1138 – początek rozbicia dzielnicowego, Śląsk wraz z Głogowem przypadł Władysławowi, najstarszemu synowi Władysława Łokietka
- 1251 – powstało księstwo głogowskie
- 1312 – wydzielenie księstwa żagańskiego
- 1355 – ziemia głogowska wraz z Śląskiem i Łużycami została przyłączona do korony czeskiej
- 1360 – podział księstwa głogowskiego między Henryka V Żelaznego i cesarza Karola IV
- 1378 – wyodrębnienie księstwa kożuchowskiego, obejmującego Kożuchów, Szprotawę, Sulechów i Zieloną Górę z Henrykiem VIII Wróblem jako władcą, który tytułował się księciem zielonogórskim
- 1462 – spotkanie króla czeskiego Jerzego z Podiebradów i króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka w Głogowie
- 1472 – Jan II Szalony sprzedał księstwo żagańskie książętom saskim
- 1488 – wyprawa wojsk króla Macieja Korwina przeciw Janowi II Szalonemu, w wyniku której książę zrzekł się władzy nad księstwem
- 1491-1498 – rządy objął Jan Olbracht
- 1499-1508 – panowanie księcia Zygmunta (późniejszego króla Polski)
- 1526 – po śmierci króla Czech Ludwika Jagiellończyka Śląsk wraz z koroną czeską przeszedł pod panowanie Habsburgów
- 1627 – Albrecht Wallenstein kupił księstwo żagańskie od cesarza austriackiego Ferdynanda II
- 1630-1632 – budowa przez cesarza austriackiego Ferdynanda II twierdzy w Głogowie
- 1646 – Wacław Lobkowitz kupił księstwo żagańskie od cesarza austriackiego Ferdynanda III
- 1742 – władzę nad Śląskiem przejęli pruscy Hohenzollernowie
- 1786 – książę kurlandzki Piotr Biron kupił księstwo żagańskie
- 1806 – ziemia głogowska została oblężona przez wojska napoleońskie
- 11 lutego-1 kwietnia 1945 – walka Armii Czerwonej o Głogów, kapitulacja twierdzy



*Irena Bierwiazzonek – fotografia Czesława Łuniewicza –
z archiwum rodziny malarki*

Irena Bierwiazzonek

Urodziła się 2 listopada 1951 w Przemyślu, zmarła 27 października 2009 r. w Zielonej Górze. Studiowała na wydziale grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. W 1974 r. zamieszkała w Zielonej Górze. Pracowała w Wojewódzkim Domu Kultury i Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. Swoje prace pokazywała m.in. w Berlinie, Chociebużu, Pradze, Wrocławiu, Bydgoszczy, Koszalinie, Radomiu, Zielonej Górze. W galerii Muzeum Ziemi Lubuskiej jest ponad 40 płócien jej pędzla. Obrazy są w kolekcjach prywatnych oraz w zbiorach historycznych samorządów m.in. Kostrzyna nad Odrą, Kożuchowa, Ośna Lubuskiego. W 2009 r. została Honorową Obywatelką Zielonej Góry.

ORSZAK WŁADCÓW ŚLĄSKA LUBUSKIEGO

Rozmowa z Ireną Bierwiazzonek,
malarką

– Dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej mówił, że z nikim mu się tak dobrze nie współpracowało jak z Panią przy tworzeniu pocztu piastowskich władców południowej części regionu lubuskiego, który nazwał Śląskiem Lubuskim. Doktor Andrzej Toczewski uważa, że skoro jest Śląsk Opolski, Śląsk Cieszyński, Śląsk Opawski to i powinien być Śląsk Lubuski. Część historyków związanych z uniwersytetami we Wrocławiu, Poznaniu, Zielonej Górze nie akceptuje tego wyodrębnienia.

– Ukończyłam studia w zakresie grafiki książkowej i plakatowej. Najdawniejszymi dziejami kraju interesowałam się jako Polka, jako magister sztuki, jako matka. Mam też swoje zdanie na temat regionalizmu historycznego, wołałabym jednak nie upowszechniać go, wszak w tej sprawie nie jestem autorytetem. Historia była dla mnie ważna, ale nie najważniejsza w moim życiu. Im dłużej współpracowałam z doktorem Toczewskim, tym większego szacunku nabierałam dla przeszłości i tradycji. Prawdę mówiąc, póki nie zamieszkałam w Zielonej Górze, niewiele wiedziałam o dziejach Środkowego Nadodrza i Piastach śląskich.

– Urodziłem się w nadodrzańskim Kostrzynie. W szkole podstawowej nauczyciele przekonywali mnie i moich rówieśników,

że wszystko dookoła jest piastowskie. Nawet Odra szumi po piastowsku.

– Położony w widłach Warty i Odry Kostrzyn nie należał do Śląska.

– Zanim w 1249 roku książę śląski i lubuski Bolesław Rogatka podarował część Ziemi Lubuskiej margrabiom brandenburskim, Kostrzyn leżał w granicach państwa stworzonego przez Mieszka I i jego syna Bolesława Chrobrego. Potem wraz z diecezją i Ziemią Lubuską znalazł się w Marchii Wschodniej, zwanej też Nową Marchią. O ten skrawek ziemi wojowali Piastowie śląscy.

– Określanie granic historycznych Środkowego Nadodrza nastrocza wiele trudności. Wiem, że dla jednych istnieje Ziemia Lubuska, pisana wielkimi literami. Inni zaś uważają, że należy ją pisać małymi. Podobne opinie słyszałam na temat Piastów z linii śląskich. Jedni badacze twierdzą, że w ich zachowaniu górę brały cechy proniemieckie, na dworach panowały niemieckie zwyczaje, książęta żenili się z niemieckimi księżniczkami. Ta grupa historyków uważa, że Piastowie śląscy nie znali polskiej mowy. Inni dowodzą, że piastowscy władcy Śląska mają polskie korzenie, utrzymywali więzi z rodami małopolskimi, mazowieckimi, wielkopolskimi. Jako dowód związków z królestwem polskim podają, że na ich pieczęciach czy sarkofagach widniał charakterystyczny orzeł śląski albo wielkopolski. Na żadnym dokumencie wystawionym w kancelariach książąt piastowskich nie spotka pan orła brandenburskiego czy dwugłowego orła Habsburgów.

– Nie jest Pani Lubuszaną z urodzenia, mimo to bardzo dużo wie o Piastach śląskich.

– To zasługa doktora Toczewskiego. Podczas przypadkowego spotkania pochwalił mi się, że w częstochowskim muzeum obejrzał współcześnie wykonany poczet władców tamtej ziemi. Odpowiedziałam, że studiując w Katowicach byłam świadkiem swad między mieszkańcami Sosnowca, Dąbrowy Górniczej, Będzina z jednej strony i mieszkańcami Gliwic, Chorzowa, Zabrze z drugiej. Mieszkańcy regionu śląskiego i lubuskiego mają ten sam problem z tożsamością. Jeden i drugi obszar nie jest jednorodny historycznie. Województwo lubuskie leży na styku Pomorza, Wielkopolski, Śląska

i Łużyc. Województwo śląskie to pokaźna część Górnego Śląska, Zagłębie Dąbrowskie i subregion częstochowski wyłączony z Małopolski.

– **Wspomniała Pani o poczcie władców, który doktor Toczewski obejrzał w Częstochowie.**

– Tę informację doktora Toczewskiego potraktowałam jako zachętę do wykładu o malarzach historycznych. Zanim Jan Matejko namalował poczet królów i książąt, powiedziałam, Marceli Bacciarelli na prośbę Stanisława Augusta wykonał portrety 22 monarchów. W XVI wieku posągi władców brzeskich zdobiły fasadę tamtejszego zamku. Galerie rządców wiszą w pałacach magnackich, kuriach biskupich, opactwach. Salę senatu niemal każdej szkoły wyższej upiększają portrety rektorów. Zwyczaj ten dotarł nawet do parafii i gmin. Pochwaliłam się, że na swoim konczie mam kilka portretów burmistrzów i proboszczów. Wtedy doktor Toczewski spytał, czy podjęłabym się namalowania książąt zielonogórskich.

– **Profesor Jerzy Piotr Majchrzak podaje, że tylko dwaj Henrykowie z linii głogowskiej, VIII Młodszy zwany Wróblem i IX Starszy, tytułowali się księciami zielonogórskimi.**

– Wizerunki obu Piastów miały trafić do tworzącego się muzeum historycznego Zielonej Góry. Doktor Toczewski obiecał zebrać wszelkie dokumenty z okresu, gdy oni panowali, abym na ich podstawie mogła namalować podobizny Henryków. Mimo że przestudiowałam chyba wszystko, co krytycy napisali o poczcie Matejki, długo nie mogłam zabrać się do pracy. Przyznaję się, że miałam zbyt skromną wiedzę historyczną, aby obu Henryków przedstawić w klimacie ich epoki. Aby nikt nie zarzucił mi, że są zbyt współcześni.

– **Udało się?**

– Z obawami zaniósłam wizerunek Henryka VIII do muzeum. Gdy historycy obejrzel go, dowiedziałam się, że książę żyjący w drugiej połowie XIV stulecia dzierży w dłoni rękojeść szesnastowiecznego miecza. Że napierśnik jest jeszcze młodszy, a hełm przypomina pruską pikelhaubę. Doktor Toczewski orzekł, że władca jest za bardzo do niego podobny. Tego ostatniego spostrzeżenia nawet nie

próbowałam obalić, ponieważ w trakcie malowania miałam przed oczyma twarz doktora Toczewskiego.

– Uwzględniła Pani uwagi muzealników i przemalowała Henryka VIII?

– Zamalowałam dolną część wizerunku, gdzie znajdowały się informacje o księciu. Wtedy już nikt nie miał wątpliwości, kogo przedstawiłam na obrazie. Dałam go doktorowi Toczewskiemu w prezencie, a on w zamian ofiarował mi swoją przyjaźń.

– Z propozycją namalowania wizerunków obu Henryków szef muzeum zwrócił się do Stanisława Antosza. Artysta wykonał pracę w terminie, ale doktor Toczewski nie był z niej zadowolony. Henrykowie jego pędzla byli surowi, zimni, wręcz bezduszni.

– Andrzej Toczewski zaprosił mnie do muzeum na coś w rodzaju kolaudacji dzieł. Mnie również nie odpowiadały zimne błękity Antosza, ale, broń Boże, nie wygłosiłam krytycznej opinii w obecności muzealników. Po zebraniu Andrzej, już byliśmy po imieniu, zaprosił mnie do swego gabinetu na kawę i powiedział: Irenko, nie ma innego wyjścia. Musisz namalować poczet Piastów lubuskich. Dokładnie nie pamiętam, co odpowiedziałam, pewnie przypomniałam, że próbowałam stworzyć portrety obu Henryków i, niestety. Andrzej mi przerwał: Moi współpracownicy ci pomogą.

– Co miał na myśli?

– Nawet nie spytałam, na czym będzie polegała pomoc muzealników. Zdawałam sobie sprawę z jednego: dotąd nikt nie namalował podobizn Piastów z linii głogowskiej i żagańskiej. To, jak ich przedstawię, utrwali się w historii. Po latach odwiedzający muzeum nie zwrócą uwagi na to, że podobizny Piastów powstały dopiero na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia. Pięćset lat po śmierci ostatniego piastowskiego władcy księstwa głogowskiego.

– Na czym polegała pomoc muzealników?

– Andrzej ze swoimi współpracownikami przestudiował dzieje Głogowa, Żagania, Kożuchowa, Szprotawy, Bytomia Odrzańskiego, Przewozu, Zielonej Góry, Nowogrodu, Krosna, dokumenty świeckie

i kościelne, publikacje historyków polskich i niemieckich. Wybrał chyba 57 postaci, w żyłach których płynęła krew piastowska i które władały ziemiami należącymi do Śląska Lubuskiego. Niektórych znał tylko z imienia, ale kiedy i gdzie władca się urodził, czego dokonał, którymi ziemiami zarządzał itp. nie udało się ustalić. Natomiast o innych, na przykład o Henryku I Brodatym, zmarłym na zamku w Krośnic Odrzańskim, materiałów nie brakowało.

– Podobiznę Henryka I Brodatego Jan Matejko umieścił w swoim poczcie królów i książąt polskich.

– Ustaliliśmy, że poczet książąt Śląska Lubuskiego otworzy wizerunek twórcy monarchii henrykowskiej Henryka Brodatego. Że w rysach jego twarzy uwzględnię to, co zaznaczył Matejko, aby nie mącić w głowach osób poznających historię Polski. Matejko namalował Brodatego od pasa w górę, ja – od piersi w górę. Mój Brodaty na głowie ma koronę książęcą, Brodaty Matejki – coś podobnego do biretu.

– Rozumiem, że wzór korony nie jest przypadkowy. Jej kształt i wygląd innych atrybutów władzy książęcej dostarczyli muzealnicy.

– Zespołowi Andrzeja udało się opracować życiorysy 24 władców piastowskich, którzy najgłębiej zapisali się w dziejach Śląska Lubuskiego. To była długa i mozolna praca. Historycy dali mi odbitki pieczęci książęcych, fotografie płyt nagrobnych i sarkofagów, kopie rycin z dawnych lat, epitafia, opisy zawarte w średniowiecznych kronikach. Materiałów ikonograficznych szukali w archiwach polskich, niemieckich i duńskich.

– W Pani pracowni powstały 24 podobizny władców. Gdy patrzyłem na Bolesława Rogatkę, zwanego też Łysym lub Srogim, widziałem mężczyznę, który bez względu na okoliczności chciał sprawować władzę. Człowieka bezwzględnego.

– Staralam się, aby książęta mieli na sobie szaty średniowieczne. Aby atrybuty ich władzy były takie same lub podobne do tych, które zachowały się na pieczęciach czy płytach nagrobnych. I aby nie były to przypadkowe podobizny, a odpowiadające przydomkom nadanym im przez współczesnych. A skoro dziejopisarze obok imienia

Bolesława II dopisywali przydomki Łysy, Srogi, Rogatka, starałam się uwypuklić te cechy na płótnie.

– **Z wykształcenia jest Pani plastyczką. Skąd wiedza o psychologii człowieka?**

– Mój ojciec był malarzem, więc od dziecka obcowałam ze sztalugami, blejtramami, farbami i pędzlami, przypatrywałam się osobom portretowanym i ich barwnym podobiznom. Jako licealistka kreśliłam portreciki koleżanek i kolegów. To było pierwsze źródło mojej edukacji psychologicznej. Po drugie, w Zielonej Górze współpracowałam z policją, wykonując portrety pamięciowe osób poszukiwanych. Ta ostatnia praca zmusiła mnie do pogłębienia wiedzy z zakresu psychologii i okazała się niezłym uniwersytetem.

– **Nie mam wątpliwości, że patrzący na mnie Henryk IV Prawy był księciem sprawiedliwym, uczciwym, przyzwoitym, a Henryk V Żelazny – Piastem twardym, walecznym, zdecydowanym.**

– Przedstawienie wizerunków akurat tych dwu władców nie było trudne, tym bardziej że zachowało się niemało dokumentów dotyczących ich działalności. Łatwo mi poszło też z Henrykiem II Pobożnym, nawet z Henrykiem IV Wiernym Żagańskim czy Janem II Szalonym. Tak zwane schody zaczęły się, gdy malowałam Henryka VII Średniego Rumpolda i Henryka X Młodszego Rumpolda. Henryk VII miał nieforemną budowę ciała, był wyjątkowo otyły. Henryk X zmarł w duńskim Szlezwiku podczas epidemii zarazy i tam został pochowany. Długo nie umiałam sobie poradzić z Konradem I, protoplastą linii głogowskiej Piastów, na którego pieczęci widnieje napis „Konrad z Bożej łaski książę śląski i polski”. Zdawałam sobie sprawę, że taki władca na podobiznie powinien wyglądać godnie, wręcz majestatycznie.

– **Rudolf, syn Jana I Żagańskiego, przypomina mnicha z filmowych *Krzyżaków*.**

– W *Kronice opatów żagańskich* książę Rudolf został przedstawiony jako „człowiek nadzwyczaj pobożny i waleczny, będący wiernym wyznawcą kultu świętej Jadwigi”. Dariusz Wieczorek w pracy o poczie książąt piastowskich w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej

napisał, że Rudolf „oślepiiony religijnym fanatyzmem stanął po stronie państwa zakonnego i uratował je wówczas od zagłady”. Dariusz miał na myśli bitwę pod Chojnicami w 1454 roku, kiedy po jednej stronie stanęły wojska polskie Kazimierza Jagiellończyka, po drugiej armia zakonu krzyżackiego. Chociaż krzyżacy bitwę wygrali, żagarianin przypłacił ją życiem. Ponieważ piastowski Rudolf wystąpił przeciw monarchii Jagiellonów, zdecydowałam się przedstawić go jako rudego, niewiarygodnego mężczyznę. Podstępnego, jakich wielu na kartkach powieści Henryka Sienkiewicza.

– Baltazar, który umarł z głodu w wieży zamku w Przewozie, uwięziony tam przez swego brata Jana, wygląda niewinnie. Nie uwzględniła Pani tego, że walczył w Prusach przeciw królestwu polskiemu i jako władca księstwa żagańskiego złożył hołd lenny królowi czeskiemu.

– Gdyby król polski Kazimierz Jagiellończyk chciał zasiąść na tronie czeskim, pewnie książę Baltazar schyliłby przed nim głowę. Żagarianin wojował w Prusach, ponieważ chciał pomścić śmierć swego brata Rudolfa. Nie ma bezdyskusyjnych dowodów, że Baltazar umarł z głodu i pragnienia w Przewozie, uwięziony tam przez Jana II Szalonego. Może to tylko legenda, ale uwierzyłam w jego śmierć głodową i dlatego zamiast przedstawić tego Piasta jako władcę o zmiennym charakterze, walczącego ze swoim bratem Janem, namalowałam człowieka wielkodusznego, któremu dobrze z oczu patrzy.

– Henryk VIII Młodszy, tytułujący się również księciem zielonogórskim, zwany Wróblem, wygląda jak ptaszek, który za chwilę wzbije się w przestworza.

– To był nieszczęśliwy władca. Zaciągał pożyczki, tonął w długach. Aby je spłacić, nawet zajął dochody z dóbr kościelnych, za co biskup obłożył go ekskomuniką. Gdy podczas turnieju rycerskiego w Legnicy odniósł ciężkie rany i zmarł w Szprotawie, augustianie żaganiacy nie chcieli go pochować w nekropolii rodzinnej. Dopiero po interwencji księcia legnickiego zgodzili się na pogrzeb.

– Pani powiedziała, że przedstawiając wizerunki Piastów starała się uwzględnić ich cechy psychologiczne i przydomki. A Konrad II, zwany Garbatym, na obrazie Pani pędzla jest

niemał tak samo wyprostowany jak jego brat Henryk III Głogowski.

– Konrad II cierpiał na nieznaczną skoliozę, ale nie był ułomny. Postawił pierwszy zamek w Żaganiu. W dziejach Śląska Lubuskiego zapisał się jako sprawny władca, dlatego trochę ukryłam ten jego defekt anatomiczny. Przypuszczałam, że gdyby garb był duży i go ośmieszał, Kościół nie pozwoliłby, aby był pełnił godność przełożonego kapituły lubuskiej. A on starał się nawet o urząd biskupa wrocławskiego i arcybiskupa Akwilei w północnych Włoszech.

– Dostojni na płótnach są Przemko II i Bolko II Mały.

– Kronikarze podają, że to jedyni książęta, którzy nie ulegli Czechom i obronili swoją niepodległość, ale i dochowali wierności monarchii polskiej. Jan Długosz tak napisał o Bolku II: „Mimo że wszyscy książęta śląscy odpadli od królestwa polskiego i oddali się w niewolę królestwu czeskiemu, on sam trwał w wierności i posłuszeństwie wobec króla królestwa polskiego, uważając za całkowitą głupotę i szaleństwo postępowanie własnych, przyrodzonych królów, a stawianie wyżej czeskich”. Bolko II powinien mieć przydomek Wierny, a Przemko II Oddany.

– Ilu władców liczy orszak piastowskich książąt Śląska Lubuskiego?

– Wedle zamysłu Andrzeja Toczewskiego miało być 57 płócien. Okazało się to niemożliwe do wykonania między innymi i dlatego, że o większości książąt niewiele wiadomo. Ostatecznie poczet tworzą 24 podobizny, bardziej psychologiczne niż ikonograficzne, najważniejszych władców Śląska Lubuskiego. Można je obejrzeć w zielonogórskim Muzeum Ziemi Lubuskiej, w albumie towarzyszącym galerii władców, w Internecie. Ukazała się też seria widokówek z Piastami. Kopie podobizn niektórych książąt z tego pocztu zdobią ściany ratuszy miejskich.

– Jak długo Pani pracowała nad pocztem?

– Pełne trzy lata moją pracownią władali Piastowie. Wykonanie jednej podobizny zajmowało mi około miesiąca. Jako pierwszy powstał wizerunek najstarszego spośród Piastów śląskich Henryka Brodatego. O kolejności malowania pozostałych podobizn części

decydowali muzealnicy niż ja. Zależała od tego, na temat którego księcia historycy zgromadzili najbogatszą dokumentację.

– Po Piastach namalowała Pani portrety szefów zielonogórskiego muzeum.

– Nic było to zadanie proste, ale w porównaniu z poczem piastowskim dużo łatwiejsze. Mimo że większość kierowników muzeum znałam tylko ze zdjęć legitymacyjnych albo okolicznościowych czy rodzinnych fotografii, czułam zapach ich czasów. Zdawałam sobie sprawę i z tego, że do muzeum przyjdą osoby, które znały niektórych szefów tej instytucji. I że te osoby zachowały w pamięci, na przykład, Klemensa Felchnerowskiego.

– Do tej samej grupy portretowanych należy Kazimierz Li-sowski.

– To bohater polonijny z lat międzywojennych, gdy Zielona Góra była Grünbergiem. Zmarł w siedzibie gestapo. Na miasto spogląda z pomnika przy elżbietankach. Na kamienicy, w której mieszkał, jest tablica pamiątkowa. Patronuje ulicy i zielonogórskim rzemieślnikom.

– Namalowała Pani również portret Tadeusza Kuntzego.

– Kuntze, w Krakowie zwany Koniczem, a we Włoszech Taddeo Polacco, urodził się w Zielonej Górze, kiedy miasto wraz ze Śląskiem należało do królestwa czeskiego w monarchii Habsburgów. Uważany za jednego z najważniejszych malarzy XVIII wieku, nie namalował olejnego autoportretu, ale pozostawił szkice. Na ich podstawie wykonałam portret mistrza, uzupełniający galerię jego dzieł w zielonogórskim muzeum.

– Ślicznie dziękuję za rozmowę.

Artyści, z których Zielona Góra jest dumna

Uwzględniłem jedynie tych artystów plastyków, którzy swoją twórczością przekroczyli granice Środkowego Nadodrza i wpisali się do historii sztuki świata.

Tadeusz Kuntze

Urodził się 20 kwietnia 1727 w Zielonej Górze, zmarł 8 maja 1793 r. w Rzymie. Kształcił się w rzymskich uczelniach Akademii Francuskiej i Scuola del Nudo przy Akademii Świętego Łukasza. Po zakończeniu studiów wrócił do Krakowa, gdzie malował głównie na zlecenie bp. Stanisława Załuskiego. Po śmierci protektora dostał zaproszenie na dwór hiszpański. Najpierw pojechał do Rzymu, gdzie ożenił się z Hiszpanką, córką swego profesora Francesco Bergara. Od 1759 r. do czasu śmierci mieszkał i tworzył w Rzymie. Jest uważany za jednego z najwybitniejszych malarzy XVIII wieku. Muzeum Ziemi Lubuskiej przechowuje jego prace z kolekcji Fundacji Zbiorów im. Ciechanowickich. Ma też kopię *Fortuny*.

Wiesław Müldner-Nieckowski

Urodził się 20 sierpnia 1915 w Zatorze, zmarł 2 września 1982 r. w Warszawie. Studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim, rzeźbę i malarstwo w Académie de la Grande Chaumière w Paryżu i architekturę wewnątrz w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. W latach 1945-1949 mieszkał w Zielonej Górze, gdzie pracował jako urzędnik i był animatorem życia kulturalnego, prowadził kabaret Zielony Kot. Po przeniesieniu się do Warszawy uprawiał twórczość rzeźbiarską i malarską. Uznanie zyskał jako autor medali artystycznych. Spod jego dłuta wyszedł pomnik Stefana Żeromskiego w Warszawie. Największy zbiór rzeźb, medali, obrazów i rysunków zgromadziło Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Klemens Felchnerowski

Urodził się 4 listopada 1928 w Toruniu, zmarł 27 stycznia 1980 r. w Zielonej Górze. Studiował na wydziale sztuk pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i na wydziale architektury Politechniki Gdańskiej. W 1953 r. jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki przyjechał do Zielonej Góry i objął stanowisko wojewódzkiego konserwatora zabytków. Rok później współtworzył

delegaturę Związku Polskich Artystów Plastyków. Był członkiem grupy Krąg, wystawiał w Londynie. W latach 1960-1965 kierował Muzeum Ziemi Lubuskiej. Muzeum zgromadziło 1566 jego prac, głównie grafik, obrazów olejnych i akrylowych.

Marian Szpakowski

Urodził się 11 stycznia 1925 w Zaleszczykach, zmarł 1 września 1983 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1954 r. zamieszkał w Zielonej Górze. Przez wiele lat był prezesem Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Z jego inicjatywy powstała grupa Krąg skupiająca przedstawicieli środowisk twórczych Krakowa, Wrocławia, Zielonej Góry i Londynu. Zasłynął jako pomysłodawca oraz główny organizator wystaw i sympozjów Złotego Grona, odbywających się w Zielonej Górze w latach 1963-1981. Należał do czołówki polskich artystów posługujących się językiem geometrii i uprawiających sztukę konkretną.

Największa kolekcja jego prac znajduje się w Muzeum Ziemi Lubuskiej.



*Tadeusz Jasiński – fotografia Czesława Łuniewicza –
w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze*

Tadeusz Jasiński

Urodził się 1 czerwca 1928 w Brzeziu Polskim koło Brodnicy, zmarł 6 października 1992 r. w Lublinie. Studiował w Akademii Nauk Politycznych i Szkole Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie. W 1954 przyjechał do Zielonej Góry, gdzie pracował jako dziennikarz Polskiego Radia, *Nadodrza* i *Gazety Zielonogórskiej* do 1974 r. Po przeprowadzce do Lublina był dziennikarzem w *Kamieniu*. Jako pisarz debiutował w 1952 r. w tygodniku *Wieś*. Napisał zbiory opowiadań z dziejów Ziemi Lubuskiej *Dymy wyższe nad dęby* oraz *Mieczem i krzyżem*. Spod jego pióra wyszły m.in. powieści *Droga okólna*, *Na spalonym miłość*, *Za człowiekiem cień*, *Mocarze zejdą z gór*. Jest autorem dramatów, słuchowisk i reportaży.

SKAZANI NA WIECZNĄ TUŁACZKĘ

Rozmowa z Tadeuszem Jasińskim,
pisarzem historycznym i publicystą

– Wedle Starego Testamentu Żydzi są narodem wybranym przez Boga. Judaizm i religia chrześcijańska mają wspólne korzenie. Mimo to część chrześcijańskiej Europy uważa ich za wrogów Chrystusa. Mniej więcej od początku nowej ery żyją w rozproszeniu. Zastanawiał się Pan, dlaczego tak się stało?

– To częśćka prawdy. Częstka, bo po podbojach i wypędzeniu Żydów z Judei, później nazwanej Palestyną, po wiekach nieobecności na mapie świata jako państwa, w 1948 roku na starożytnej ziemi Kanaan powstała żydowska republika Izrael. Dziś około 12 milionów Żydów żyje poza granicami tego państwa, najwięcej w Stanach Zjednoczonych, Rosji, Francji. Co ciekawe, mimo rozproszenia Żydzi zachowali swoją kulturę i tradycję, łączy ich świadomość narodo-wo-religijna skodyfikowana dopiero w drugiej połowie pierwszego tysiąclecia. Czyli wtedy, kiedy zaczęło się utrwalać chrześcijaństwo. W średniowiecznej, chrześcijańskiej Europie Żydzi mieli odrębne prawa, własne sądy i samorządy, często podlegali specjalnej ochronie władcy.

– Na wielu dworach Europy sprawowali najwyższe funkcje, szczególnie w zakresie dysponowania skarbem i gospodarką.

– Nic potrafię wyjaśnić, z czego to wynika, że Żydzi są niesłychanie dobrymi gospodarzami i niezwykle zaradnymi zarządcami.

Te pozytywne cechy powinny być wzorem do naśladowania, tymczasem przez inne nacje często były utożsamiane z wyzyskiem, cwaniactwem, oszukiwaniem. W Polsce utrwaliło się wiele stereotypów Żyda, na przykład, karczmarza rozpijającego chłopów, lichwiarza zdzierającego z biedaka ostatnią koszulę. W państwach europejskich dochodziło do pogromów i wypędzeń Żydów, częstokroć mających charakter mordów i rabunków. Uciekając z zachodniej Europy przed swoimi dręczycielami, już w XII wieku Żydzi zaczęli się osiedlać na wschód od Odry.

– Średniowieczna historia Kościoła katolickiego wymienia włoskiego franciszkanina Jana z Capistrano jako głosiciela płomiennych kazań. Czy to ten sam mnich, który w Niemczech, Czechach, Polsce nawoływał do wypędzenia Żydów?

– Kiedy pisałem opowiadania z dziejów Ziemi Lubuskiej, zebrane w tomach *Mieczem i krzyżem* oraz *Dymy wyższe nad dęby*, natknąłem się na informacje o Janie z Capistrano. Wedle niego Żydzi swoim sposobem życia demoralizowali bogobojnych chrześcijan. Nie był on jedynym obrońcą religii katolickiej, bo przecież niewiele później Niemiec Jacob Sprenger i Heinrich Kramer napisali *Młot na czarownice*, traktowany jako podręcznik osądzania i karania magów. Polowania na czarownice doprowadziły do śmierci tysięcy niewinnych kobiet w krajach chrześcijańskich, a kazania Jana z Capistrano do wypędzenia ludności żydowskiej z zachodniej Europy. Podburzeni przez franciszkańskiego mnicha, w 1453 roku na placu Solnym we Wrocławiu katolicy zamordowali kilkudziesięciu Żydów, a ich dzieci pod przymusem ochrzczono i zabrano do klasztorów.

– Czy miało to jakiś związek z procesami o zbezczeszczenie hostii?

– Średniowieczna Polska była raczej tolerancyjna wobec innowierców, mimo to również dociegnięto do oskarżania Żydów, co oznaczało karę na gardle czy stosie. W Brandenburgii oskarżenia o zbezczeszczenie hostii pod koniec XIV wieku i na początku XV były tak częste, że władcy nakazali wypędzenie wszystkich, jak się już wtedy mówiło, starozakonnych. Najczęściej jako miejsce swego osiedlenia Żydzi wybierali Rzeczpospolitą. Dlatego w okresie międzywojennym w niektórych miastach wschodniej Polski częściej słyszało się

język jidysz niż mowę polską. Pod koniec XIX wieku wśród mieszkańców Krasnobrodu na Lubelszczyźnie było 76 procent Żydów. Rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej Zamość w 70 procentach był żydowski. W pobliskim Szczebrzeszynie starozakonni stanowili 65 procent, w Białej Podlaskiej – 66, w Lubartowie – ponad 50, w Lublinie – 40. Przedstawiciele tej nacji byli lekarzami, aptekarzami, adwokatami, sklepikarzami, fabrykantami, bankierami, co oznaczało, że należeli do najbogatszych mieszkańców. To wywoływało niezadowolenie biedoty, podsycane przez część duchowieństwa katolickiego nieprzyjaźnie nastawionego do starozakonnych.

– Kiedy zaczął się utrwalać stereotyp Polaka-katolika?

– To przekonanie pojawiło się w XVII wieku, w dobie kontrreformacji, a zadomowiło się w wystąpieniach publicznych zaraz po rozbiorach Polski. Dotyczyło bardziej szlachty oraz mieszczan niż chłopstwa i oznaczało patriotyczny opór przeciw zaborcom, którzy wyznawali wiarę prawosławną i protestancką. Kto chodził do kościoła katolickiego, był uważany za Polaka sercem i duszą, wzór patrioty, co krzywdziło nie tylko Żydów, lecz i Łemków, i Hucułów, i Bojków, i polskich luteran. Przedstawicielem tej ostatniej grupki był Juliusz Ordon, komendant reduty na Woli podczas powstania listopadowego. Kalwin Józef Sowiński brał udział w powstaniu kościuszkowskim i zginął jako obrońca Warszawy w powstaniu listopadowym. Samuel Linde podczas insurekcji kościuszkowskiej zainicjował wieszanie zdrajców. Jako leksykograf napisał sześciotomowy słownik języka polskiego. Mikołaj Rej najpierw wyznawał religię luteranскую, potem kalwińską, jest uważany za ojca literatury polskiej.

– W Kościele katolickim, jak w każdej dużej wspólnotie, byli i tacy, którzy popełniali błędy. Zresztą i dziś nie brakuje księży, co innego głoszących z ambony i co innego robiących poza świątynią.

– Do kościelnych błędów na tle antyżydowskim należało, na przykład, wyniesienie Szymona z Trydentu na ołtarze. W 1475 roku trzyletni Szymon zaginął. Jego ciało ze śladami nakłuć znaleziono w pobliżu osiedla żydowskiego w Trydencie. Mieszkańcy miasta oskarżyli swoich żydowskich sąsiadów o mord rytualny. Piętnastu ich przedstawicieli po torturach skazano na spalenie na stosie. Dopiero

w 1965 roku Sobór watykański II uznał Szymona z Trydentu za fałszywego męczennika za wiarę. Papież Paweł VI kazał go usunąć z pocztu świętych.

– Wróćmy na Środkowe Nadodrze. W XV stuleciu południowa część tej ziemi należała do Śląska, północna do Brandenburgii. Czy Żydzi mieszkali w środkowonadodrzańskich miastach?

– Najwcześniej, bo w XI wieku osadnicy żydowscy pojawili się w Krośnie Odrzańskim, wtedy jednym z najważniejszych grodów piastowskich. W kolejnym wieku osiedli się w Głogowie i Gubinie, potem w Landsbergu, czyli Gorzowie, i w Żaganiu. Na początku XVI wieku, kiedy wypędzono Żydów z Brandenburgii i Śląska, Głogów był jedynym miastem w pasie nadodrzańskim, gdzie starozakonni mogli mieszkać. Miało to widoczny wpływ na gospodarczy i umysłowy rozwój stolicy księstwa.

– W 1249 roku książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandeburczykom, którzy mieli już jej drugą połowę. W 1483 roku Jan II zrzekł się Głogowa na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina. Potem Śląsk przejęli Habsburgowie, w 1740 roku przeszedł w ręce pruskich Hohenzollernów. Czy te i późniejsze zmiany władców miały wpływ na sytuację społeczną, gospodarczą, religijną Żydów na tym terenie?

– Zanim w 1812 roku król pruski Fryderyk Wilhelm III wydał edykt emancypacyjny, do miast nadodrzańskich zaczęli wracać Żydzi. Edykt oznaczał częściowe równouprawnienie mniejszości żydowskiej w Prusach, na przykład, swobodę wyboru zawodu, zezwalał na nabywanie ziemi i majątków, a nawet dopuszczał starozakonnych do służby wojskowej. Nie wolno im było posługiwać się językiem hebrajskim ani jidysz. Potem pozwolono na prowadzenie działalności rzemieślniczej, na zajmowanie stanowisk w administracji państwowej, oświacie i szkolnictwie wyższym. W XX wieku większość niemieckich noblistów było pochodzenia żydowskiego, co tylko potwierdza ogromny potencjał intelektualny tej nacji. Z Głogowem jako miejscem urodzenia był związany pisarz Arnold Zweig. Tu się urodzili tacy uczeni jak historyk David Cassel, hebraista Michael

Sachs, filozof Salomon Maimon. Najbardziej znaczące fabryki, domy towarowe i sklepy w Głogowie należały do Żydów. Obok Skwierzyny było to najważniejsze na Środkowym Nadodrzu miasto zamieszkałe przez starozakonnych.

– W 1894 roku głogowscy Żydzi sprzedali starą synagogę metodystom i przy Wingenstrasse (pol. ulica Kołłątaja) postawili nową świątynię.

– Synagoga, przeznaczona dla 300 mężczyzn i 250 kobiet, była uważana za najpiękniejszą świątynię w Niemczech, co świadczyło o randze głogowskiej gminy żydowskiej nie tylko na Środkowym Nadodrzu.

– Wspomniał Pan o Skwierzynie jako o jednym z najważniejszych miast zamieszkałych przez Żydów.

– Do 1793 roku, czyli do drugiego rozbioru Polski, Skwierzyna należała do Rzeczypospolitej, gdzie tolerowano osiedlanie się innowierców. Po wypędzeniu Żydów z Brandenburgii większość landsberskich i frankfurckich przedstawicieli tej nacji postawiła swoje nowe domy w Skwierzynie, Międzyrzeczu, Wolsztynie. Wpłynęło to na późniejszy wyrozumiały stosunek polskiej ludności do przybyszów. A że Żydzi skwierzynscy wnosili widoczny wkład w rozwój miasta, mieli mniej wrogów niż gdzie indziej. Proszę sobie wyobrazić, że skwierzynscy Żydzi aż trzy razy budowali swoją synagogę, ponieważ wcześniej postawione świątynie były za małe. Przy synagodze funkcjonowała szkoła, sierociniec dla chłopców i szpital. Tu się urodził Eliakin ha-Kohen Götz, późniejszy naczelny rabin Węgier. Brakuje potwierdzenia, że stąd pochodziła Paula Stern, matka Henry'ego Kissingera, sekretarza stanu USA.

– Ile prawdy jest w tym, że kupcy w Berlinie obawiali się Żydów skwierzynskich?

– Mowa nie o Żydach ze Skwierzyny, a o złodziejach pochodzenia żydowskiego?

– Tak.

– Nie dotarłem do materiałów źródłowych, co nie oznacza, że zaprzeczę, iż w Skwierzynie i pobliskim Trzemesznie były szkoły uczące

złodziejstwa. Absolwenci tych szkół uchodzili za mistrzów w swoim fachu.

– Przy drodze z Międzyrzecza do Skwierzyny znajduje się jeden z najlepiej zachowanych i największych kirkutów na Ziemi Lubuskiej.

– Po drugiej wojnie światowej w Skwierzynie nie było Żydów, a Niemcy uciekli lub zostali wywiezieni za Odrę. Dawny kirkut jak i znajdujący się w pobliżu cmentarz niemiecki były zaniedbane. Polityka ówczesnych władz polskich nie sprzyjała zachowaniu takich pamiątek przeszłości. Dopiero w 1992 roku konserwator wpisał skwierzyński kirkut do rejestru zabytków, co przy wsparciu finansowym Fundacji Forda pozwoliło na uporządkowanie tego miejsca. Znajduje się tam 247 płyt nagrobnych, w większości wykonanych z piaskowca i różowego granitu.

– Jeden z najstarszych cmentarzy żydowskich w środkowej Europie jest w Słubicach. Został założony pod koniec XIV stulecia.

– Słubice pojawiły się na mapie administracyjnej dopiero w 1945 roku. Do tego czasu nosiły niemiecką nazwę Dammvorstadt i były prawobrzeżną częścią Frankfurtu nad Odrą. Na lewym brzegu rzeki stała frankfurcka synagoga, zniszczona podczas drugiej wojny światowej. Położony na prawobrzeżnych wzgórzach cmentarz był miejscem wiecznego spoczynku Żydów z obu części miasta. Należał nie tylko do najstarszych, lecz i największych oraz najbardziej zadbanych w Brandenburgii. W 1945 roku nie oszczędziły go działania wojenne, a potem decyzją polskiej administracji zlikwidowano nekropolię. Na skraju tego miejsca od połowy lat 70. do końca 90. XX wieku stał hotel z restauracją. Potem go rozebrano, a za pieniądze Fundacji Nissenbaumów teren ogrodzono i uporządkowano. Miejsce wróciło do gminy żydowskiej, w 2004 roku zbudowano tam mauzoleum. Są w nim odtworzone nagrobki wybitnych rabinów frankfurckich: Josefa ben Meir Theomima, autora takich dzieł jak *Porat Josef* i *Ginat Wradim*, Mendela von Podheiza, który napisał *Menorat Sacharija* i *Sacharija Hamewin* oraz Jehudy Margaliota, spod pióra którego wyszły m.in. *Korban Reschit*, *Tal-Orat*, *Aze Eden*.

– Największym ośrodkiem miejskim we wschodniej Brandenburgii był położony nad Wartą Landsberg (pol. Gorzów).
– Brakuje dokładnych danych, czy pod względem liczebności społeczności żydowskiej Landsberg był na pierwszym miejscu. Z pewnością dużo Żydów mieszkalo w Skwierzynie i Międzyrzeczu. Gorzowscy starozakonni należeli do najzamożniejszych, najlepiej wykształconych, co miało wpływ na rolę, jaką odgrywali w rozwoju miasta. Boasowie byli kupcami, bankierami i naukowcami. Podobnie Cohnowie, Grodeckowie, Herrmannowie, Obersitzkowie, Reichmannowie, Pickowie. Z tej ostatniej rodziny pochodził profesor Ludwig Pick, autor odkryć z zakresu patologii i ginekologii. Z gorzowskich Schönfliessów wywodził się matematyk, profesor Arthur Moritz, rektor uniwersytetu we Frankfurcie nad Menem.

– Domyslałam się, że skoro Żydzi landsberscy należeli do najbogatszych mieszkańców miasta to i stać ich było na zbudowanie okazałej synagogi.

– Pierwsza świątynia stała tam, gdzie dziś jest budynek mieszkalny przy ulicy Łazienki 4. Okazała się za mała, więc ją rozebrano i w tym samym miejscu postawiono synagogę z miejscami dla 150 mężczyzn i 135 kobiet. Nad wejściem wisiał napis po niemiecku i hebrajsku „Mój dom ma być domem modlitwy dla wszystkich narodów”.

– Nie pytam o cmentarz, bo na pewno był i to niemały. Interesuje mnie, czy Żydzi landsberscy stanowili zorganizowaną społeczność.

– W tak dużym mieście, jakim był Landsberg, położonym przy najważniejszym w Niemczech trakcie z Berlina do Królewca, toczyło się bogate życie duchowe i towarzyskie społeczności starozakonnej. Była tu szkoła Związku Talmudu i Tory dla chłopców i dziewcząt, działała grupa młodzieżowa Hechaluzu. Istniał Związek Żydowskich Żołnierzy Frontowych i dom starców wyłącznie dla osób wywodzących się z tej społeczności, utrzymywany przez gminę.

– Przenieśmy się do drugiej lubuskiej stolicy. Pytam o Zieloną Górę.

– Po wypędzeniu Żydów ze Śląska w 1558 roku, Izraelitów prawie nie było w Grünbergu, czyli Zielonej Górze. Mówię: prawie, gdyż

żydowscy kupcy z Głogowa, jedyne miasta na Środkowym Nadodrzu, gdzie Żydzi mogli mieszkąć i handlować, przyjeżdżali tu w interesach. Proszę pamiętać, że średniowieczna Zielona Góra leżała w księstwie głogowskim. Każdy Żyd, który pojawiał się w mieście, na ubraniu musiał mieć czerwoną łatkę.

– Kiedy władze Grünberga zaakceptowały osiedlanie się Żydów w mieście?

– Polityka grünberskiego magistratu wobec tej społeczności zaczęła się zmieniać po przejęciu Śląska przez Prusy, a widoczne zmiany pewnie nastąpiły po drugim rozbiórze Polski. Wtedy wiele żydowskich rodzin z Wielkopolski przeniosło się do Grünberga. W mieście rozwijał się przemysł sukienniczy, co sprzyjało robieniu interesów. Podobnie jak w Landsbergu, również w Grünbergu Żydzi odgrywali coraz większą rolę w rozwoju miasta, mam na myśli kupieckie i bankierskie rodziny Wronskich, Wolfów, Meyerów. W pierwszej piątce płatników podatku było aż trzech o nazwisku Laskau. Najwyższy podatek płacił Sigismund Abraham. Wilhelm Levysohn wydawał gazetę *Grünberger Wochenblatt*. Do najzamożniejszych należał Adolf Selowsky, ostatni przewodniczący gminy żydowskiej.

– I tak jak Żydzi landsberscy, starozakonni w Winnym Grodzie mieli swój dom modlitewny czy dojeżdżali do Głogowa?

– Najpierw do tego celu służyły im niewielkie sale wynajmowane w domach mieszkalnych. Z biegiem lat, gdy liczba żydowskich grünberczyków wyraźnie się zwiększyła, na Glasserplatz (pol. plac Powstańców Wielkopolskich), gdzie dziś stoi filharmonia, gmina zbudowała synagogę z 350 miejscami siedzącymi. Na wzgórzu przy Breslauerstrasse (pol. ulica Wrocławska), nazywanym przez zielonogórzan Górą Żydowską, znajdował się jeden z najpiękniejszych cmentarzy na Śląsku, o którym mówiono, że jest majstersztykiem sztuki ogrodowej.

– Czy w Grünbergu była szkoła wyznaniowa?

– Dzieci żydowskie chodziły do szkół prowadzonych przez miasto. Najpierw gmina utrzymywała nauczyciela dbającego o ich edukację religijną, a na początku XX wieku, kiedy liczba żydowskich mieszkańców miasta wyraźnie się skurczyła, obowiązek ten przejęła

gmina głogowska. Trzeba dodać, że grünberscy Żydzi należeli do bardzo ofiarnych mieszkańców. Proszę sobie wyobrazić, że pod koniec XIX wieku w mieście było sześć fundacji, które pomagały młodzieży bez względu na jej przynależność etniczną i religijną.

– Po drugiej wojnie światowej największe skupisko Żydów było w Żarach. Czy Sorau, jak wcześniej brzmiała nazwa tego miasta, również przyciągało Izraelitów?

– W niemieckich Żarach mieszkało mniej Żydów niż w Grünbergu, mimo że pod względem liczebności miasta były porównywalne. Podobne spostrzeżenie można odnieść do Żagania, wtedy znanego jako Sagan. Za to w obu miastach Żydzi należeli do wiodących kupców, w pobliżu żarskiego ratusza Max i Siegfried Bickowie postawili nowoczesny dom towarowy. Stojąca obok kamienica z sklepem należała do Albeta Kalba. Rodziny Glassów i Lyonów prowadziły hurtownie i sprzedaż wysyłkową. W Sorau Żydówka Johanna Knopf założyła fundację, a za zebrane pieniądze ufundowała ogród sielankowy, uważany za jeden z najpiękniejszych w mieście. Żydzi w Sorau i Sagan modlili się w miejscowych bożnicach, zmarłych chowali na utrzymywanych przez siebie kirkutach.

– Dlaczego na przełomie XIX i XX wieku za żydowskie miasteczka uważano Babimost, Brójce, Kargowę, Pszczew, Trzciel, Wschowę?

– Wymienione przez pana miejscowości leżą na zachodnim krańcu Wielkopolski, z dala od największych skupisk miejskich w Brandenburgii. Włodarze tych miasteczek zdawali sobie sprawę z tego, że na ich rozwój w ogóle, a na handel szczególnie będą mieli wpływ ludzie wyjątkowo zaradni, ponieważ za takich uchodzili Żydzi.

– W Międzyrzeczu Żydzi kilka razy się pojawiali i bywali wypędzani. Bywało, że miejscowi sukiennicy niszczyli ich warsztaty i domy. Żołnierze Stefana Czarnieckiego w czasie potopu szwedzkiego wycieli w pień co najmniej setkę Żydów. A mimo to w połowie XIX wieku co trzeci mieszkaniec Międzyrzecza był narodowości żydowskiej.

– W dziejach Środkowego Nadodrza Międzyrzecz zajmuje miejsce szczególne. To samo dotyczy mniejszości żydowskiej. Tu stoi jedna

z nielicznych synagog, jakie zachowały się do naszych czasów, nie zniszczona przez nazistów podczas Nocy Kryształowej, w latach 70. W XX wieku wpisano ją do rejestru zabytków, a ostatnio wyremontowano. Do naszych czasów nie przetrwał kirkut, ale jak wyglądały stojące tam macewy, można zobaczyć w międzyrzeckim muzeum.

– Dlaczego na przełomie XIX i XX wieku niemal we wszystkich miastach zmalała liczba żydowskich mieszkańców?

– Po pierwsze, wiązało się to ze zniesieniem ograniczeń osiedleńczych dotyczących tej nacji. Po drugie, rozwijający się przemysł i wielkie miasta wysysały z prowincji najbardziej aktywne osoby, jakimi byli Żydzi. W latach 20. XX wieku liczba żydowskich mieszkańców wszystkich nadodrzańskich miasteczek wyraźnie zmalała, wzrosła natomiast w dużych ośrodkach. W 1925 roku w Breslau (Wrocław) mieszkało ponad 23 tysiące Żydów, w 1939 roku Poznaniu – ponad 27 tysięcy.

– Gdy poznańscy Żydzi cieszyli się swobodą, ich niemieccy rodacy już się przekonali, jak szkodliwe są ustawy norymberskie. Na podstawie prawa wprowadzonego w 1935 roku Żydów można było pozbawić obywatelstwa Rzeszy. Przedstawiciele tej nacji nie mogli pracować w administracji państwowej ani służyć w wojsku. Zabroniono zawierania małżeństw między Żydami i Niemcami, a stosunki intymne między nimi uznano za zhańbienie rasy.

– Uchwalenie ustaw norymberskich miało miejsce po zwycięstwie NSDAP w wyborach do parlamentu Rzeszy. Zanim Reichstag uchwalił te ustawy, bojówki nazistowskie rozpoczęły prześladowanie żydowskich kamieniczników, kupców, drobniejszych fabrykantów. Zmuszały administrację sądową do zmniejszenia liczby adwokatów pochodzenia żydowskiego, a dyrekcje szpitali do usunięcia lekarzy Żydów. 1 kwietnia 1933 roku w całych Niemczech urządzono dzień bojkotu sklepów i domów towarowych. Na drzwiach i szybach wymalowano hasło „Niemcy – nie kupujcie u Żydów!”.

– Potem była tragiczna Noc Kryształowa.

– Wydarzenia z nocy 9 na 10 listopada 1938 roku przeszły do historii również jako noc hańby, noc tłuczonego szkła, pogrom listopadowy.

Tej nocy naziści zdemolowali wszystkie sklepy żydowskie, większość mieszkań i kamienic, zbezczeszcili cmentarze, podpalili niemal wszystkie synagogi i domy modlitewne, wśród nich te w Landsbergu, w Grünbergu, w Guben, w Crossen, w Fraustadt, w Sagan, w Sorau. Uchroniły się synagogi w Schwerin i Meseritz, ale zostały zamienione na magazyny zbożowe. Setki Niemców narodowości żydowskiej naziści wywieźli do obozów koncentracyjnych.

– Co było bezpośrednią przyczyną Nocy Kryształowej? Nieznanego cywilizacji pogromu mniejszości narodowej w chrześcijańskiej Europie?

– Od czasu przejścia władzy w Trzeciej Rzeszy naziści szukali pretekstu do ataku na Żydów. To, do czego doszło w Niemczech z 9 na 10 listopada 1938, wiąże się z wydarzeniami z końca października tego samego roku. Wtedy Niemcy wysiedlili około 7-8 tysięcy Żydów do Polski, najwięcej do Zbąszynia i Trzciela. Zdaniem części historyków mogło to być nawet 17 tysięcy. Gdy mieszkający we Francji siedemnastoletni Herszel Grynszpan, syna szewca ze Zbąszynia, o tym się dowiedział, 7 listopada poszedł do niemieckiej ambasady w Paryżu. Tam w akcie odwetu za wysiedlenie Żydów zastrzelił sekretarza placówki Ernsta von Ratha. Minister propagandy Joseph Goebbels ogłosił to jako atak międzynarodowego żydostwa na Rzeszę Niemiecką, a naziści dali sygnał do pogromu.

– Potem zrobili kolejny krok.

– Ma pan na myśli zagładę ludności żydowskiej w hitlerowskich obozach śmierci?

– Tak.

– Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej... Nie mogę zrozumieć, jak napisała Zofia Nałkowska w *Medalionach*, dlaczego „ludzie ludziom zgotowali ten los”. Jak i nie można zrozumieć, dlaczego po tak bolesnych doświadczeniach w 1968 roku doszło do antyżydowskich działań władz w Polsce. Wierzę, że nigdy to się nie powtórzy.

– Dziękuję za rozmowę.

Żydzi w miejscowościach środkowonadodrzańskich

Miejscowość	rok z największą liczbą Żydów	liczba miesz- kańców ogółem	w tym Żydów
Babimost (Bomst)	1839	ok. 2.200	437
Brójce (Brätz)	1840	ok. 1.600	209
Dobiegiew (Woldenberg)	1897	4.667	131
Drezdenko (Driesen)	1870	ok. 6.100	170
Głogów (Glogau)	1791	ok. 11.000	1.791
Gorzów Wlkp. (Landsberg a.W.)	1871	ok. 23.000	730
Gubin (Guben)	1904	ok. 30.000	225
Kargowa (Unruhstadt)	1793	ok. 1.500	323
Kostrzyn nad Odrą (Küstrin a.W.)	1880	ok. 16.000	222
Krosno Odrz. (Crossen a.O.)	1880	ok. 7.000	176
Międzyrzecz (Meseritz)	1840	ok. 4.500	1.155
Nowa Sól (Neusalz a.O.)	1925	ok. 16.100	70
Pszczew (Betsche)	1840	ok. 1.600	173
Skwierzyna (Schwerin a.W.)	1838	ok. 4.000	1.543
Sulęcín (Zielenzig)	1921	ok. 5.800	82
Szlichtyngowa (Schlichtingsheim)	1713	ok. 600	163
Szprotawa (Sprottau)	1890	7.644	90
Świebodzin (Swiebus)	1929	ok. 9.500	112
Trzciel (Tirschtiel)	1840	ok. 1.600	305
Trzemeszno (Schermeisel)	1825	ok. 800	350
Witnica (Vietz)	1875	3.281	88
Wschowa (Fraustadt)	1817	ok. 6.500	648
Zielona Góra (Grünberg)	1880	13.039	264
Żagań (Sagan)	1880	ok. 15.000	170
Żary (Sorau)	1890	14.454	157

Po drugiej wojnie światowej największym skupiskiem Żydów na Środkowym Nadodrze stały się Żary – ok. 3.500 w 1946 r. Przeważnie byli to repatrianci ze Związku Radzieckiego. Mieli tu nie tylko swoją synagogę i cmentarz, lecz także spółdzielnie pracy, przedszkole, klub sportowy. Z biegiem lat żydowscy mieszkańcy opuszczali Żary. Dziś ich liczba sięga 100 osób. Po 1968 r. wielu urzędników i działaczy partyjnych pochodzenia żydowskiego wyjechało z Gorzowa i Zielonej Góry.

Dziś w Żarach siedzibę ma filia Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich, obejmująca swoim zasięgiem także Zieloną Górę, Szprotawę, Nową Sól i Lubsko. W mieście istnieje oddział Towarzystwa

Społeczno-Kulturalnego Żydów i Stowarzyszenie Kombatantów Żydowskich.

W Zielonej Górze funkcjonuje Fundacja Judaica, organizatorka do-
rocznych Dni Kultury Żydowskiej.

Wedle historyka Andrzeja Kirmiela, na Ziemi Lubuskiej zachowało
się 11 synagog i 47 cmentarzy żydowskich.



*Dorota Talleyrand-Périgod –
portret pędzla nieokreślonego autora – reprodukcja z książki
„...więcej niż życie” Jerzego Piotra Majchrzaka, Żagań 2004*

Dorota Talleyrand-Périgod

Urodziła się 21 sierpnia 1793 w Friedrichsfelde koło Berlina, zmarła 19 września 1862 r. w Sagan (Żagań). Jej rodzicami byli książę kurlandzki Piotr Biron i jego trzecia żona Dorota von Medem. Ze związku małżeńskiego z księciem Edmundem Talleyrandem-Périgodem urodziła synów Ludwika Napoleona i Aleksandra oraz córkę Paulinę. Po rozwodzie z mężem związała się z jego stryjem księciem Karolem Maurycym Talleyrandem. W 1840 r. osiadła w Günthersdorfie (Zatonie). Sześć lat później stała się właścicielką lenna żagańskiego. Była księżną Dino.

PANI KLENICKA MIESZKA W OTYNIU

Rozmowa z Dorotą Talleyrand-Périgod,
księżną żagańską

– Będąc właścicielem majątku sycowskiego na Dolnym Śląsku, w 1786 roku ksiązę kurlandzki Piotr Biron, Pani ojciec, Madame, za milion talarów kupił lenno żagańskie z prawem dziedziczenia w linii męskiej i żeńskiej. To zrozumiałe. Nie rozumiem jednak, jakim sposobem Wasza Dostojność stała się właścicielką dóbr otyńskich, należących do jezuitów.

– Gdy mój ojciec przyjął tytuł księcia żagańskiego klasztor jezuicki w Otyniu, nazywanym po niemiecku Wartenbergiem, już nie istniał. Pozostawione przez zakonników dobra ziemskie rząd pruski wystawił na sprzedaż. Nie wiem, kto jeszcze oprócz mego ojca się o nie starał. Zapewne chętnych było wielu, o czym świadczy zainteresowanie sprawą aż Fryderyka Wilhelma II. Król uzasadniał to w następujący sposób: „Pełnomocnicy księcia kurlandzkiego zabiegają o kupno dóbr otyńskich. Ksiązę ma zamiar scalić te ziemie z gruntami nieco wcześniej kupionego księstwa żagańskiego. Jeśli umożliwi się mu kupno tych włości, wówczas zrezygnuje on z roszczeń wobec Korony naszej o zwrot 300 tysięcy talarów.”

– W jakich okolicznościach królestwo pruskie stało się dłużnikiem Pani ojca?

– Dokładnie nie wiem. Zdaje się, że chodziło o to, iż w 1735 roku mój dziadek Ernest Jan Biron, spodziewając się utraty lenna kurlandzkiego,

kupił dobra państwa stanowego Syców na Dolnym Śląsku. Mimo to w latach 1741-1764 Prusy zainkasowały 300 tysięcy talarów z tytułu eksploatacji tego majątku. Po śmierci dziadka mój ojciec jako dziedzic majątku domagał się zwrotu niemalej nawet jak na królestwo sumy. Gdy państwo ociągało się z podjęciem decyzji, ojciec proponował, że nie będzie prawował się z Prusami, jeśli król zezwoli mu na zakup majątku pojezuickiego w Otyniu.

– I król zezwolił. W 1787 roku dobra otyńskie stały się własnością księcia żagańskiego. W ich skład wchodził pałac w podzielonogórskim Zatoniu, w którym Wasza Dostojność zamieszkała.

– Po nieudanych latach w małżeństwie nie mogłam wrócić do Żagania, chociaż miałam prawo do dziedziczenia części księstwa. Na drodze stanęła moja najstarsza siostra Wilhelmina, a właściwie jej syn, Fryderyk Wilhelm Konstantyn von Hohenzollern-Hochingen. Życie mnie nie oszczędzało...

– Przepraszam, nikomu nie powinienem przerywać, a tym bardziej kobiecie, księżnej Dino. Muszę to jednak zrobić, aby czytelnicy uzyskali ważne informacje.

– Szacunek jest bardzo ważny, ale prawda najważniejsza.

– Mimo że w 1793 roku rodzice Pani byli właścicielami księstwa żagańskiego, nie mieszkali w pałacu nad Bobrem. Pani urodziła się w podberlińskim Friedrichsfelde.

– Wedle metryki moimi rodzicami są Piotr Biron i jego trzecia żona Dorota von Medem. Powtarzam: wedle metryki, bo nie było tajemnicą, że moja matka przez długie lata miała romans z hrabią Aleksandrem Batowskim. Nie dziwię się temu, wszak w roku, w którym się urodziłam, ojciec miał już siedemdziesiąt lat, a matka zaledwie trzydzieści dwa. Podobno, jak doniesiono ojcu, że przyszedł na świat, skwitował to zdaniem: „To jest córka mojej żony”.

– Po tym, co Pani powiedziała, mam odwagę powtórzyć to, co warszawski historyk dziejów nowożytnych, Szymon Askenazy, napisał w studium *Napoleon a Polska*.

– Jestem bardzo ciekawa, czy napisał prawdę.

– „Otóż Batowski był kochankiem słynnej z urody i lekkich obyczajów Doroty Kurlandzkiej i ponoć ojcem najmłodszej jej córki, późniejszej księżny Talleyrand-Périgod.”

– Z pierwszą częścią stwierdzenia, że moja matka była słynna z urody, zgadzam się jak najbardziej. Od skomentowania części drugiej się wstrzymam. Nie jest mi łatwo odnieść się do części trzeciej konstatacji Askenazego, tym bardziej że gdy porównywałam portret hrabiego Batowskiego z moim odbiciem w lustrze, dostrzegałam podobieństwa... Przyznam się panu, że moja najstarsza siostra, Wilhelmina, nawiasem mówiąc, w związkach z mężczyznami zachowująca się podobnie jak matka, pod wpływem wzburzenia, a czasem nawet niby dla żartów, nazywała mnie małą Batowską.

– Ile prawdy jest w tym, że wychowywała się Pani pod okiem nie matki rodzonej, a matki chrzestnej, księżnej Luizy Radziwiłł?

– Jestem Bogu wdzięczna za to, że oddał mnie pod opiekę tak wspaniałej i mądrej kobiety, jaką była księżna Luiza Radziwiłł. Mimo że była tylko matką chrzestną, żywiła do mnie istne uczucia macierzyńskie. Pod jej okiem przeżyłam najlepsze lata.

– Badacz dziejów Żagania, Jerzy Piotr Majchrzak, podaje, że miała Pani wyjątkowe zdolności do nauk ścisłych.

– Moim nauczycielem i duchowym opiekunem był wspaniały pedagog, wcześniej królewski sekretarz, Scypion Piattoli. Nie tylko przekazywał mi wiedzę teoretyczną, nauczył łaciny i innych języków nowożytnych, ale i zachęcał do poznania malarstwa i architektury, a nawet za ważne uważał spędzanie godzin w berlińskim obserwatorium astronomicznym i prowadzenie rozmów z wybitnym astronomem Bogumiłem Bodem. Razem z nim odwiedzałam Krzysztofa Fryderyka Nicolaia, wybitnego pisarza niemieckiego oświecenia. Spośród wszystkich, którzy wypełniali mój młodzieńczy świat o Piattolim zachowałam najlepsze wspomnienia.

– Mając piętnaście lat, została Pani żoną Edmunda Talleyranda-Périgoda...

– Domyślam się, jaki będzie ciąg dalszy pytania. Dlatego bardzo proszę, aby pan z powodu tego kroku mnie nie dręczył. Powiem

tyle, ile uważam za stosowne. Wysłałam za mąż za księcia Dino, bo takie było życzenie mojej matki. Bo taki plan powziął Karol Maurycy Talleyrand, sławny minister spraw zagranicznych Francji, stryj Edmunda. Księżciu Dino urodziłam troje dzieci, ale szczęśliwsza byłam po rozstaniu z mężem, towarzysząc jego stryjowi Karolowi Maurycemu, kiedy został ambasadorem w Londynie. Do tego stopnia szczęśliwa, że po jego śmierci nie umiałam znaleźć sobie miejsca we Francji.

– I wtedy, w 1840 roku, Wasza Dostojność postanowiła osiąść w zacisznym, oddalonym od centrów kulturowych i towarzyskich Zatoniu, w pałacu znakomicie wkomponowanym w park i ogród, między Zieloną Górą a Żaganiem. W miejscu, które należało do Pani z tytułu uposażenia posagowego. – Rezydencję w Zatoniu wznosił marszałek szlachty zielonogórskiej Baltazar von Unruh w 1689 roku. Gdy półtora wieku później osiadłam w Zatoniu, kazałam stary pałac rozbudować i upiększyć przez dodanie piętra i skrzydeł bocznych, tarasów i oranżerii, według projektu królewskiego architekta Karola Schinkla z Berlina. Park przy pałacowy powstał wedle zamysłu najslawniejszego twórcy takich miejsc, mówię o księciu Hermannie von Pücklerze z Mużakowa.

– Czytałam, że Pani, Madame, miała zamiar tylko odpoczywać, czytać i obserwować otoczenie, słowem: wieść spokojne życie w wiejskim zaciszu.

– Przez krótki czas tak było. Niebawem okazało się, że jestem stworzona do czegoś innego, dlatego zapraszałam do Zatonia takie sławy jak Aleksander von Humboldt, Wiktor Hugo, Ryszard Wagner. W Zatoniu, ku zaskoczeniu sąsiadów, podejmowałam króla Prus Fryderyka Wilhelma IV i cara Rosji Mikołaja I. Założyłam tam szkołę i sierociniec, kazałam uczyć dzieci wieśniaków, niektóre posłałam do szkoły ogrodniczej w Mużakowie. Nawet kiedy sześć lat później odzyskałam pełnię władzy w księstwie żagańskim i przenieśliśmy się do pełnego rodzinnym pamiątek i wspomnień pałacu nad Bobrem, często wracałam do Zatonia po spokój i radość.

– W prowadzonym systematycznie dzienniku wspomina Pani o częstych wizytacjach dóbr.

– Objazd posiadłości i rozmowy z rządcami uważałam za swój podstawowy obowiązek.

– Pod koniec czerwca 1840 roku zanotowała Pani, że była w Klenicy. „Wiesz dużo, zadbana, katolicka. Stary proboszcz Wolitzki pamięta jeszcze mojego ojca. Bardzo ładny kościół z repliką obrazu Matki Jasnogórskiej”. Czy ksiądz Wolitzki wspominał, że jego marzeniem jest, aby w tym kościele stała figura Matki Bożej Klenickiej?

– Ta sprawa męczyła mnie do końca moich dni. Pewnie gdybym zwróciła się do proboszcza parafii otyńskiej, figura by wróciła do Klenicy, tym bardziej że w Otyniu już nie było jej opiekunów jezuitów, ponieważ decyzją króla Prus pod koniec XVIII wieku zakon został rozwiązany.

– Statua Matki Bożej zwanej Klenicką od przełomu XIV i XV wieku jest uważana za cudowną. Czy ksiądz Wolitzki przedstawił Pani jej dzieje i wyjaśnił, dlaczego powinna wrócić do Klenicy?

– Ksiądz Wolitzki z wielkim zapalem opowiadał o znaczeniu statui Madonny dla katolików w Klenicy i okolicy. Rzekł nawet, że pewnie dlatego tak długo żyje, bo dobry Pan Bóg pokłada w nim nadzieję jako w tym duchownym, któremu uda się wreszcie sprowadzić figurę tam, skąd wyruszyła na pielgrzymkę do Otynia. Czyli do klenickiego kościoła.

– A czy wspominał o okolicznościach, w jakich figura powstała i została uznana za cudowną?

– Od tego zaczął dumny, że pełni posługę duchową w takim miejscu. Wedle miejscowej tradycji Matka Boża objawiła się pasterce gęsi na pagórku za wsią. Przekazała jej, aby w tym miejscu mieszkańcy Klenicy postawili kapliczkę, a drugiego lipca świętowali jej imieniny oraz szczerze się modlili. I najważniejsze: zapowiedziała, że nadejdą takie czasy, kiedy chrześcijanin zza morza podniesie rękę na miejscowego chrześcijanina. Zdaniem księdza Wolitzkiego wieść o Matce Bożej szybko rozniosła się po okolicy. Gdy w miejscu objawienia stanął drewniany kościółek z dzwonnica, mieszkańcy Swarzynic, Trzebiechowa, Bojadół, Siadczy, Bełczy, Radowic, Głuchowa

i jeszcze dalszych miejscowości pielgrzymowali do Klenicy. Tu się modlili do Bożej Rodzicielki, prosząc Ją o zdrowie dla siebie i swoich bliskich, o ochronę przed żywiołami, nawet o dobre plony. W księdze łask zapisano, że wielu spośród nich doznało cudownego ozdrowienia, na wielu spłynęły łaski Świętej Panienci.

– Ksiądz Wolitzki pewnie powtórzył Pani to, co od wieków przekazywały sobie ustnie pokolenia kleniczian.

– Jako długoletni duszpasterz ksiądz Wolitzki słyszał немало. Jako osoba dostatecznie wykształcona umiał wyciągać wnioski z podań ludowych i wykorzystywać je ku chwale Kościoła katolickiego. Domyślałam się, że tego wymagali jego przełożeni, jak i tego, aby niczego nie czynił wbrew woli wiernych. Potwierdzenie jego opowieści znalazłam w Otyniu.

– Tam od 1656 roku znajduje się figura Matki Bożej Klenickiej.

– Pierwszy raz pojechałam do Otynia w czerwcu 1840 roku, kiedy wybrałam się na mszę świętą do tamtejszego kościoła parafialnego. Świątynia była wypełniona do ostatniego miejsca. Wręczono mi bukiet polnych kwiatów. Zdumiała mnie doskonała gra organisty i śpiew liturgiczny dziecięcego chóru miejscowej szkoły katolickiej. Byłam wzruszona i jeszcze bardziej przekonana, że ci ludzie, ta ziemia, rzeki, lasy, pola są mi najbliższe. Po mszy zjadłam śniadanie w ratuszu, tam też przedstawiono mi członków rady miejskiej i zarządców okolicznych majątków. A potem jeszcze raz zaprowadzono mnie do kościoła, gdzie złożyłam hołd Świętej Paniencie, prosząc o opiekę i łaskę.

– Czy wyjaśniono Waszej Dostojności, dlaczego figura Matki Bożej z Klenicy znajduje się w Otyniu?

– O ile dobrze zapamiętałam, to w połowie XV wieku król czeski Władysław sprzedał dobra otyńskie, w skład których wchodził także majątek klenicki, braciom Hansowi i Nickelowi von Rechenbergom. W 1595 roku Jerzy von Rechenberg przyjął religię luterzańską i zarządził, aby podwładni również ją wyznawali na zasadzie: czyja władza, tego religia. W obawie przed profanacją ci kleniczanie, którzy zostali przy wierze katolickiej ukrywali słynącą łaskami figurę

u swoich znajomych i krewnych w okolicznych miejscowościach. Podobno Święta Panienka najbardziej bezpiecznie czuła się w katolickiej Kopanicy...

– Przerwę Pani wypowiedź, ponieważ czytelnicy mniej zorientowani w dziejach Śląska mogli się pogubić. Do 1740 roku region ten był pod władzą czesko-austriackich Habsburgów. Wtedy król pruski Fryderyk II Hohenzollern zaczął marzyć o odtworzeniu cesarstwa niemieckiego pod berłem pruskim. Dwa lata później udało mu się zaanektować Śląsk, który stał się niemiecki aż do 1945 roku.

– Po śmierci Jerzego von Rechtenberga właścicielką dóbr otyńskich została jego siostra, Helena, zamężna von Sprintzenstein. W przeciwieństwie do swojego brata pozostała przy wierze katolickiej. Gdy się okazało, że i Sprintzensteinowie nie mają męskiego potomka, wdowa po Janie Erneście, Eleonora von Sprintzenstein, przekazała dobra otyńskie jezuitom prowincji czeskiej, którzy utworzyli w Otyniu prepozyturę. Przyszło to im tym łatwiej, że od początków panowania Rudolfa II Habsburgowie uważali Śląsk za domenę katolicyzmu.

– Czy już wtedy posążek Madonny Klenickiej przebywał w Otyniu?

– Zarządzanie dobrami otyńskimi jezuita zaczęli od przebudowy zamku zrujnowanego podczas wojny trzydziestoletniej. Po gruntownym remoncie zamek stał się ich domem klasztornym. Przy okazji dobudowy skrzydła mieszkalnego do zamku-klasztoru, postawili nową kaplicę. W 1656 roku umieścili w figurę Matki Bożej Klenickiej, przeniesioną z Klenicy.

– Dlaczego przenieśli figurę do Otynia?

– Jak mi wyjaśniono, po przejściu dóbr otyńskich przez von Sprintzensteinów, czyli na początku XVII wieku, figura powróciła do kościoła Najświętszej Maryi Panny w Klenicy. Była tam do potopu szwedzkiego. W obawie przed profanacją przez luteraniskich Szwedów w 1656 roku jezuita przewieźli ją do Otynia i umieścili w kaplicy zamkowej. Jeszcze w tym samym roku zakonnicy podjęli starania w Rzymie o uznanie figury Madonny Klenickiej za cudowną,

co zakończyło się pozytywną decyzją wydana przez papieża Aleksandra VII.

– Najstarsza informacja o cudownej figurce pojawiła się rękopisie otyńskiego jezuity Pawła Schlechta dopiero w 1721 roku.

– Wierzę, że wszystko co tam napisał zakonnik jest prawdziwe.

– Nie znam na tyle dobrze łaciny, aby rozumieć treść tego zapisu.

– Możemy tam przeczytać, że w latach 1618-1648 toczyła się krwawa wojna między katolikami i protestantami na Śląsku, zwana trzydziestoletnią. W obawie przed zniszczeniem figurki przez tych drugich, katolicy przez niemal dwadzieścia lat przewozili ją ze wsi do wsi i ukrywali w sekretnych miejscach. Gdy w połowie XVII wieku na ziemi Rzeczypospolitej nadciągnęła potężna armia szwedzka, gdy jej żołnierze zaczęli wzniesić pożary i niszczyć katolickie świątynie, jezuici przenieśli figurę Klenickiej Madonny do Otynia i umieścili w klasztornej kaplicy. Za Odrę Szwedzi się nie zapuszczali.

– Czy to prawda, że mimo zagrożenia nawet podczas potopu szwedzkiego, od 1656 r. co roku 2 lipca katolicy pielgrzymowali z figurą z Otynia do Klenicy?

– Ta informacja jest w opisie Pawła Schlechta. Potwierdził ją burmistrz Otynia podczas mojego pierwszego pobytu w miasteczku.

– Wyjaśnił, dlaczego po ustaniu wojny szwedzko-polskiej figura nie wróciła do Klenicy?

– Jego zdaniem drewniany kościółek w Klenicy był w stanie ruiny, a mieszkańcy wsi nie wykazywali woli odbudowy świątyni. Uznali, że skoro figura dobrze czuje się w Otyniu, niech tam pozostanie po wsze czasy. Tym bardziej że podczas pożaru miasteczka w 1702 roku, kiedy ogień dostał się także do klasztoru, ocalała kaplica i wraz z nią cudowna statua.

– Pod koniec XVIII wieku książę Antoni Radziwiłł, nowy właściciel majątku klenickiego, adaptował dawny spichlerz na kościół. Figura mogła więc znaleźć tam swoje trwałe miejsce.

– Dobra klenickie wniosła moja rodzina do małżeństwa namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego księcia Antoniego Radziwiłła i Marii Doroty Elżbiety de Castellane z rodu Bironów. Książę jako wierny chrześcijanin i patriota tej ziemi nie szczędził pieniędzy na to, co jest ważne dla ludu, a szczególnie dla wiary i Kościoła. Oprócz ufundowania świątyni w Klenicy kazał zbudować tam pałacyk myśliwski.

– Po wspomnianym już pożarze Otynia cudowna figura nie wróciła do kaplicy zakonnej jezuitów. Nie wróciła też tam, gdzie narodził się kult Świętej Panienki, czyli do Klenicy. Zakonnicy umieścili ją w bocznym ołtarzu otyńskiego kościoła parafialnego.

– Po pożarze jezuita odbudowali klasztor, wznosząc okazałą kaplicę z prezbiterium skierowanym na zachód. Wedle jednej informacji figura wróciła pod nowy dach świątyni. Wedle innej – na czas budowy klasztoru została umieszczona w kościele parafialnym i została tam na zawsze. Która jest prawdziwa, tego się nie dowiedziałam, ponieważ kiedy pierwszy raz przyjechałam do Otynia, w miasteczku już nie było jezuitów, a statua znajdowała się w kościele parafialnym.

– Czy Wasza Dostojność jest za tym, aby figura wróciła tam, gdzie zaczął się kult Madonny Klenickiej?

– Serce podpowiada mi, że takie rozwiązanie byłoby sprawiedliwe. Rozum zaś sugeruje coś innego: niech Święta Panienka pozostanie tam, gdzie mieszka od trzech wieków. Jej domem jest Kościół katolicki. Tym bardziej że Klenicę od Otynia dzielą jedynie łąki i Odra. I wierni mają powód, aby w raz w roku, 2 lipca, pielgrzymować z cudowną figurą z Otynia do Klenicy.

– Ślicznie dziękuję za rozmowę.

Lubuskie wizerunki Madonny

Spośród wielu wizerunków Bożej Rodzicielki spotykanych w kościołach diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, oprócz Matki Bożej Klenickiej, na uwagę zasługują przede wszystkim:

Matka Boża Cierpliwie Słuchająca, zwana też Madonną albo Matką Bożą Rokitniańską

Wizerunek znajduje się w bazylice mniejszej w Rokitnie, w powiecie międzyrzeckim. Obraz, wykonany na desce lipowej, powstał w szkole niderlandzkiej lub namalował go artysta ze Wschodu w XIV wieku. Umieszczony w ołtarzu kościoła parafialnego ma wymiary 40 x 27 cm (pierwotnie był większy: 45 x 60 cm). W Rokitnie jest nieprzerwanie od 1669 r., a trafił tam z kościoła klasztornego w Bledzewie. Za cudowny komisja teologiczna uznała obraz w 1670 r. podając, że „jaśniej nie tylko udzielonymi pomocami i nadzwyczajnymi łaskami, lecz i cudami”. Rok później król Michał Korybut Wiśniowiecki zabrał obraz ze sobą na rokowania pokojowe z Kozakami pod Lublinem. Tam też rycerze ufundowali białego orła w koronie z kości słoniowej, który został przypięty do srebrnej sukienki, ofiarowanej przez króla jako dowód wdzięczności za dar zgody. Po powrocie do Rokitna gromadził katolików mieszkających w Niemczech. 18 czerwca 1989 r. obraz został koronowany.

Gospodyni Babimojska, nazywana też Panią Babimojską

Obraz znajduje się w kościele parafialnym pw. Świętego Wawrzyńca w Babimoście, w powiecie zielonogórskim. Pochodzi z końca XV wieku. Jego pochodzenie nie jest znane. W 1724 r. wizytujący parafię tak opisał to, co widział: „szaty srebrne na obrazie Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus, ozdobione kwiatami, składające się z ośmiu części: dwie korony srebrne połączane, jedna Matki Bożej, a druga Dzieciątka; Jezus ze zwyczajnymi kamieniami, księżyc ze srebrnej blachy, dwaj aniołowie także ze srebrnej blachy, złoceni, wyciągniętymi rękami dotykają korony, berło w lewej ręce Matki Bożej”. Kult Gospodyni Babimojskiej rozwinął się w XIX wieku, kiedy Babimojszczyzna była pod zaborem pruskim.

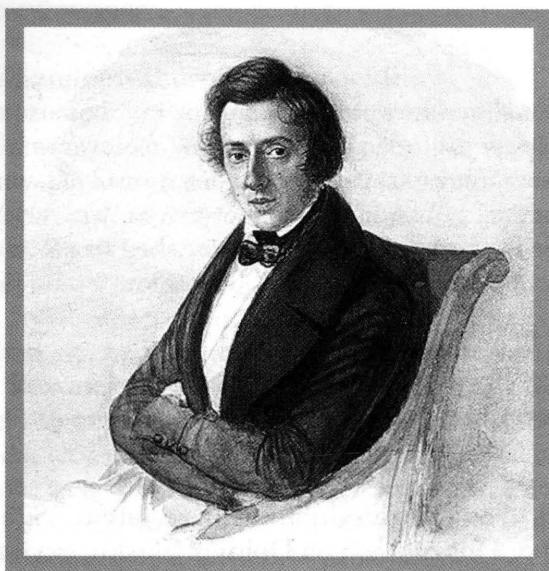
Matka Boża Paradyśka

Obraz o wymiarach 75 x 60 cm znajduje się w kaplicy bocznej kościoła klasztornego w Gościkowie-Paradyżu, w powiecie

świebodzińskim. Z informacji umieszczonej pod nim wynika, że został namalowany przez Świętego Łukasza. Najpierw znajdował się na górze Karmel, skąd był przewieziony do Bizancjum, a w 1160 r. do Bolonii. Tam zasłynął cudami. Pod nim widnieje łaciński napis, który można przetłumaczyć jako: „Matko Boża, pamiętaj o mnie! Ozdobo Paradyża, módl się za nami!” W kościele paradyjskim płótno umieścił biskup kamieniecki, ksiądz Zygmunt Czyżowski, gdy został opatem komendatoryjnym klasztoru, czyli z nominacji króla polskiego. W 1650 r. jako osobisty sekretarz Władysława IV ks. bp Czyżowski, przebywając na uroczystości roku świętego w Rzymie, zamówił kopię obrazu u nieznanego z nazwiska malarza włoskiego. Kopia okazała się piękniejsza od oryginału. Obraz był ozdobiony srebrną koszulką, która zaginęła prawdopodobnie w 1945 r.

Matka Boża Grodowiecka

Blisko metrowa figura Matki Bożej jest umiejscowiona nad tabernakulum kościoła parafialnego pw. Świętego Jana Chrzciciela w Grodowcu, w powiecie głogowskim. Najpierw w miejscowym kościele znajdował się obraz Matki Bożej, uznawany przez katolików za cudowny. Podczas pożaru wraz ze świątynią malowidło uległo spaleniu, ale zachowała się figura mająca postać modlącego się dziecka. W 1660 r. świątynia została odbudowana, przy drodze prowadzącej do kościoła powstało 15 kaplic pielgrzymkowych. Od tego roku trwa kult Matki Bożej Grodowieckiej w figurze cudownie ocalonej.



*Fryderyk Chopin –
akwarela pędzla Marii Wodzińskiej z 1835 r. –
źródło www.psm.vin.pl*

Fryderyk Chopin

Urodził się 22 lutego lub 1 marca 1810 w Żelazowej Woli, zmarł 17 października 1849 r. w Paryżu. Naukę gry na fortepianie rozpoczął w czwartym roku życia u swojej matki. Jego nauczycielami byli Wojciech Żywny, Wilhelm Würfel i w latach 1826-1829 Józef Elsner, gdy studiował w warszawskiej Szkole Głównej Muzyki. Pierwszy koncert publiczny wykonał w 1818 r. w Warszawie. Od 1830 r. mieszkał i tworzył w Paryżu. Zanim ukończył siedem lat, był autorem kilku polonezów. Skomponował 2 koncerty, 16 polonezów, 57 mazurków, 28 preludiów, 21 nokturnów, cztery scherza, cztery ballady, trzy sonaty, etiudy, pieśni. Miał talent literacki i malarski.

KONCERT, KTÓREGO SNADŻ NIE BYŁO

Rozmowa z Fryderykiem Chopinem,
kompozytorem i pianistą

– Wnikliwi kronikarze odnotowali, że latem 1826 roku był Pan u wód w Dusznikach na Dolnym Śląsku, czyli za granicą Królestwa Polskiego. Podróż zagraniczną w pewnym sensie związaną z muzyką dwa lata później odbył Pan do Berlina.

– Dzięki memu troskliwemu ojcu to się stało. Uważał on, że powinienem poznać repertuar muzyczny w wyższej niż w Warszawie egzekucji. Najlepszym wyjściem byłaby wyprawa do Petersburga, Wiednia czy do Paryża. Ponieważ nadarzyła się sposobność poznać życie muzyczne w Berlinie, nie odmówiłem życzeniu mego ojca. Przy okazji rodzice chcieli sprawdzić, czy podróż dyliżansem będzie na moje siły, wszak uchodziłem za słabowitego. Nawet zalecili, abym w przypadku choroby lub kiepskiego samopoczucia natychmiast wracał do Warszawy choćby i ekstrapocztą. I zobowiązali mnie, abym często słał do nich listy, dzielił się spostrzeżeniami i wrażeniami oraz sumiennie opisywał, co mnie spotkało.

– Jakaż to sposobność poznania życia muzycznego w Berlinie się nadarzyła?

– W stolicy Prus miał się odbyć się zjazd badaczy natury, organizowany przez Towarzystwo Niemieckich Przyrodników i Lekarzy. Zaproszenie na welinowym papierze na ów zjazd, wystosowane przez sławnego Aleksandra von Humboldta, przyszło do Warszawy pod

adres pana Feliksa Jarockiego, dawnego ucznia berlińskiej akademii i tam doktoryzowanego, a serdecznego przyjaciela mego ojca.

– Czym się zajmował profesor Jarocki?

– Był pierwszorzędnym zoologiem, kierownikiem katedry na Królewskim Uniwersytecie Warszawskim, specjalistą w zakresie systematyki fauny. Do historii nauki przeszedł jako autor sześciotomowej pracy *Zoologia, czyli zwierzętopismo ogólne podług najnowszego systemu ułożone*. Zjazd badaczy natury w Berlinie był celem najważniejszym wyprawy profesora do stolicy Prus, ale nie jedynym.

– Domyślam się, że Pana ojciec poprosił profesora, aby pokazał Panu kawałek wielkiego świata, wykorzystując do tego celu zjazd i korzystając z opłaconego pobytu w Berlinie?

– To prawda, lecz niecała. Było jeszcze coś, co wiązało się z księciem poetów, za jakiego uważano arcybiskupa gnieźnieńskiego Ignacego Krasickiego, który w Berlinie oddał ducha Panu. Gdy jego rodzina dowiedziała się o wyprawie pana Jarockiego z moim towarzyszeniem do Prus, poprosiła nas o pomoc w sprowadzeniu doczesnych szczątków arcybiskupa do Gniezna. Wsparcia miał nam udzielić rządcą archidiecezji poznańsko-gnieźnieńskiej i mój krewny arcybiskup Teofil Wolicki.

– Najkrótsza droga z Warszawy do Berlina wiodła przez Poznań.

– Z Warszawy wyjechaliśmy dyliżansem do stolicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego, gdzie się zameldowaliśmy w piątek, 12 września 1828 roku. Tylko dwie godziny mieliśmy, aby ze Starego Rynku dotrzeć na Ostrów Tumski i z tamtejszej kancelarii arcybiskupiej odebrać list polecający.

– Dalej droga prowadziła prosto na zachód. Gdzie poczytylion zatrzymywał dyliżans?

– Ze Starego Rynku w Poznaniu wyjechaliśmy w piątkowe południe. Było bardzo ciepło, nawet upalnie, ale to przecież koniec gorącego lata i oznaki bardzo wczesnej jesieni. Przyznam się panu, że jako młodzieniec spośród wszystkich pór roku tę najbardziej lubiłem. Zapach jesieni był jak kieliszek wiśniowej nalewki, która

wyzwalała w głowie fantazje i kierowała moje palce na wybrane klawisze fortepianu. Tak, jesień jest piękna, szczególnie polska jesień... Dyliżans zatrzymywał się mniej więcej co pięć mil, czyli co 40 kilometrów po to, aby w pocztamcie woźnica wymieniał konie na wypoczęte. O ile dobrze zapamiętałem, to opuściwszy Poznań droga wiodła pośród pól, mokradeł, gęstych lasów i nielicznych pagórków. Pierwszy postój był w Bytniu, następne w Pniewach, Silnie, Międzyrzeczu, Cielencinie i Drosnowie.

– Cielencin to spolszczona nazwa miasteczka Sulęcín. Drosnów zaś był niemieckim Drossen, a polskim Ośnem Lubuskim. Czy w którejś z tych miejscowości grał Pan, Monsieur, na fortepianie albo na innym instrumencie?

– Gdy podczas postojów w pocztamtach woźnica wymieniał konie zmęczone na wypoczęte, półżywi pasażerowie prostowali nogi i w oberżach się posilali. Ani mi w głowie było przebieganie zdrętwiałymi palcami po klawiszach. Zresztą w żadnej oberży oczy moje nie wypatrzyły choćby bębna.

– Kto oprócz Pana i profesora Jarockiego jechał dyliżansem?

– Nasze podróżne towarzystwo składało się z jednego prawnika, Niemca, zamieszkałego w Poznaniu, a odznaczającego się ciężkimi niemieckimi żartami, i tłustego Polaka, agronoma, którego już dyliżanse, albowiem wiele podróżywał, wykształciły. Taka to była nasza kompania aż do ostatniej stacji przed Frankfurtem, na której do dyliżansu przybyła jakaś niemiecka Korina, pełna achów, jaów, najów, słowem istna romantyczna papka. Ale i to bawiło, zwłaszcza że przez całą drogę gniewała się na swego sąsiada, prawnika.

– Co Pan zapamiętał z pierwszego spotkania z ziemią nadodrzańską?

– Co widziałem przez okna dyliżansu i na stacjach postojowych, przedstawiłem w liście do rodziny. Pisałem, że okolice Berlina z tej strony nie są najpiękniejsze, ale zachwycają porządkiem, czystością, doborem rzeczy, słowem, pewną przezornością, jaka się daje widzieć niemal na każdym kroku.

– A ile dni trwała podróż z Poznania do Berlina?

– W niedzielę około trzeciej po południu przydyżansowaliśmy do tego wielkiego miasta. Podobno byliśmy godzinę szybciej niż wynikało to z rozkładu jazdy. Z poczty zaprowadzono nas prosto do oberży Pod Kronoprinzem, a następnie do sali senackiej uniwersytetu, gdzie profesor Jarocki zgłosił swoje przybycie.

– Przypuszczam, że organizatorzy zjazdu pod każdym względem zatroszczyli się o to, aby ułatwić i uprzyjemnić pobyt gości w stołecznym Berlinie. Czy Panu zapewnili kwaterę identyczną jak profesorowi Jarockiemu?

– Z początku mieliśmy mieszkać przy Französische Strasse, ale plany się zmieniły. Pan Jarocki uznał, że oberża Pod Kronoprinzem zupełnie nam wystarczy, na co krzywili się organizatorzy zjazdu, a z czego ja się cieszyłem. W oberży był wystrojony fortepian, na którym w wolnym czasie mogłem grać. Z tego powodu jej właściciel co dzień mnie admirował, skoro, jak mówił, jego instrument odwiedzałem.

– Rozumiem, że profesor Jarocki słuchał wystąpień uczestników zjazdu, rozmawiał z nimi, dzielił się swoją wiedzą. Pana pewnie dyskusja na temat przyrody specjalnie nie interesowała?

– Codziennie w Exercierhausie odbywały się wspólne obiady panów naturalistów. Byłem tam tylko dwa razy: w poniedziałek zaraz po przyjeździe do Berlina i tydzień później w wigilię rozjazdu. Pierwszy obiad ze śpiewami dzień później tak opisałem w liście do rodziców. Donosiłem im, że wczoraj miał miejsce obiad wspólny owych, dla mnie karykatur, uczonych, których tu już na trzy podzieliłem klasy, nie pod przewodnictwem Humboldta, bo ten bardzo dobrze ułożony, ale jakiego innego czopmistrza, którego nazwiska w tej chwili sobie nie przypominam, lecz mam zapisane pod zrobionym przeze mnie jego portretem. Podczas obiadu krzywo na mnie patrzył mój sąsiad. Był to profesor botaniki z Hamburga, pan Lehmann. Zazdrościłem mu jego paluchów. Ja dwoma rękami bułkę łamałem, on jedną pogniótł ją na placek. Gadał z panem Jarockim przeze mnie, a w rozmowie tak się zapominał, tak się zapalał, że po moim talerzu paluchami gmerał i okruszyny zmiatał. To prawdziwy uczony, bo przy tym miał nos duży i niezgrabny. Siedziałem jak na szpilkach podczas zamiatania mojego talerza i potem musiałem go

froterować serwetą. Obiad ten nadzwyczaj długo się ciągnący, nie pozwolił mi być na koncercie dziesięcioletniego Birnbacha, skrzypka dosyć tu chwalonego.

– Król Fryderyk Wilhelm III zrobił wiele, aby stolica Prus stała się jednym z najważniejszych miast Europy. W 1828 roku w Warszawie mieszkało 140 tysięcy osób, w Berlinie o 80 tysięcy więcej. Więcej też było teatrów, muzeów, galerii, szkół wyższych, redakcji gazet. Zauważył Pan tę różnicę na niekorzyść Warszawy?

– Przec pierwsze dwa dni łąziłem tylko i gawroniłem się po pięknych ulicach i mostach. Ogólne moje zdanie o Berlinie: że za szeroki dla Niemców, że jeszcze drugie tyle ludności snadnie zmieścić by się mogło. To do zmięchu. Przez dwa tygodnie nieledwie codziennie wieczory spędzałem jak nie w Königsoper przy Unter den Linden, to w Königstadtisches Theater, to w Schauspielhause, to w Singakademie, czyli w najważniejszych instytucjach kultury. Byłem w dwu fabrykach fortepianów, miałem ochotę wypróbować instrumenty, ale magazyny mieli puste. Za krótko byłem w Berlinie, aby potwierdzić, że w rywalizacji kulturalnej wyprzedzał Warszawę.

– Czy podobały się przedstawienia, które Pan obejrzał, na przykład, *Przerwana ofiara* głośnego wtedy w Niemczech Petera Wintera?

– Spektakl ten miałem ochotę zobaczyć już 15 września, ale na przeszkodzie stanął mi uroczysty obiad w Exerzerhausie na otwarcie zjazdu naturystów. Przedstawienie obejrzałem jedenaście dni później, kiedy spotkanie dobiegła końca, a my czekaliśmy na odjazd dyliżansu do Poznania. Gdy pan Jarocki prowadził dysputy z innymi badaczami natury, ja pisałem listy do rodziców. W ostatnim, wysłanym z Berlina, napisałem, że 26 września byłem na *Przerwanej ofierze*, gdzie niejedna chromatyczna gama, przez pannę Schätzel wypuszczona, przeniosła mię na wasze łono.

– Co to oznaczało?

– A to, że warszawskie sopranistki nie mają się czego wstydzić. Wcześniej w Berlinie widziałem opery Georga Onslowa, Domenico Cimarosi i Carla Webera. Spodziewałem się wspaniałych występów

śpiewaków niemieckich. To, co zaprezentowali, poziomem wokalem nie przewyższało tego, co słyszałem w Warszawie. Najciekawsze wydało mi się oratorium *Oda do świętej Cecylii* Georga Händla, którego wysłuchałem w Singakademie. Naprawdę wywarło ono na mnie wrażenie i sprawiło, że od tego dnia miałem coraz większy szacunek dla tego mistrza kompozycji.

– Zapewne miał Pan okazję rozmawiać z wielkimi twórcami niemieckimi lub innymi Europejczykami goszczącymi w stolicy Prus.

– Jadąc do Berlina spodziewałem się spotkania z księciem Antonim Radziwiłłem, namiestnikiem Wielkiego Księstwa Poznańskiego, muzykiem z zamiłowania, którego wcześniej poznałem w Warszawie. Cóż, akurat w tym czasie książę był nieobecny w Berlinie. Z uznanych za wielkich widziałem Gaspara Spontiniego, Feliksa Mendelssohna, Carla Zeltera, ale mimo chęci nie miałem okazji z nimi rozmawiać. Może bardziej chodziło o odwagę, której z powodu wrodzonej nieśmiałości akurat tam mi snadź zabrakło.

– Czy był Pan zadowolony z dwutygodniowego pobytu w Berlinie?

– Widziałem, co wiedzieć można było, za co wdzięczny jestem panu Jarockiemu. Dwa tygodnie z dala od domu rodzinnego to dla mnie długo, dlatego jak najprędzej chciałem wrócić do rodziców i rodzeństwa.

– Kiedy odjeżdżał dylizans w stronę Poznania?

– W niedzielę o dziewiątej rano. 28 września z wielką ochotą wskoczyłem do powozu, aby jak najszybciej być w Poznaniu i stamtąd kierować się ku Warszawie.

– Maurycy Krasowski w pracy *Młodość Fryderyka Chopina* ogłoszonej w 1862 roku, twierdzi, że „profesor Jarocki i Fryderyk dostali za towarzyszków podróży trzech Niemców, udających się w jedną z nimi drogę. Ciężkie ich rozprawy polityczne, a mianowicie dym z fajek, którego Fryderyk nigdy znosić nie mógł, zmusiły naszych rodaków do porzucenia wnętrza karety i usadowienia się w kabrioletcie, gdzie przynajmniej świeżego powietrza mieli pod ostatkiem”.

– To prawda, że od dziecka zdrowia przedniego nie byłem, dlatego latem 1826 roku matka wywiozła mnie do kurortu w Dusznikach, gdzie oddychałem świeżym powietrzem i piłem wodę źródlaną. Ale czy z Berlina wracałem na kabriolectic, tego nie pamiętam.

– Którędy prowadziła droga powrotna?

– Przez te same miejscowości, przez które jechaliśmy z Poznania do Berlina. Czyli przez Frankfurt, Drosnów, Cielencin, Międzyrzecz, Pniewy. Do Poznania przyjechaliśmy we wtorek 30 września o godzinie pierwszej po południu.

– Na pewno tą drogą jechał dyliżans z Berlina do Poznania?

– To była pierwsza taka daleka wyprawa, więc wymienione miejscowości na zawsze utkwiły w mojej pamięci. Tym bardziej że woźnica ani nie popędzał koni zbyt mocno, ani nie zatrzymywał się w lesie czy przy nieplanowanej oberży. Podróż odbywała się wedle ustalonej marszruty, zgodnie z oznajmionym nam wcześniej rozkładem jazdy. Ten rozkład, jak objaśnił mi pan Jarocki, był umową międzynarodową. Najpierw podpisaną przez przedstawicieli poczty polskiej i pruskiej, a potem był ratyfikowaną przez cara Mikołaja I.

– Proszę się zastanowić. Może jednak dyliżans wracał do Poznania inną drogą?

– To znaczy którą?

– Z Frankfurtu przez Krosno Odrzańskie, po niemiecku Crossen, i przez Sulechów, na który Niemcy mówili Züllichau. W polskich publikacjach miasteczko występowało jako Zullich, Zullichów albo Cyllichów.

– Nie pamiętam, abyśmy zatrzymali się w miasteczku o takiej nazwie.

– Na pewno?

– Na pewno. A dlaczego pan tak uparcie o nie pytasz?

– We wspomnianej już książce Maurycy Krasowski napisał, że 28 września 1828 roku dyliżans zatrzymał się w Zullichowie. W przerwie wywołanej oczekiwaniem na zmianę koni, pasażerowie odbyli przechadzkę po miasteczku, „wróciwszy

z niej, a widząc, że dyliżans jeszcze niegotowy, weszli do domu, który służył za pocztę i restauracją zarazem. Fryderyk spostrzegł natychmiast w drugim pokoju, niby salonie, fortepian; zbliża się do niego, otwiera, próbuje: »O! wystrojony« powiada z pewnym rodzajem zadowolenia, siada i zaczyna grać.”

– Powtórz pan nazwę tego miasteczka.

– Züllichau. W polskim piśmiennictwie występował jako Züllich, Zullichów albo Cylichów. W miasteczku znajdował się słynny w Prusach królewski instytut pedagogiczny.

– Dalibóg, nie pamiętam ani takiego miasteczka, ani fortepianu, na którym miałem grać w drodze powrotnej z Berlina do Poznania. A czy ów Krasowski był tam, słuchał mojej muzyki?

– W książce ogłoszonej po niemiecku w 1877 roku Maurycy Krasowski podaje nieco zmienioną wersję tego wydarzenia. Grał Pan, Monsieur, nie tylko „swoje Poutpourri z polskich pieśni”, ale i mazurki.

– Jeśli nie on, to kto był tego świadkiem?

– Na świadka Krasowski przywołuje pasażera z fajką. „Młodzieńcze, ja sam jestem starym i doświadczonym metrem muzyki, ale oddałbym dziesięć lat życia mojego, żebym mógł tak grać jak ty.” Po zakończonym koncercie pocztmistrz wykrzyknął: „Teraz spokojny i szczęśliwy umrę, bom słyszał Chopina, polskiego wirtuoza”. Onże, jak pisze Krasowski, „porywa na swe olbrzymie barki szczupłego i wątłego Fryderyka, niesie go w tryumfie do powozu, życząc szczęśliwej podróży i wszelkiej w przyszłym życiu pomyślności”.

– Zdumiewające, dlaczego moja pamięć nie przechowwała tego wydarzenia.

– W niemieckiej wersji książki Krasowskiego pasażer z fajką oznajmił: „Gdyby Mozart usłyszał pana, uściskałby pańską dłoń i powiedział: brawo! Człowiek tak mało znaczący jak ja, nie śmie tego uczynić”.

– Coraz bardziej jestem przekonany, że to mistyfikacja. Ale nie-szkodliwa.

– „Świadkiem koncertu Chopina w Sulechowie był Kähler, wykształcony muzyk-pedagog, nauczyciel Teodora Kullacka. Tenże to, gdy Fryderyk grać przestał, z wielką powagą rzekł do wirtuoza i w tym miejscu padają słowa, które Krasowski włożył w usta pasażera z fajką.

– Bajka, mój panie, tylko bajka.

– Do takiego wniosku doszedł również Ferdynand Hoesick, pisząc w 1904 roku, że nie mógł Pan grać w Sulechowie przede wszystkim dlatego, że dyliżans z Berlina do Pozna-nia nie jechał przez to miasteczko.

– Czy owa bajka o moim koncercie odbiła się szerokim echem w Su-lechowie?

– Nie tylko w Sulechowie, lecz także w Zielonej Górze, gdzie w 1923 roku miejscowa gazeta regionalna *Aus der Heimat* po-wtórzyła informację, zdaje się, wziętą z niemieckiej wersji książki Krasowskiego. W innym artykule gazety regionalnej jest mowa o tym, że zdanie „Gdyby to usłyszał Mozart” i tak dalej wypowiedział sulechowski kantor Kähler. W czasopis-mach wydawanych w Zielonej Górze w połowie XX wieku pojawiły się reportaże o tym koncercie. Sulechowski histo-ryk Leon Okowiński twierdzi, że w miejscowym ratuszu do 1945 roku stała gabłota z opisem pobytu Pana w tym mieście.

– Nie potrafię uwierzyć w to, co pan mówisz.

– Okowiński podaje, że o pobycie Pana w Sulechowie czytelnicy wiedzą „głównie dzięki narracji siostry kompozytora, Iza-belli Barcińskiej”. Na podstawie opowiadań zrekonstruowa-no Pana pobyt w Sulechowie, „nadając mu przebieg w miarę wiarygodny”.

– Jeśli jeszcze pan powiesz, że na pamiątkę tego zdarzenia sulecho-wianie usypali jakowyś kopczyk albo dom pocztmistrza, otoczyli czcią to uwierzę, że tak było naprawdę.

– Na domu pocztmistrza przy ulicy Okrężnej 17/19 zawisła pamiątkowa tablica w języku niemieckim. Po 1945 roku, w ramach zacierania śladów niemieckości, tablicę usunięto i dom rozebrano. W 1958 roku, w 130. rocznicę owego pobytu Pana w Sulechowie na ścianie ratusza zawisła nowa tablica, tym razem po polsku. W mieście jest Sulechowski Ośrodek Kultury im. Fryderyka Chopina. Jest też Sulechowskie Towarzystwo Kultury im. Fryderyka Chopina. Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa zajęła budynki, które najpierw należały do Pedagogium, potem do Zespołu Szkół Administracyjnych im. Fryderyka Chopina. W kronice Pedagogium jest opis koncertu z 28 września 1828 r. Przez wiele lat w Sulechowie odbywały się konkursy fortepianowe im. Fryderyka Chopina dla młodzieży. Jako jurorki uczestniczyły w nich wybitne polskie pianistki Halina Czerny-Stefańska i Lidia Grychtolówna. W 2010 roku odbył się Festiwal Muzyki Fryderyka Chopina.

– Nieprawdopodobne, aby tyle z powodu koncertu, którego snadź nie było.

– Ale bardzo miłe, Mistrzu. Bardzo miłe.

Sławne koncerty na Ziemi Lubuskiej

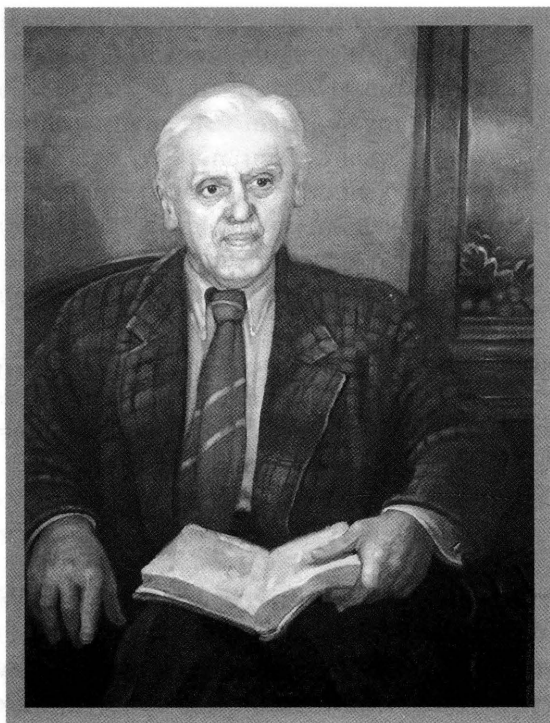
W sierpniu 1853 r. Franciszek Liszt dał koncert w Sagan (pol. Żagań) podczas sześćdziesiątych urodzin właścicielki lenna żagańskiego księżnej Doroty Talleyrand-Périgod. Koncert odbył się w pałacu zwanym książęcym.

Cztery lata później 3 października Franciszek Liszt znowu przyjechał do Żagania, tym razem na uroczystość weselną wnuczki księżnej Doroty, markizy Marii Doroty Castellane z księciem Antonim Radziwiłłem. Dał wtedy dwa koncerty, oba wykonane na organach w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i pw. Krzyża Świętego.

23 maja 1900 r. w Grünbergu (pol. Zielona Góra), w drodze powrotnej z Rosji, zatrzymała się wiedeńska orkiestra Jana Straussa jr. Koncert odbył się w nieistniejącej już sali przy Berlinerstrasse (pol. skrzyżowanie ulic Jedności i Dąbrówki) z udziałem około tysiąca słuchaczy. Podczas trzygodzinnego występu wiedeńczycy wykonali m.in. uwerturę z *Zemsty nietoperza*, utwory Jana Straussa (syna).

3 listopada 1926 r. w zielonogórskim kościele pw. Najświętszego Zbawiciela chóry sfederowane w Rzemieślniczym Związku Śpiewaczym i miejscowa siedemdziesięciosobowa orkiestra pod dyrekcją profesora Dorhna z Breslau (Wrocław) wykonali oratorium *Quo vadis* Feliksa Nowowiejskiego. Jako soliści wystąpili: Irmingarda Freud-Mott z Wrocławia, Henryk Blasel z Berlina, Zygmunt Hasse z Wrocławia, Adam Karsten z Berlina. Gościem koncertu był kompozytor.

W 1949 r. pojoannicki zamek w Łagowie, w powiecie świebodzińskim, przejęli muzycy. Najpierw odbyły się przygotowania do pierwszego po wojnie Konkursu im. Fryderyka Chopina. Do zamku sprowadzono kilkanaście fortepianów, przy których ćwiczyły późniejsze sławy: Regina Smędzianka i Grażyna Hesse-Bukowska. Niebawem do Łagowa przyjechali uczestnicy Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego, wśród nich zwyciężczyni Wanda Wiłkomirska. O trzecim wydarzeniu w 1949 r. wielu twórców wolałoby zapomnieć, bowiem w Łagowie odbył się zjazd kompozytorów, podczas którego uchwalono socrealizm w muzyce. Uczestniczyli w nim m.in. Witold Lutosławski, Tadeusz Baird, Kazimierz Serocki, Jan Krenz. Podczas tego zjazdu wykonywano utwory jego uczestników.



*Dr Martin Klose – portret pędzla Ireny Bierwiazzonek
w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

Martin Klose

Urodził się 17 listopada 1884 w Görlitz, zmarł 9 sierpnia 1975 r. w Bremie. Studiował na uniwersytetach w Halle i Getyndze, stopień doktora filozofii zdobył w Getyndzie. W 1910 r. rozpoczął pracę w zielonogórskich szkołach. W czasie pierwszej wojny światowej najpierw walczył w Galicji, potem na froncie zachodnim. Po śmierci pierwszego kierownika muzeum zielonogórskiego opiekował się placówką. Dzięki niemu w 1945 r. muzeum nie zostało ograbione. Z Zielonej Góry został wysiedlony w 1947 r. Od 1960 r. do śmierci mieszkał u córki w Bremie. Jest autorem wystaw i prac historycznych, m.in. dwuczęściowej *Grünberger Familiennamen*, współautorem monografii Zielonej Góry.

NADODRZAŃSKIE ŻONY OSTATNIEGO CESARZA NIEMIEC

Rozmowa z dr. Martinem Klosem,
filozofem i historykiem,
współtwórcą zielonogórskiego muzeum

– Kronikarze podają, że ostatni cesarz Niemiec, Wilhelm II, był spokrewniony z angielską rodziną królewską i że w jego żyłach płynęła krew rosyjskiej dynastii Romanowów. A mimo to jego pierwszą żoną została panna urodzona w Dolzig, czyli w Dłużku koło Lubka.

– Biografowie Hohenzollernów też się nad tym zastanawiali. W końcu doszli do wniosku, że Augusta Wiktoria Fryderyka Ludwika Fedora Jenny wcale nie była zwyczajną panną na wydaniu, jakich wiele żyło w junkierskich pałacach Środkowego Nadodrza. Kiedy jako pierwotna urodziła się w 1858 roku, jej ojciec, Fryderyk VIII, był panującym księciem Szlezwiku-Holsztynu i poprzez swą żonę tytularnym księciem Hohenlohe-Langerburg. Sześć lat po jej urodzeniu doszło do konfliktu prusko-austriackiego. W jego wyniku książę Fryderyk VIII utracił tron, a księstwo zostało wcielone do królestwa pruskiego. Chcąc załagodzić ból księcia i pojednać się ze zdetronizowaną dynastią, Hohenzollernowie ożenili Wilhelma z panną Augustą Wiktorią. Nie stało się to jednak w Dłużku.

– A gdzie?

– W Primkenau, czyli w miasteczku po polsku zwanym Przemkowem, gdzie jeszcze przed przyjściem na świat Augusty Wiktorii jej

ojciec kupił posiadłość należącą do sławnego rodu Rechenbergów, właścicieli dóbr w księstwie głogowskim. W styczniu 1880 roku zmarł ojciec Augusty Wiktorii. Nawiasem mówiąc, był nie tylko bankrutem politycznym, ale i majątkowym. Czy przyszły następca tronu niemieckiego Wilhelm uczestniczył w uroczystościach pogrzebowych, tego nie udało mi się ustalić. Na pewno w tym samym roku książę Prus przyjechał do Przemkowa na polowanie. Jego biografowie podają, że wtedy poznał swoją przyszłą żonę. Miał się jej oświadczyć przy ławce w parku pałacowym.

– Czy również tam, to znaczy w przemkowskim kościele ewangelickim, odbył się ich ślub?

– Ceremonia ślubna z udziałem przedstawicieli dynastii władających w Europie miała miejsce 27 lutego 1881 roku w Berlinie. Jak wszystkie takie wydarzenia, które kronikarze opisują jako: uroczysta, podniosła, wystawna. W barwnej relacji ze ślubu Wilhelma z Augustą Wiktorią kronikarze nie pominęli i tego, że ceremonia trwała osiem godzin bez przerwy, a wszyscy goście musieli stać.

– Zanim poproszę Pana o opowiedzenie, jaką kobietą była Augusta Wiktorii, proszę naszkicować portret jej męża, przyszłego cesarza Niemiec.

– Od urodzenia Wilhelm był upośledzony fizycznie, a to z powodu niedorozwoju i zniekształconej lewej ręki. Dlatego długo nie mógł utrzymać się w siodle, co w jego czasach i z jego pozycją społeczną w państwie pruskim było niezbędne. Za to radość sprawiało mu żeglowanie. Po ukończeniu gimnazjum w Kassel, studiował prawo i nauki polityczne na Uniwersytecie Renu w Bonn. W przeciwieństwie do swoich rodziców lubił mundur, dlatego po studiach rozpoczął karierę w wojsku, a ta pogłębiała miłość przyszłego władcy Niemiec do wojaczki. Jego niedoścignionym wzorem był dziadek, cesarz Wilhelm I, który doprowadził do zjednoczenia Rzeszy pod berłem pruskim.

– Historycy podają, że faktycznym sprawcą zjednoczenia ziem niemieckich był premier Prus, Otto von Bismarck, pierwszy kanclerz Drugiej Rzeszy Niemieckiej.

– Bismarck był wyjątkową osobą w dziejach Niemiec, niezwykle ambitną, usiłującą dominować w państwie, z tego powodu odsuniętą od władzy przez Wilhelma II. Historycy przypisują Bismarckowi sfalszowanie słynnej depeszy z Ems, która doprowadziła do wojny prusko-francuskiej i w efekcie do zjednoczenia Niemiec. Przez potomnych nazwany żelaznym kanclerzem, walczył o niemiecką kulturę, w rzeczywistości była to walka z Kościołem katolickim i germanizacja ludności polskiej w zaborze pruskim. Jemu też badacze przeszłości przypisują wiele powiedzonek, którymi do dziś podpierają swe wystąpienia bezmyślni politycy.

– **Zdaje się, że Bismarck miał powiedzieć, iż Niemcy boją się tylko Boga, co spodobało się Hitlerowi. Dlatego z zawołaniem *Gott mit uns* wywołał drugą wojnę światową.**

– Z ust Bismarcka padały zdania, których inteligentny człowiek powinien się wstydić, jak choćby: „88 profesorów i, ojczyzno, jesteś zgubiona”. Ale i w jego głowie ulęгло się wiele słusznych opinii, na przykład, „Przy złych urzędnikach nie pomogą nawet najlepsze prawa”. Żelazny kanclerz miał odwagę obwieścić, że „Nigdy się tyle nie kłamię jak przed wyborami, w czasie wojny lub na polowaniu”.

– **Jest jeszcze coś, co wiąże się z Bismarckiem. Mam na myśli sformułowane przez niego trzy cnoty niemieckiej kobiety: dzieci, kuchnię i kościół.**

– Proszę pana, to kolejne przekleństwo Niemiec, zaakceptowane przez rodziny mieszczańskie, junkierskie i nawet możne rody. W tym duchu została wychowana przyszła cesarzowa Augusta Wilhelma. Wprawdzie jako pierwsza dama nie pasowała do wzorca ogłoszonego przez Bismarcka, mimo to starała się nie wtrącać do spraw państwa, pozostawiając je mężowi i męskiej części panującej dynastii Hohenzollernów.

– **Jaką kobietą była Augusta Wilhelma?**

– Wedle jej biografów, nie najlepszego zdrowia, chociaż nigdzie nie spotkałem wytłumaczenia, co jej dolegało. Przyjmowała z pokorą cierpienie fizyczne i moralne, ponieważ uważała, że jest ono potrzebne. A jeśli pyta pan o urodę to niczym się nie wyróżniała. To samo dotyczy inteligencji, ale znała francuski i angielski, grała na fortepianie

i harfie, wolnym czasie czytała. Jej biografowie podają, interesowała się naukami przyrodniczymi, szczególnie botaniką. Korespondowała z wybitnym patologiem i antropologiem berlińskim, profesorem Rudolfem Virchowem, tym samym, który odkrył cywilizację łużycką w środkowej Europie.

– Prawda to, że męska część dynastii panującej uważała ją za miłą Donę, jak ją nazywano pieszczotliwie? Kobieca część zaś ignorowała ją głównie dlatego, że pochodziła z rodziny, która straciła władzę książęcą.

– Najbardziej złośliwą wobec przyszłej pierwszej damy Rzeszy Niemieckiej była cesarzowa Wiktoria, matka jej męża. Dopiero kiedy Wilhelm wstąpił na tron, stosunek teściowej do synowej wyraźnie się zmienił. Dona miała bardzo złe relacje ze szwagierkami, księżną Charlottą, żoną cara Rosji Mikołaja I, i z księżną Zofią, żoną następcy tronu greckiego. Czy z powodu nieporozumienia z tą ostatnią Dona przedwcześnie urodziła szóste dziecko, Joachima Franza, nie wiadomo. Coś w tym jednak musiało być, skoro jego ojciec pisał do matki, że gdyby dziecko umarło, byłaby to wina księżnej Zofii.

– Mimo że Augusta Wiktoria była nie najlepszego zdrowia, pierwsze dziecko wydała na świat niespełna dwa lata po ślubie. W ciągu dziesięciu lat urodziła sześciu synów i córkę.

– Wilhelm wstąpił na tron w 1888 roku, co ciekawe, nigdy nie wyjaśniono, dlaczego nie odbyła się uroczysta ceremonia koronacyjna. Uważał się za wszechwładnego tak w państwie, jak i w rodzinie. Wobec żony był zasadniczy, można powiedzieć: nieczuły i zimny, chociaż lubił przebywać w towarzystwie kobiet, a szczególnie tych, które okazywały mu zainteresowanie i uległość. Jako władca zastąpił z niezliczonej ilości wpadek przede wszystkim dotyczących spraw zagranicznych. Jego dążeniem było uczynienie z Niemiec państwa dorównującego potężnej Wielkiej Brytanii, co ujawnił w wywiadzie udzielonym angielskiemu dziennikowi *Daily Telegraph*. Doszło nawet do tego, że rząd zaczął rozważać, czy ograniczyć wpływ cesarza na politykę zagraniczną.

– Tajemnicą poliszynela był jego romans z Herminą, który zaczął się niedługo po tym, jak przedstawicielka starego

turyńskiego rodu została żoną właściciela dóbr w podzielonogórskim Zaborze (niem. Saabor).

– Najbardziej pracowity dziejopisarz Zielonej Góry, za jakiego uważam Hugo Schmidta, podał, że w 1907 roku powóz z cesarzem Wilhelmem II przejechał uliczkami Winnego Grodu. Celem podróży władcy był pałac w Zaborze. Tam jego cesarska wysokość uczestniczył w zaślubinach Herminy von Reuss z o dziesięć lat starszym od niej Johannem Georgiem Ludwigiem Ferdinandem Augustem ze sławnej rodziny Schönaich-Carolath. Było to wielkie wydarzenie, a obecność cesarza z pewnością nadała uroczystości znaczenia, splendoru i rozgłosu. Szeroko rozpisowały się o tym nie tylko zielonogórskie gazety. Kilka tygodni później młoda pani na Zaborze została zaproszona do poczdamskiej rezydencji władcy i tam przedstawiona cesarzowej Augustcie Wiktorii.

– Czy już podczas zaślubin z Johannem Georgiem, mówiąc dzisiejszym językiem, Hermina wpadła w oko cesarzowi?

– Chyba można tak to określić, tym bardziej że, jak twierdzą biografowie Hohenzollernów, cesarz nie był wiernym małżonkiem. Mówiło się nawet, że ojcem Henrietty, piątego dziecka Herminy, nie był jej mąż, lecz właśnie Wilhelm.

– Starając się być wzorem niemieckiej kobiety Augusta Wiktora, zamknięta w pałacu cesarskim, prowadziła życie pokutnicze?

– Ostatnie dziecko, jedyną córkę Wiktorię Luizę, cesarzowa urodziła w 1892 roku. Od tego czasu, jak przystało na pierwszą damę, zajmowała się działalnością charytatywną. Jako przewodnicząca Niemieckiego Czerwonego Krzyża zakładała szpitale, ochronki, domy pomocy społecznej, fundowała kościoły. W kwietniu 1902 i wrześniu 1907 roku odwiedziła Dłużek koło Lubska, gdzie się urodziła. Żyła tam jej mleczna siostra, Anna Polenske, która przyszła na świat tego samego dnia, miesiąca i roku, co cesarzowa Niemiec. Matka Anny była mamką Augusty Wiktorii. Czy jako cesarzowa odwiedziła Przemków? Pewnie tak, ale kroniki na ten temat milczą.

– Cesarskie Niemcy prowadziły wyścig zbrojeń i tylko szukały pretekstu do użycia broni. Pojawił się on po zamachu

na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, kiedy Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Po stronie Serbii stanęła Rosja. Niemcy związane sojuszem z Austro-Węgrami przyłączyły się do działań zbrojnych, a potem wszystko toczyło się na zasadzie domina.

– Kajzerowskie Niemcy chciały być państwem bardziej znaczącym niż znaczyły. Ku temu zmierzała polityka zagraniczna lansowana przez Hohenzollernów. Po drugie, dominujący w państwie pruskim junkrzy obawiali się utraty swego znaczenia z powodu rosnącego wpływu partii socjalistycznych. Dlatego z taką łatwością Wilhelm II uzyskał ich wsparcie i wciągnął Niemcy do pierwszej wojny światowej. Nawet w najbardziej skrajnych przewidywaniach nie spodziewał się, że to będzie jego koniec. Jak i tego, że w 1918 roku wybuchnie rewolucja listopadowa w cesarstwie. Dla uspokojenia sytuacji sprawujący urząd kanclerza książę Maksymilian Badeński przekazał władzę socjaliście Fritzowi Ebertowi, a ten szybko zawarł z aliantami zawieszenie broni. Wtedy powstała Republika Weimarska.

– Jednocześnie książę Maksymilian przekonywał cesarza, aby ogłosił swoją abdykację, co oznaczało upadek monarchii. Stało się to 9 listopada 1918 roku, z tym że Wilhelm II nie zrzekł się tytułu króla Prus. Zdetronizowany cesarz z rodziną schronił się w Holandii, najpierw u hrabiego Bentinka w Amerongen, potem w Doorn koło Utrechtu.

– Konsekwencje tego kroku okazały się tragiczne dla dynastii Hohenzollernów. 11 kwietnia 1921 roku 63-letnia Augusta Wiktorja zmarła na wygnaniu. Biografowie doszukują się przyczyn jej śmierci między innymi w wydarzeniach z początku lat dwudziestych XX stulecia. Niezbyt dobre zdrowie cesarzowej, ale i rewolucję oraz upadek monarchii, romanse jej męża, a także, a może przede wszystkim samobójstwo najmłodszego syna Joachima Franza, który, nie mogąc pogodzić się z tym, do czego doprowadził ojciec, popadł w głęboką depresję.

– Ile prawdy jest w tym, że na łożu śmierci Augusta Wiktorja prosiła Wilhelma, aby ożenił się powtórnie i wskazała na owdowiałą w 1920 roku Herminę jako tę, którą powinien poślubić?

– Jeśli nawet eks-cesarzowa tego nie powiedziała na łożu śmierci, to tak się stało w 1922 roku.

– Pierwszy mąż Herminy, Johann Georg zmarł nagle w czerwcu 1920 roku w zielonogórskim szpitalu. Dziedzicem Zaboru został jego najstarszy syn, lecz ze względu na bardzo młody wiek i brak doświadczenia pieczę nad dobrami sprawowała Hermina.

– W rzeczywistości majątkiem zarządzał administrator, a Hermina korzystała z wolności, jaką miała po śmierci męża. Mówiłem, że o ojcostwo jej ostatniego dziecka, córki Henrietty, podejrzewano Wilhelma II. Henrietta urodziła się 25 listopada 1918 roku w Berlinie już po abdykacji ostatniego cesarza.

– Z tego wniosek, że jeśli rewolucja listopadowa dotarła do Grünberga (Zielonej Góry), to pani na Zaborze nie była jej obserwatorką.

– Tego samego dnia, kiedy w lasku Compiègne pod Paryżem Niemcy podpisały rozejm i zakończyła się pierwsza wojna światowa, czyli 11 listopada 1918 roku, na Neumarkt (pl. Słowiański) w Grünbergu odbył się wiec z udziałem co najmniej pięciu tysięcy zielonogórczan. Sekretarz związków zawodowych Lucke, bodajże Paul, żądał wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy. Występujący po nim członek partii socjalistycznej Joseph Sporn przedstawił ciężką sytuację Niemiec po przegranej wojnie i wezwał do utworzenia rady robotniczej. Dzień później w mieście zaczęła współrządzić władza rewolucyjna. Podobnie było w pozostałych większych miastach Środkowego Nadodrza.

– Czy owdowiały Wilhelm przyjeżdżał do mieszkającej w Zaborze owdowiałej Herminy?

– Nie posiadamy dowodów na potwierdzenie takiego faktu i pewnie nie było to możliwe ze względu na ledwie tolerowany pobyt cesarza w Holandii. Oraz utrzymywanie w tajemnicy wszelkich informacji dotyczących jego życia prywatnego. Proszę sobie wyobrazić, że gdy przeciek o zaślubinach Wilhelma z Herminą dotarł do prasy, dziennikarze wszelkimi sposobami usiłowali uzyskać jego potwierdzenie. Mieszkańcy Zaboru opowiadali, że latem 1922 roku o przypałowce

płatany zahaczył samolot, którym korespondent amerykańskiej agencji International News Service, Dubar Weyerow, usiłował dostać się do rezydencji Herminy. Wedle zielonogórskiego tygodnika „Grünberger Wochenblatt”, poturbowany dziennikarz „pod czułą opieką pani domu dochodził szybko do siebie”.

– Domyślam się, że w przeciwieństwie do pierwszego ślubu, z Augustą Wilhelma, drugie zaślubiny odbyły się bez udziału koronowanych głów.

– Niewiele informacji o życiu prywatnym Wilhelma i Herminy dostało się z holenderskiego Doorn. Zaręczyny 63-letniego wdowca i o trzydzieści lat młodszej wdowy miały miejsce w czerwcu 1922 roku. Na ślubnym kobiercu para stanęła prawdopodobnie w październiku tego samego roku. Informacji o tym, kto był świadkiem, kto uczestniczył w uroczystości weselnej – mimo ogromnego zainteresowania szczególnie prasy bulwarowej – nigdzie nie spotkałem. Dostępu do willi w Doorn uniemożliwiała holenderska policja, a służba nie odpowiadała na żadne pytania dziennikarzy. Proszę sobie wyobrazić, że jak nigdy wcześniej do Zielonej Góry przyjeżdżało wielu reporterów. Można ich było spotkać w Zaborze, w Przytoku, nawet w Trzebiechowie, gdzie Hermina poznała swego pierwszego męża. Za pikantne szczegóły z życia Herminy nieźle płacili.

– Eks-cesarz na wygnaniu, jak podają jego biografowie, pisał pamiętniki, pielęgnował rabaty kwiatowe i oddawał się ciesielce. A czym się zajmowała Hermina?

– W czerwcowym 1939 roku czasopisma dla kobiet „De Vrow en haar Huis” ukazał się reportaż pióra Margarity Schenk „Z wizytą u małżonki eks-cesarza”. Był to jedyny tekst na temat tego, co robiła rodzina w Villa Dorn, w dodatku autoryzowany przez Herminę. „Prezentująca się niezwykle młodzieńczo pani domu, przyjęła mnie w swoim prywatnym apartamencie, pisała dziennikarka. W długiej, ciemnej spódnicy i białej, jedwabnej bluzce wyglądała bardzo skromnie. Jest bezpośrednia w obejściu, w mowie niewyszukana. Jej pasją są robótki ręczne i tkanie gobelinów. Dużo czyta i prowadzi rozległą korespondencję. Publicznie udziela się w licznych stowarzyszeniach charytatywnych.”

– W reportażu jest mowa o tym, że w bibliotece willi obok różnorodnych książek był „także oprawiony w skórę i ozdobiony wielką złotą swastyką »Mein Kampf« Adolfa Hitlera”. Funkcjonował pogląd, jakoby Hermina była „fanatyczną zwolenniczką Hitlera”.

– Gdy wojska niemieckie zajęły Paryż, z Doorn do Hitlera nadeszły gratulacje podpisane przez Wilhelma. Wysłał je administrator majątków Hohenzollernów, Wilhelm von Dommès. Wedle jednej wersji zrobił to z własnej inicjatywy; wedle drugiej, wiodącą rolę w tym geście odegrała Hermina. Zdaniem generała Friedricha von Stephana, który odwiedził swoją przyjaciółkę w Doorn, „jej wysokość nigdy nie była i nie jest nazistką. Jej przychylny stosunek do ruchu [narodowo-socjalistycznego] nie wynika z pobudek osobistych, lecz z pewnej idei, której cesarzowa oddaje się bez reszty i której podporządkowuje wszystkie swoje działania.”

– **Czy tą ideą była wiara w wskrzeszenie cesarstwa i powrót Hohenzollernów na tron niemiecki?**

– Jest pan blisko. Otóż uczestnicy tak zwanego spisku generałów na początku lat czterdziestych zamierzali usunąć Hitlera. Jako przyszłego naczelnego wodza armii wskazali Ludwika Ferdynanda, wnuka ostatniego cesarza. Mimo podeszłego wieku Wilhelm II ciągle miał nadzieję, że wróci na tron cesarski. W tym przekonaniu utrzymywała go Hermina, która liczyła, że do historii przejdzie jako cesarzowa. Mieszkańcy willi w Doorn zwracali się do niej: wasza cesarska wysokość. Identycznie tytułowała ją służba w Zaborze, gdy po śmierci Wilhelma w 1941 roku wróciła do pałacu nad Odrą.

– **Wróciła do Zaboru na stałe?**

– Zdawała sobie sprawę z tego, że dalszy pobyt w Holandii już niczemu nie służy, a Zabór ciągle był bliski jej sercu. Wojenna rzeczywistość okazała się jednak trudna do zniesienia. Przede wszystkim nadzór nad nią sprawowała zielonogórska delegatura tajnej policji. Gestapowcy nawet cenzurowali rozległą korespondencję księżnej z międzynarodową arystokracją. Osoby, które miały zamiar odwiedzić ją w Zaborze, musiały uzyskać zgodę gestapo. Najgorsze przyszło w 1942 roku, kiedy całą służbę, zaufanych urzędników i robotników

naziści wcielili do wojska. Ich miejsce zajęli jeńcy wojenni i przymusowi robotnicy.

– Co się działo w lutym 1945 roku, kiedy front dotarł nad Odrę?

– W pałacu urządziła swoją siedzibę radziecka żandarmeria wojskowa. Uważam to za najlepsze rozwiązanie, bowiem tym sposobem pałac zachował swój pierwotny wystrój. Schorowaną, niemal ociemniałą Herminę Rosjanie umieścili w sulechowskim szpitalu, a jesienią 1945 roku wywieźli za Odrę do Frankfurtu. Tam w osamotnieniu i nędzy zmarła w 1947 roku.

– Gdzie jest jej grób? Może na cmentarzu we Frankfurcie nad Odrą?

– Prochy obu żon cesarza Wilhelma II, Augusty Wiktorii i Herminy, złożono w Antikentempel, mauzoleum Hohenzollernów w poczdamskim ogrodzie Sanssouci.

– Dziękuję za przypomnienie portretów żon ostatniego monarchy Niemiec.

„Lubuscy” towarzysze życia koronowanych głów

23 lutego 1363 r. trzynastoletnia Jadwiga, córka księcia żagańskiego, Henryka V Żelaznego, została czwartą żoną króla Kazimierza Wielkiego. Stało się to we wschowskim kościele, mimo że Stolica Apostolska jeszcze nie unieważniła sakramentu małżeńskiego, jaki otrzymał polski władca i jego żona Krystyna Rokiczanka. Dopiero w 1368 r. papież Urban V udzielił dyspensy Kazimierzowi Wielkiemu na małżeństwo z Jadwigą Żagańską. Koronowana na królową Jadwiga wydała na świat córki: Annę, Kunegundę i Jadwigę.

Anna Konstancja von Brockdorf jest bardziej znana jako hrabina Cosel. Będąc żoną saskiego ministra Adolfa Magnusa Hoyma, jak to się określa, w 1704 r. wpadła w oko Augustowi II Mocnemu. Dla niej król zostawił żonę, Krystynę Eberhardynę i pomógł jej uzyskać tytuł szlachecki. Ze związku z królem miała troje dzieci: Fryderyka Augusta, Augustę Annę Konstancję i Fryderykę Aleksandrę. Syn Fryderyk August Cosel był właścicielem dóbr w Saabor (Zabór). Wdowa po nim, Fryderyka była właścicielką dóbr w Drentkau (Drzonków) i Günthersdorf (Zatonie) do 1791 r., kiedy majątek przeszedł w ręce księżnej żagańskiej Doroty Talleyrand-Périgod. Rok dłużej rodzina władała dobrami w Ruckersdorf (Siecieborzyce koło Szprotawy).

Nie wiadomo, ile miała lat turecka branka Fatima, gdy w 1686 r. generał wojsk brandenburskich Hans Adam von Schöning przywiózł ją do Tamsel (pol. Dąbroszyn koło Kostrzyna) ze zwycięskiej wyprawy wojennej do węgierskiej Budy. W posiadłości generała została ochrzczona i wychowana jako Maria Anna. Jak podaje Theodor Fontane, „Fatima wyjechała później do Warszawy, gdzie zarówno ze względu na swą uderzającą urodę, jak też zainteresowanie jej romantycznymi losami, przyciągała wszystkie oczy i była punktem centralnym w każdym towarzystwie. Wśród jej adoratorów był również król August [II Mocny], któremu długo się opierała, aż wreszcie ze związku z nim urodził się późniejszy hrabia [Fryderyk August] Rutkowski. Fatima weszła później przez małżeństwo do rodziny Spiegel; jej syn Rutkowski osiągnął rangę saskiego feldmarszałka.” Ze związku króla z Fatimą urodziła się też Katarzyna, która, wedle H. Schreibera, została żoną hrabiego Michała Bielińskiego. J. Staszewski podaje, że żoną hrabiego była córka Augusta II i hrabiny Cosel.

Wilhelmina Enke, córka nadwornego trębacza, była metresą następcy tronu pruskiego Fryderyka Wilhelma II Hohenzollerna. Książę spłodził z nią pięcioro dzieci, pierwsze, gdy miała piętnaście lat. Gdy został monarchą, mianował Wilhelminę hrabiną von Lichtenau (od nazwy majątku w Licheniu koło Strzelce Krajeńskich, który do niej należał). Mimo że dwukrotnie się żenił z powodów politycznych, utrzymywał związek z Wilhelminą, która pierwszy raz wyszła za mąż dopiero po śmierci swego kochanka. Następny władca królestwa Fryderyk Wilhelm III kazał ją uwięzić w twierdzy głogowskiej, a majątki skonfiskować. Odzyskała wolność, gdy wojska napoleońskie zajęły Środkowe Nadodrze.

Mąż królowej Holandii, Juliany, książę Bernhard młode lata spędził w Reckenwalde (Wojnowo koło Kargowej), gdzie zdobył podstawowe wykształcenie. Po studiach w Berlinie, a i potem jako małżonek królowej prowadził rozrywkowy tryb życia, przede wszystkim lubił szybkie samochody, jazdę konną i polowania. Wywołał wiele skandali politycznych, gospodarczych i obyczajowych. W czasie drugiej wojny światowej służył jako pilot w angielskim lotnictwie. Jako sekretarz królowej Wiktorii wspierał holenderski ruch oporu przeciw Niemcom. Był ojcem dwóch nieślubnych córek i urodzonej w małżeństwie księżnej Beatrycze, od 1980 r. władczyni Holandii.



*Carl Teike – fotografia nieznanego autora z 1895 r. –
źródło www.pl.wikipedia*

Carl Albert Hermann Teike

Urodził się 5 lutego 1864 w Alt-Damm (Szczecin-Dąbie), zmarł 28 maja 1922 r. w Landsberg an der Warthe (Gorzów Wielkopolski). Muzyki zaczął się uczyć w orkiestrze miejskiej w Wolinie, potem był instrumentalistą w orkiestrze wojskowej i teatralnej w Ulm. W mieście nad Dunajem w 1889 r. skomponował marsza *Alte Kameraden*. Kolejne miejsca pracy to prezydja policji w Ulm i Poczdamie. W 1908 r. przeniósł się do Landsberga, gdzie pracował na poczcie i w sądzie oraz dyrygował orkiestrą miejską. Debiutował marszem *Am Donaustand* w 1885 r. Skomponował 20 koncertów i ponad 100 marszów, niektóre do dziś są grane przez orkiestry dęte.

STARY PRZYJACIEL ZNAD WARTY

Rozmowa z Carlem Teikem,
kompozytorem

– Po którym z rodziców odziedziczył Pan talent muzyczny?
– Pewnie po ojcu, haa-ha-ha. Jako kowal ojciec codziennie od rana do nocy wystukiwał melodie ciężkim młotem na kowadle. A to podkuwając konie, a to wyklepując najprostsze narzędzia przydatne w gospodarstwie, a nawet wyczarowując płoty i furtki z kawałków metalu. Zresztą nie tylko ja miałem niezły słuch i niemal natychmiast umiałem powtórzyć raz usłyszane dźwięki. Prawie wszyscy moi bracia i siostry to potrafiły, a było nas w domu czternaścioro. Ja urodziłem się jako czwarte dziecko. Gdyby rodziców było stać na zakup skrzypiec, altówek, wiolonczeli, klawesynu, moglibyśmy utworzyć orkiestrę kameralną.

– Naprawdę ani ojciec, ani matka nie grali, nie śpiewali?
A może dziadkowie byli muzykalni?

– O muzykalności dziadków nigdy nie słyszałem. Rodzice, jak już powiedziałem, nie zajmowali się muzyką, jeśli nie liczyć mamy, która moim młodszym braciom i siostram śpiewała do snu. Interesuje się pan historią to i musi wiedzieć, że zdecydowana większość poetów i pisarzy pochodzi z rodzin nieliterackich. Podobnie rzecz się ma z kompozytorami, chociaż akurat w tej dyscyplinie sztuki częściej niż wśród literatów spotyka się dziedziczenie talentu. Na potwierdzenie mojej tezy podam kilka przykładów. Leopold Mozart,

ojciec Wolfganga Amadeusza, urodził się w rodzinie rzemieślniczej. Ojcem Rycharda Wagnera był urzędnik pocztowy, Daniela Speera – wrocławski kuśnierz, Georga Händla – cyrulik w pobliskim dworze. Gaetano Donizetti przyszedł na świat w domu dozorcy i szwaczki. Ojciec Hectora Berlioza jako doktor nauk medycznych leczył ludzi.

– Kto pierwszy odkrył Pana talent?

– W naszym w domu matula i ojciec starannie przestrzegali podziału czynności. Dlatego zasadniczym, a właściwie jedynym obowiązkiem ojca było zarabianie na utrzymanie licznej rodziny. Matula dbała o dzieci i kuchnię oraz o niemal codzienny kontakt z kościołem. Pewnie więc matula pierwsza spostrzegła, że gdy nadeszła jesień, ja nastawiałem uszu i wsłuchiwałem się w melodie niesione przez wiatr. Potem widziała, że wszystko w domu i na podwórku, co wydawało dźwięk, interesowało mnie niezwykle. Jeśli się rozpląkałem, zrywała listek z drzewa i mi go podawała, który natychmiast przykładałem do ust i na nim grałem. Kiedy miałem ze trzy lata, syn sąsiada zrobił mi fujarkę z łyka wierzby. Była to moja najukochańsza zabawka.

– Matka przekonała ojca, aby uczyć Pana muzyki?

– Matula należała do kobiet mocno stąpających po ziemi. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie wszystkie dzieci w naszej licznej rodzinie mogą się kształcić. Siostrom nauka zbyteczna, bo wyjdą za mąż i jak ona na głowie będą miały dzieci, gotowanie i kościół. Jeden spośród braci, pewnie najstarszy, przejmie kuźnię po ojcu. Pozostali będą służyli w wojsku, policji, znajdą zajęcie w leśnictwie, w pobliskich majątkach junkrów, w Szczecinie. Matula podpowiedziała więc ojcu, aby mnie posłał na naukę muzyki. A może zrobiła to za namową pastora? Być może pastor dowiedział się o moich zdolnościach muzycznych od kantora naszego kościoła. Bywało, że podczas niedzielnego nabożeństwa siadałem obok kantora i przyglądałem się, jak gra na organach. Po nabożeństwie, zamiast wracać do domu, zakradałem się na kościelny ganek, gdzie stały organy, i przebierałem palcami po klawiszach.

– Czy to znaczy, że chciał Pan zostać organistą kościelnym albo pianistą?

– Wtedy było mi obojętne, na jakim instrumencie miałem grać. I niczego tak nie pragnąłem, jak choćby gry a blaszanym bębenu czy skrzydlówce. Ja mniej, rodzice bardziej zdawali sobie sprawę z tego, że pianistą dorównującym Schumannowi albo Kalkbrennerowi nigdy nie zostanę. Może gdybym uczył się muzyki od kołyski...

– Chce Pan powiedzieć, że talent to za mało, aby stać się sławnym muzykiem?

– Ojciec zdecydował, że najsmaczniejszy chleb daje muzykowanie w orkiestrze dętej. Pewnie gdyby chociaż raz był na koncercie orkiestry symfonicznej, usłyszał te owacje, zachwyty, ujrzał melomanów w odświętnych strojach, uznałby, że najpewniejszy chleb jest w takiej orkiestrze. Ale memu ojcu podobały się orkiestry dęte, szczególnie przemarsze muzyków w odświętnych mundurach, dźwięki wydawane przez trąbki, klarnety, flety i przede wszystkim tuby.

– Urodził się Pan w Alt-Damm, niedługo po tym rodzina przeprowadziła się do Züllchow (Szczecin-Żelechowo). Czy uliczkami Züllchow maszerowały orkiestry dęte?

– Gdyby w Züllchow była taka orkiestra ojciec by mnie do niej wysłał na naukę muzyki. A wysłał mnie prawie sto kilometrów od domu, do Wolina. Jako czternastolatek zacząłem edukację i zarazem pracę w tamtejszej orkiestrze miejskiej, mającej bardziej charakter marszowy niż promenadowy. Zacząłem od gry na bębenu, po roku nauki dostałem do ręki waltornię, w kolejnym roku – kontrabas i perkusję, a potem awansowałem na wiodącego instrumentalistę, w końcu kapelmistrz Paul Böttcher stwierdził, że jestem gwiazdą i improwizatorem, dla którego tłumy wylęgają na ulice. Gdybyż miasto lepiej płaciło...

– A ponieważ kiepsko płaciło, porzucił Pan wolińską orkiestrę. Czy tak?

– Miałem dziewiętnaście lat. Krew nie woda, rozglądałem się więc za dziewczynami, wiele wolinianek mi się podobało, tyle że były tak samo biedne jak ja. Z samej gry w orkiestrze miejskiej nie da się utrzymać rodziny, trzeba gdzieś dorobić. Kapelmistrz Böttcher traktował mnie jak swego syna, to i poradził, abym zgłosił się do trzyletniej służby wojskowej w Ulm. Królestwo Prus jest majątne,

powiedział, ale daleko mu do szwabskiej Wirtembergii. Takiego instrumentalistę jak ty, Carl, przyjmą z otwartymi rękami do stacjonującego w Ulm królewskiego regimentu grenadierów. Gdzie jest Ulm? Na południu Niemiec, nad Dunajem, na granicy bawarsko-wirtemberskiej, odpowiedział kapelmistrz. Spytałem go jeszcze, czym się różni regiment grenadierów od pułku piechoty, który kwaterował w Alt-Damm. Grenadierowie, chłopczę, to specjalnie dobrani, znakomicie wyszkoleni żołnierze, piechurzy i konni, jak nikt potrafiący miotać granatami. Powinienem go spytać, co to jest granat, lecz zabrakło mi odwagi. Wstyd się przyznać, że o wojsku nie więcej wiedziałem niż moja matula.

– Wyjechał Pan do Ulm. Jak Pana przyjęto?

– Wolin ze względu na swoją historię i położenie był urokliwy, ale Ulm, mój Boże... To wyjątkowe miasto, bo z unikatową zabudową dzielnicy rybackiej. Z historią o Albrechcie Berlingerze, który zbudował machiną latającą i ku swojej zgubie próbował się przedostać na drugi brzeg Dunaju. Miasto, gdzie się urodził jeden z najwybitniejszych fizyków Albert Einstein. Miasto, którego bruk szlifował astronom, astrolog i autor pierwszej na świecie książki fantastyczno-naukowej Johannes Kepler oraz trzy wieki później uważany za kontrowersyjnego mistrza batuty Herbert von Karajan. Z najwyższą na świecie gotycką katedrą i najsmuklejszą wieżą kościelną. Z najstarszym w Niemczech teatrem i widownią mogącą pomieścić 818 osób. Z największą w Europie twierdzą, składającą się z 41 fortów, wymyśloną przez wirtemberskich sztabowców zaraz po przegranych wojnach napoleońskich. Co piąty mieszkaniec Ulm nosił mundur wojskowy. Miasto winnic wygrzewające się na brzegu Dunaju, najdostojniejszej z europejskich rzek. Dopiero tam zrozumiałem, dlaczego wiedeńczyk Johann Strauss (syn) napisał najpiękniejszego walca *Nad pięknym modrym Dunajem*.

– Co Pan robił w tym wyjątkowym mieście?

– Wstąpiłem na służbę w orkiestrze 123. Regimentu Grenadierów Króla Karola, w której grałem w zależności od potrzeby to na perkusji, to na rogu. Miałem nadzieję, że zostanę dyrygentem orkiestry wojskowej, ale to było poza moim zasięgiem. Oprócz dmuchania w ustnik rogu czy uderzania w naciąg bębna musiałem nauczyć się

maszerować wedle układu choreograficznego. Granie i musztra paradna wyznaczała moje podstawowe zadanie, za które dostawałem niczego sobie żołd. Mimo to wieczorami dorabiałem w orkiestrze teatru miejskiego jako oboista, a w wolnym czasie, gdy nie wychodziłem z kolegami do piwiarni, próbowałem komponować marsze z nadzieją, że usłyszę je w wykonaniu orkiestry naszego regimentu. Stało się to po dwu latach służby, w 1885 roku, kiedy udało mi się przekonać kapelmistrza, aby orkiestra zagrała mojego marsza *Am Donaustand*.

– W historii muzyki zapisał się Pan przede wszystkim jako autor marsza *Alte Kameraden*. Utworu wykonywanego przez orkiestry dęte na nowojorskim Broadwayu, paryskich Champs Élyséens, moskiewskim placu Czerwonym, na nadwarciańskim bulwarze w Gorzowie. Usłyszał go król angielski Jerzy VI podczas swojej koronacji i wstępująca na tron dwadzieścia lat później Elżbieta II. *Alte Kameraden* bywa grany przez orkiestry symfoniczne w salach najslawniejszych filharmonii i oper. Gdzie można usłyszeć *Marsza Radetzky'ego* Straussa (ojca), marsze z *Aidy* Verdiego czy z *Carmen* Bizeta.

– Nawet w najskrytszych marzeniach nie przewidziałem, że ten marsz będzie aż tak popularny i chętnie wykonywany przez orkiestry całego świata. Dopóki *Alte Kameraden* nie stał się głośny, większym sentymentem darzyłem wcześniejsze moje utwory, na przykład *Regimentskameraden*, *Observiermarsch*, *Hohenstaufen-Marsch*.

– W jakich okolicznościach napisał Pan *Alte Kameraden*?

– Muza z nutami *Alte Kameraden* nawiedziła mnie w czwartym roku służby w Ulm. Już miałem za sobą kilkanaście mniej lub bardziej udanych kompozycji i głowę pełną pomysłów dojrzewających do przelania na papier. Z partyturą *Alte Kameraden* poszedłem do kapelmistrza regimentowej orkiestry przekonany, że mnie pochwalą za kompozycję i może podniesie żołd. A on, rdzenny Szwab, spojrział na tytuł, przebiegł oczyma kilka pierwszych znaków na pięciolinii i powiedział: Marszów mamy dosyć. Możecie to, Teike, wrzucić do ognia, roześmiał się cynicznie i bez krzyny zainteresowania oddał mi nuty.

– Czy próbował Pan bronić swojej kompozycji?

– Zaskoczony jednoznaczną opinią kapelmistrza, natychmiast zdecydowałem, że dłużej nie zostanę na służbie w regimencie. Jak tak, to przeniosę się do orkiestry policyjnej. Tamtejszy kapelmistrz na pewno pozna się na moich kompozycjach. Wieczorem zaprosiłem kilku kolegów z orkiestry na pożegnalne piwo do oberży Pod Trzema Dzbanami. Po pierwszym kuflu wszyscy mnie przekonywali, abym nie odchodził z orkiestry. Po drugim wychwalali moje kompozycje. Po trzecim, gdy jedni mnie żalowali, a drudzy coraz głośniejsz zastanawiali się, jaki tytuł nadać mojemu marszowi, ktoś z końca stołu zaproponował, aby to był utwór na cześć starych przyjaciół. *Alte Kameraden!* Mimo że ty, Carl, odejdiesz z regimentu, w swojej pamięci zachowamy cię jako starego przyjaciela. Obiecujemy ci, że kiedy tylko nadarzy się okazja, pierwsi wykonamy twoją kompozycję. Chórem zawołali: Prost! Wstali i podnieśli kufle z piwem.

– „Starzy przyjaciele na wojennej ścieżce / w starej przyjaźni niezłomni i wierni”...

– „Czy to w walce czy też w tumanach kurzu, / zawsze razem trzymają się na nowo”. Piękne słowa, prawda? A jaka muzyka!

– Gdzie odbyło się pierwsze oficjalne wykonanie *Alte Kameraden*, może w orkiestrze regimentowej w Ulm, jak obiecali Pańscy koledzy?

– Niedługo po zamianie munduru wojskowego na policyjny poznałem czarującą panienkę, Rosinę. Ona przypadła mi do serca i ja jej jeszcze bardziej, dlatego bez ociągania się poszliśmy do jej ojca, aby pobłogosławił nasz związek. Rosina naprawdę nazywała się Bebetec Loser, była młodsza ode mnie o cztery lata. Mimo iż nadal chodziłem w mundurze, tyle że policjanta, trudno mi się było przyzwyczaić do życia w cywilu. Miałem za dużo czasu i za mało tych, którzy wydają rozkazy. Zdaniem Rosiny, już w łonie matki zaraziłem się pruską chorobą, czyli że odpowiadała mi dyscyplina wojskowa, bezkompromisowość i przede wszystkim lojalność, którą moja żona, rodowita Szwabka, nazywała ślepym posłuszeństwem. Niemało prawdy było w jej spostrzeżeniach, o czym świadczyła liczba moich kompozycji o charakterze wojskowym.

– Wedle żony reprezentował Pan poglądy wzorcowego Prusaka, przedstawiciela nacji nielubianej w krajach słowiańskich, która jak nie poprzez rozbiory Polski, to w mundurach żołnierskich usiłowała sobie podporządkować wschodnią Europę.

– Polityka najmniej mnie interesowała. A o marszu wiedziałem tyle, że jest to utwór muzyczny wspomagający pododdziały wojska najczęściej podczas defilady czy uroczystej parady. Wtedy przemarsz staje się rytmiczny, co z jednej strony ułatwia poruszanie się żołnierzy idących nogą w nogę, z drugiej zaś wywołuje zaciekawienie obserwatorów wedle powiedzonka: za mundurem panny sznurem.

– Nie odpowiedział Pan na pytanie o prawykonanie *Alte Kameraden*.

– Sześć lat po ślubie pracowałem w policji w Ulm. W pierwszym roku po przyjeździe do Szwabii polubiłem region i tamtejszych ludzi, ale z biegiem lat coraz bardziej ich nie rozumiałem. W 1895 roku, trochę za namową Rosiny, przenieśliśmy się do policji w Poczdamie. Tu było łatwiej o mieszkanie, miałem bliżej do siostr i braci, a przede wszystkim niczym wilka do lasu ciągnęło mnie na pruskie ziemie. Postąpiłem słusznie jeszcze z jednego powodu, przenosząc się do najpiękniejszego z pruskich miast. To właśnie w Poczdamie miało miejsce oficjalne prawykonanie *Alte Kameraden*. Stało się to podczas musztry paradowej w wykonaniu orkiestry królewskiej policji. Kapelmistrz włączył kompozycję do repertuaru orkiestry przede wszystkim ze względu na linie melodyczne i figury basowe oraz typowy niemiecki rytm marszowy.

– Domyślałam się, że ten utwór wszedł do jej stałego repertuaru. I że kapelmistrz namawiał Pana do stworzenia nowych kompozycji, które orkiestra z radością by wykonywała.

– Miałem nadzieję, że kiedy moje kompozycje znajdą się w repertuarze takich zespołów jak poczdamska orkiestra policyjna to stanę się bogatym człowiekiem. *Alte Kameraden* był częściej grany niż pozostałe moje marsze, ale żadnych tantiem z tego tytułu nie dostałem. O, skłamałbym! Raz dostałem równowartość sześciu dolarów amerykańskich, haa-hap-ha, od właściciela szczecińskiego wydawnictwa muzycznego Fritza Mörickego.

– **A czy za inne kompozycje wydawcy partytur albo orkiestry płacili?**

– Nie potrafię dokładnie podać, ile utworów napisałem w Ulm i ile w Poczdamie. Przypuszczam, że w ciągu 26 lat skomponowałem co najmniej pół setki marszy. Zarobiłem na nich, niech pan nastawi uszu, prawie pięć do-la-rów.

– **Proszę powtórzyć.**

– Dokładnie było to 20 marek, czyli równowartość pięciu dolarów amerykańskich.

– **Za wszystkie kompozycje?**

– Nie za wszystkie, tylko za kompozycje napisane w Poczdamie w ciągu czternastu lat. Za *Alte Kameraden*, jak już powiedziałem, wydawca ze Szczecina zapłacił mi 25 marek, czyli równowartość sześciu dolarów.

– **W swojej publikacji wydawnictwo muzyczne Hermann Silwedel, które funkcjonowało w Landsbergu, zamieściło tylko jedną Pana kompozycję. Nie był to ten popularny marsz *Alte Kameraden*, lecz rzadko wykonywany walc.**

– 1 lutego 1909 roku znowu za namową Rosiny przenieśliem się z Poczdamu do Landsberga. Do podjęcia tej decyzji przekonał mnie pogarszający się stan zdrowia, a w związku z nim wyraźnie skromniejsze dochody z tytułu pracy w policji, a potem sugestia przełożonego, abym odszedł ze służby. Jeśli tego bym nie uczynił z własnej woli, zostałbym zwolniony z opinią o nieprzydatności w służbie państwowej. Krewni od dawna mieszkający w Landsbergu podpowiedzieli, że w mieście nad Wartą jest zdecydowanie taniej niż w Poczdamie. Niewiele stracę, bo Landsberg to najważniejsze miasto w zaodrzańskiej Brandenburgii, z orkiestrą miejską, teatrem, gazetami i czasopismami, wydawnictwami, pisarzami, wojskiem. Tu i w pobliskim Kostrzynie stacjonował 54. Nowomarchijski Pułk Artylerii Polowej.

– **Czym się Pan zajmował w Landsbergu?**

– Nie bez pomocy kancelarii cesarskiej zaraz po przyjeździe do miasta nad Wartą dostałem posadę na poczie. Gdy stan mego zdrowia

trochę się polepszył, zamieniłem pocztę na sąd, gdzie najpierw byłem woźnym, a po latach wiernej służby awansowałem na adiunkta. Po powrocie do domu komponowałem. Proszę sobie wyobrazić muzyka, który w ciągu trzynastu lat, z dala od ważnych ośrodków muzycznych, napisał około pięćdziesięciu marszy i kilkanaście koncertów. Poza tym dyrygowałem orkiestrą miejską, a jeśli było trzeba zastąpić instrumentalistę, brałem klarnet albo obój do ręki i grałem.

– Czy orkiestra landsberska miała w swoim repertuarze Pana kompozycje?

– A jakże. Uzgodniłem z kierownikiem orkiestry, a on z władzami miasta, że w jej repertuarze będą utwory, które z jednej strony odpowiadają przeciętnie uzdolnionym muzykom, z drugiej zaś rozstawiające miasto nad Wartą. Ponieważ stacjonujący w Landsbergu dywizjon artylerii nie miał własnej orkiestry, to albo korzystał z pomocy orkiestry pułkowej z Küstrin, albo muzycy miejscy pod moją dyrekcją uświetniali uroczystości wojskowe. Dowódca dywizjonu major Suden wielokrotnie dziękował nam za oprawę godną niemieckiej armii. Jednak najczęściej orkiestra grała podczas uroczystości miejskich.

– Jakie uroczystości ma Pan na myśli?

– Na przykład, w 1913 roku, gdy nadburmistrz Oskar Ancker odsłonił obelisk z okazji ćwierćwiecza panowania cesarza Wilhelma II. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej na Lindenplatz (pl. Staromiejski, do 1945 r. Carl-Teike-Platz) jego następcą nadburmistrz Otto Gerloff odsłonił obelisk poświęcony artylerzystom poległym w latach 1914-1918.

– Gdzie jeszcze mieszkańcy Landsberga mogli usłyszeć orkiestrę miejską pod Pana dyrekcją?

– Systematycznie dawaliśmy koncerty w salach miejskich a to z okazji Nowego Roku, a to na powitanie wiosny czy lata, a to na inaugurację kolejnych kadencji rady miejskiej. Jednak najbardziej lubiliśmy grać w Eldoradzie przy Zimmerstrasse 64-65 (ul. Wawrzyniaka). Rzadziej koncertowaliśmy w Cafe Monopol przy Richstrasse 55 (dziś: stoi tu Empik przy ul. Sikorskiego). Latem graliśmy

w restauracji ogródkowej Hopfenbruch przy Zeehowerstrasse 29 (ul. Warszawska). Raz, dwa razy w roku zapraszano nas do Zum deutsche Kaiser przy Hindenburgstrasse 5 (ul. Chrobrego) i Deutsches Haus przy Wolfstrasse 2 (Wielniany Rynek). Nie pamiętam, abyśmy koncertowali w innych miejscach.

– Co Pan skomponował w Landsbergu?

– Byłem zadowolony z kompozycji napisanych w Poczdamie, szczególnie z często wykonywanych marszy *Graf Zeppelin* i *Ein Hoch der Aviatik*. Podczas uroczystości sportowych, na które mnie zapraszano, orkiestry najczęściej grały moje *Grosser Sport-Marsch* i *Ein Hooch dem Sport*. W Landsbergu napisałem wiele utworów, najbardziej cieszyły mnie takie kompozycje marszowe jak *Internationaler Marsch*, *Neue Zeiten und Wieder daheim*, *Friedensbanner*.

– Historyk muzyki Jerzy Sygnecki twierdzi, że gdyby Niemcy wygrały pierwszą wojnę światową, Pan napisałby *Siegessfestmarsch*.

– Ponieważ Niemcy zostały pokonane, a właściwie zmuszone do kapitulacji przez aliantów, nie było powodu do świętowania. Zamiast utworu gloryfikującego sukces, powstało requiem *Festmarsch*.

– W amerykańskiej serii płyt *Heritage of the Marsh*, zawierającej 270 najbardziej popularnych marszów, jest 45 utworów skomponowanych przez Pana.

– Dobrze usłyszałem? Aż 45?

– Co szósty najczęściej grany, czyli najbardziej popularny marsz na świecie to Pana dzieło.

– Czyli nie zmarnowałem życia danego przez Najwyższego. Jak Albert Einstein, jak Walter Nernst, jak Martin Klose również ja byłem światu bardzo potrzebny. Oprócz ulotnych wspomnień zostało po mnie jeszcze coś, co raduje ludzi kochających muzykę.

– W Poczdamie ma siedzibę stowarzyszenie miłośników pieśni wojskowej *Verein Alte Kameraden*. W berlińskiej dzielnicy Mariendorf jest Carl-Teike-Strasse. Od 2007 roku gorzowianie organizują międzynarodowe spotkania orkiestr

dętych. W Gorzowie na kamienicy przy ulicy Kosynierów Gdynskich 26 (Heinnersdorferstrasse), w której Pan mieszkał wisi tablica pamiątkowa.

– Jestem wdzięczny za pamięć.

– Dziękuję za rozmowę.

Kompozytorzy związani z Środkowym Nadodrzem

Środkowe Nadodrze nie należy do regionów, gdzie powstały utwory muzyczne najwyższej światowej próby. Nie oznacza to, że ten region jest białą plamą. Na przykład, polski kompozytor Adam Jarzębski (zm. w 1648 r.) skomponował kanconę *Küstrinella*, dedykowaną Kostrzynowi nad Odrą.

W informacji o środkowonadodrzańskich twórcach muzyki pominąłem tych kompozytorów, którzy zasłynęli jedynie w lokalnym środowisku, najczęściej jako kantorzy kościelni, organiści i nauczyciele oraz organizatorzy życia muzycznego.

Oto ci, którzy zapisali się w dziejach muzyki granej poza regionem.

Martin Agricola (właściwie: Martin Sore)

Urodził się 6 stycznia 1486 w Swiebus (Świebodzin), zmarł 10 czerwca 1556 r. w Magdeburgu. Podstaw kompozycji uczył się w Lipsku. Od 1519 r. mieszkał i komponował głównie pieśni kościelne w Magdeburgu. Znamcy wyróżnili w jego twórczości grupy tematyczne: *musica choralis*, *musica figuralis* i *musica instrumentalis*.

Adam Krieger

Urodził się 7 stycznia 1634 w Driesen (Drezdenko), zmarł 30 lipca 1666 r. w Dreźnie. Studiował muzykę u Samuela Scheidta w Halle i Lipsku. Tam też powstały jego pierwsze kompozycje. Był organistą w lipskim kościele Świętego Mikołaja, potem muzykiem na saskim dworze Jana Jerzego II. Komponował muzykę religijną, głównie pieśni. Lipski publicysta muzyczny Carl Becker (1804-1877) uznał go za „najdoskonalszego poetę i muzyka XVII wieku”.

Do naszych czasów zachowało się niewiele utworów tego twórcy.

Georg Philipp Telemann

Urodził się 14 marca 1681 w Magdeburgu, zmarł 25 czerwca 1767 r. w Hamburgu. Studiował prawo na uniwersytecie w Lipsku. Był dyrektorem muzycznym lipskiej opery i organistą w kościele Świętego Mateusza. Od 1704 do 1708 r. z przerwą na podróż do Warszawy, Krakowa i Pszczyny pracował jako kapelmistrz orkiestry zamkowej Erdmanna Promnitz w Sorau (Żary). Dalsze swoje losy związał z Frankfurtem nad Menem i Hamburgiem. Uznawany za najbardziej płodnego kompozytora wszech czasów, napisał ponad trzy tysiące utworów, wśród nich 15 mszy,

46 pasji, 50 oper, tysiąc suit orkiestrowych. W jego kompozycjach są wątki polskie, np. w Suicie polskiej *Partie polonaise* czy w partiach „alla polacca” na skrzypce, flet i klawesyn.

Johann Gottfried Piefke

Urodził się 9 września 1817 w Schwerin an der Warthe (Skwierzy-na), zmarł 25 stycznia 1884 r. we Frankfurcie nad Odrą. Ukończył studia muzyczne w Berlinie. W 1859 r. uzyskał status królewskiego dyrektora muzycznego. Komponował głównie muzykę wojskową. Jego najśłynniejsze marsze to *Preussens Gloria* i *Koeniggraetzer Marsch*.

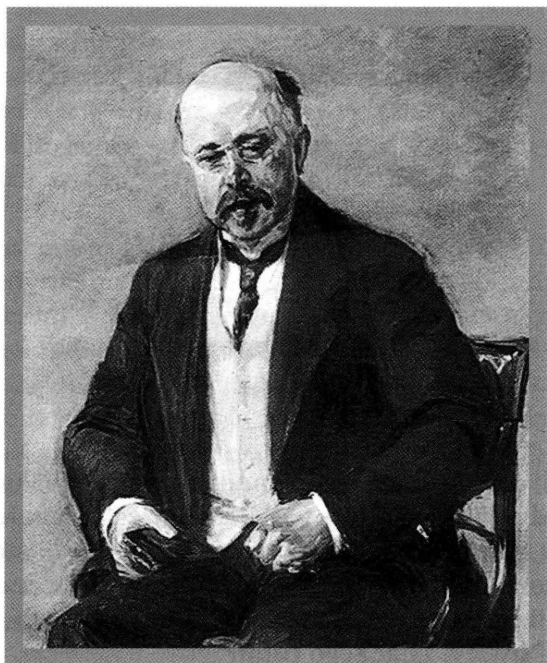
Roman Mazurkiewicz

Urodził się 29 sierpnia 1887 w Panigrodzie na ziemi wągrowieckiej, zmarł 6 maja 1969 r. w Zielonej Górze. Studiował medycynę, filozofię, prawo i muzykologię w Greiswaldzie (Gryfia), Berlinie i Poznaniu. W Niemczech uzyskał doktorat z prawa i filozofii, w Polsce doktorat z muzykologii. W 1945 r. został skierowany do Zielonej Góry, był m.in. wicestarostą zielonogórskim. Na wskutek fałszywych oskarżeń stracił pracę i stanowisko dyrektora szkoły muzycznej. Do czasu przejścia na emeryturę pracował w zakładach mięsnych w Zielonej Górze. Na jego dorobek kompozytorski składają się, m.in. symfonie, ballady, kantaty, msze, opracował wiele pieśni ludowych regionu lubuskiego. Jest autorem muzyki do *Hymnu Ziemi Lubuskiej*.

Narcyz Żołnowski

Urodził się 10 sierpnia 1938 w Krzepicach koło Częstochowy, zmarł 15 listopada 1989 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej we Wrocławiu. Skomponował: *Adagio i allegro na wiolonczelę i fortepian*, *Kwartet smyczkowy*, *Dwa tańce na klarnet i fortepian*, *Wiwat na kwartet instrumentów blaszanych*, *Suitę lubuską* na orkiestrę. Był autorem muzyki do przedstawień w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze.

Pominałem twórców muzyki zwanej rozrywkową, wśród nich związanego ze Świebodzinem Czesława Wydrzyckiego-Niemena. Pomi-nałem też osiągnięcia twórcze żyjących kompozytorów, którzy już zaznaczyli swoją obecność w muzyce, na przykład, gorzowianina Adama Bałdycha i zielonogórzan – Czesława Grabowskiego, Juliusza Karcza, Jerzego Szymaniuka, Andrzeja Tuchowskiego oraz wywodzącego się z Zielonej Góry Pawła Strzeleckiego.



*Prof. dr hab. Walter Nernst –
portret wykonany przez Maksa Liebermanna*

Walter Hermann Nernst

Urodził się 25 czerwca 1864 w Briesen (Wąbrzeźno), zmarł 18 listopada 1941 r. w Zibelle (Niwica) na ziemi żarskiej. Studiował fizykę, chemię i matematykę na uniwersytetach w Zurychu, Berlinie, Grazu i Würzburgu. Był m.in. profesorem uniwersyteckim w Getyndze i Berlinie, doktorem honorowym Królewskiej Wyższej Szkoły Technicznej w Gdańsku. W 1920 r. otrzymał Nagrodę Nobla z chemii za osiągnięcia w badaniach nad termodynamiką i za teorię roztworów. Dwa lata później kupił majątek w Niwicy. Pochowany na niwickim cmentarzu, w 1949 r. (1951?) został przeniesiony do Getyngi i złożony w rodzinnym grobie.

NOBLISTA NA EMIGRACJI WEWNĘTRZNEJ

**Rozmowa z prof. dr hab. Walterem Nernstem,
fizykiem i chemikiem, noblistą**

– Ze Środkowego Nadodrza mądrzy, twórczy ludzie częściej wyjeżdżali niż się tu osiedlali. Tak jest obecnie, tak było w czasach niemieckich. Może za panowania Piastów wyglądało to inaczej. Pan, będąc u szczytu sławy, porzucił stołeczny Berlin i zamieszkał w oddalonej od wielkich ośrodków miejskich Niwicy. Dlaczego tutaj?

– Pewnie pan oczekuje ode mnie, profesora nauk ścisłych, jasnej odpowiedzi, a ja niestety nie potrafię precyzyjnie wyjaśnić, dlaczego stałem się mieszkańcem wschodnich Łużyc. Na pewno wziąłem pod uwagę sugestię żony, aby pieniądze towarzyszące Nagrodzie Nobla zainwestować w coś, co mimo zawirowań politycznych nie straci na wartości, czyli w dom z gruntem. Wyboru miejsca podjęła się moja Emma, która miała więcej czasu niż ja i lepiej orientowała się w cenach nieruchomości. Dlaczego wybrała majątek w odległej Niwicy, a nie bliżej Berlina, na przykład w zaciszu Sprewaldu, gdzie lubiłem odpoczywać po dniu wytężonej pracy, nigdy nie spytałem.

– Czyżby nie miał Pan Profesor żadnego wpływu na wybór tego miejsca?

– Proszę nie sądzić, że o wszystkim, co się działo w mojej rodzinie, decydowała żona samodzielnie, traktując mnie jak podopiecznego. Emma była wyjątkową kobietą, przede wszystkim trzeźwo myślącą

i mocno stąpającą po ziemi, a ja częściej bujałem w obłokach. Im więcej lat miało nasze małżeństwo, tym bardziej byłem przekonany, że bez Emmy nie osiągnąłbym tego, co uzyskałem jako chemik i fizyk, wynalazca i konstruktor. Nigdy nie kwestionowałem decyzji podejmowanych przez żonę tak w sprawach dotyczących dzieci, nas dwojga, inwestycji, a nawet mojego wyglądu i ubioru. Nisko chylę głowę przed Bogiem za to, że połączył mnie z tak mądrą towarzyszką życia, jaką była Emma Lohmeyer.

– Dlaczego zatem Pana żona wybrała Niwicę, którą można znaleźć jedynie na najbardziej szczegółowych mapach?

– Przypuszczam, że ze względu na łagodny klimat i niezwykle bujną przyrodę Łuku Mużakowskiego. Może żona wybrała Niwicę, jak mi kiedyś wspomniała, biorąc przykład z Gerharta Hauptmanna, laureata literackiej Nagrody Nobla. Miał on dom w Jagniątkowie pod Jelenią Górą, gdzie nabierał sił do pracy twórczej, a mieszkał trochę w Berlinie, trochę na wyspie Hiddensee koło Rugii. Emma znacznie przeczytała więcej ode mnie książek pisarzy niemieckich i pewnie Hauptmann swoimi arcydziełami ją przekonał, że można żyć wszędzie. Nie bez znaczenia byli przyjaźnie nastawieni mieszkańcy Niwicy, w dużej części należący do mniejszości łużyckiej.

– A czy Panu odpowiadało to miejsce?

– Niwica leży w połowie drogi między Berlinem i Wrocławiem, dwoma ośrodkami akademickimi rangi światowej. Z Dolnym Śląskiem związało się dziesięciu laureatów Nagrody Nobla, w większości fizyków i chemików. Środkowe Nadodrze było miejscem urodzenia, szkoły lub pracy aż sześciu noblistów. Z Niwicy było dogodne połączenie kolejowe nie tylko do Berlina i Wrocławia, ale i do Drezna, Lipska, dalej do Monachium i Wiednia. W stronę Poznania prowadził szeroki trakt bity.

– Może żona wybrała Niwicę, aby miał Pan bliżej do Wąbrzeźna, miejsca swego urodzenia?

– Mój ojciec, z krwi i kości meklemburski Niemiec, po studiach prawniczych pracował jako sędzia w Wąbrzeźnie, kiedy miasteczko nazywało się Briesen. Mimo że matka była Polką z urodzenia, z ojcem i z dziećmi nigdy nie rozmawiała po polsku. W pewnym

sensie wynikało to z tego, że za przykładem ojca nasza rodzina wyznawała wiarę ewangelicką. Wąbrzeźno w czasie mego dzieciństwa leżało w prowincji wschodniopruskiej. Po przeniesieniu ojca do Grudziądza, w mieście nad Wisłą dokończyłem naukę w szkole powszechnej i tam poszedłem do gimnazjum humanistycznego, gdzie także mówiono po niemiecku. Ponieważ nie byłem katolikiem, nie miałem kolegów Polaków i nie pamiętam, aby w moim otoczeniu rozmawiano po polsku.

– Skoro skończył Pan gimnazjum humanistyczne w Grudziądzu to dlaczego studiował nauki ścisłe?

– Gimnazjalnym humanistą stałem się na życzenie ojca, który kazał mi uczyć się łaciny, czytać wiersze i powieści, a nawet wpajał we mnie zainteresowanie teatrem i muzyką. W rzeczywistości od zawsze ciekawiły mnie przedmioty ścisłe, o czym przekonałem ojca, urządzając laboratorium chemiczno-fizyczne w piwnicy naszego domu w Grudziądzu.

– Jeszcze jako student opisał Pan zjawisko termomagnetyczne. Rok później sformułował je niezależnie od Pana profesor Andreas von Ettingshausen. Domyślam się, że już wtedy drzwi wszystkich placówek naukowych stały przed Panem otworem.

– Dysertację doktorską obroniłem w Würzburgu niedługo po studiach, ale pierwszą pracę badawczą mogłem rozpocząć na uniwersytecie w Lipsku. Tam w ciągu dwu lat napisałem rozprawę habilitacyjną i zaraz po kolokwium przenieśliśmy się do najślawniejszego uniwersytetu w Niemczech, do Heidelbergu, z nadzieją, że mając w otoczeniu wybitnych uczonych, będę mógł zajmować się tym, co mnie interesowało. Niestety, asystentura w najstarszej niemieckiej uczelni, Uniwersytecie Ruprechta Karola, u pochodzącego ze Lwowa profesora Juliusza Brühla, nie dawała mi satysfakcji, przenieśliśmy się więc na uniwersytet w Getyndze.

– Historyk tego uczelni Wolfgang Boeker podaje, że w XIX wieku „poszukując kontaktów z przemysłem i sponsorów dla instytutów, stworzono całą sieć powiązań, co wyszło Getyndze na dobre”. Najlepiej świadczy o tym 12 Nagród Nobla, jakie

są udziałem uczonych związanych z Uniwersytetem im. Jerzego Augusta.

– Nauka powinna służyć wszystkim ludziom na świecie, a poprzez przemysł docierać nawet tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa. Odpowiedzią na takie właśnie pojmowanie zadań badacza była moja lampa, zdaniem znawców doskonalsza od żarówki wynalezionej przez Tomasza Edisona. Wprawdzie nie wytrzymała konkurencji z późniejszymi, jeszcze doskonalszymi wynalazkami innych twórców, ale w 1890 roku podczas Światowej Wystawy w Paryżu żarówki mojego pomysłu oświetlały pawilon niemiecki i wieżę Eiffla. Również w Getyndze zacząłem pracę nad trzecią zasadą termodynamiki. Wspaniała atmosfera na tym uniwersytecie i osiągnięte sukcesy to chyba najłepszy okres w moim życiu.

– Co Pan powiedział profesorowi Feliksowi Kleinowi z getyńskiej uczelni, gdy on ogłosił, że najlepsze lata twórcze przypadają na trzydziestkę, później się tylko głupieje?

– Odrzekłem, że w przeciwieństwie do niego, sławnego matematyka, uważam, że z każdym dniem staję się mądrzejszy. Profesor Klein spojrzał na mnie chłodno, po czym spytał: Tak Pan sądzi? Przytaknąłem pewny swoich racji i dumny z dotychczasowych osiągnięć, które przecież nie były zależne od tego, ile miałem lat. Profesor się zadumał i po chwili dodał: No to w takim razie wkrótce się wyrównamy.

– Mimo wspaniałej atmosfery w Getyndze i znaczących osiągnięć twórczych w 1905 roku przeniósł się Pan do Uniwersytetu im. Fryderyka Wilhelma w Berlinie.

– Znakomity pod każdym względem uniwersytet berliński był marzeniem każdego badacza, dla wielu nieosiągalnym. Mnie stołeczna Alma Mater zaproponowała objęcie katedry chemii fizycznej po wyśmienitym uczonym profesorze Hansie Landolcie. Było to jedyne takie miejsce w Niemczech, a może i na świecie, gdzie spotykali się najwybitniejsi badacze zjawiska termodynamiki. Pierwszą zasadę termodynamiki określili trzej fizycy: Mayer, Joule i Helmholtz. Druga została sformułowana przez dwóch fizyków: Clausiusa i Thomsona. Trzecią zasadę odkryłem sam. Jak widać, czwarta zasada dynamiki nie może istnieć.

– Istnieje, Panie Profesorze. Zwyczajowo nazywana prawem relacji wzajemnych, w 1968 roku została określona przez Larsa Onsagera i w tym samym roku potwierdzona Nagrodą Nobla.

– To jeszcze jeden dowód na to, że żaden uczony nie może być przekonany, że wyłącznie on ma rację. Rzeczą ludzką jest się mylić, jak i rzeczą ludzką jest umieć się przyznać do błędu. To drugie wymaga większej odwagi.

– Kiedy w 1914 roku kajzerowskie Niemcy stanęły po stronie Austro-Węgier i przystąpiły do wojny, Pan podpisał się pod listem do Wilhelma II, gratulującym mu odwagi.

– Nie ja byłem inicjatorem tego listu, mimo że bezkrytycznie akceptowałem politykę prowadzoną przez cesarza Wilhelma II aż do jego abdykacji. Wtedy pragnąłem, aby do grona najpotężniejszych państw jak Francja, Anglia i Ameryka, z którymi liczyły się wszystkie kraje, dołączyły Niemcy. Wierzyłem, że jedyną drogą do osiągnięcia celu jest znakomicie wyszkolona armia i fabryki produkujące nowoczesne uzbrojenie.

– Czy dlatego zgłosił się Pan na ochotnika do wojska razem ze swoim samochodem?

– Uczyniłem to w pierwszym odruchu na tragiczną wiadomość, że na froncie zginęli moi synowie Rudolf i Gustaw. Koledzy z uniwersytetu, gdy się dowiedzieli o podjętej decyzji, mieli do mnie pretensję, wszak uważali, że obowiązkiem uczonego jest służyć cesarstwu swoją wiedzą i talentem. Wysłany z formacją zmotoryzowaną do Francji, rychło zostałem zdemobilizowany, ponieważ ze względu na wiek i nieumiejętność posługiwania się bronią, byłem nieprzydatny na froncie. Po powrocie do Berlina, na prośbę sztabu generalnego naszej armii, natychmiast przystąpiłem do pracy laboratoryjnej nad nową bronią, chodziło o chemiczne środki rażenia. Gazów paraliżujących niemiecka armia po raz pierwszy użyła we Flandrii. Za ten epokowy wynalazek cesarz Wilhelm II odznaczył mnie medalem *Pour le Mérite*.

– A po przegranej przez Niemcy wojnie i abdykacji Wilhelma II zwycięzcy oskarżyli Pana o zbrodnie wojenne. Nie stanął Pan przed sądem alianckim tylko dlatego, że w 1920 roku

komitet noblowski przyznał Panu nagrodę za badania w dziedzinie chemii.

– Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie. Gdy dowiedziałem się, w jakich męczarniach umierali żołnierze na polu bitewnym, zdałem sobie sprawę, że praca nad syntezą gazów bojowych była błędem. Do końca życia wstydziłem się tego wynalazku. Swoją winę pragnąłem zmniejszyć działalnością społeczną, dlatego zgodziłem się objąć stanowisko rektora berlińskiej uczelni, które z dumą zajmowałem przez dziesięć lat, jednocześnie kierując Instytutem Fizyki Doświadczalnej.

– Kiedy naziści doszli do władzy w Niemczech w 1932 roku po wyborach do Reichstagu, Pan jeszcze był rektorem uniwersytetu.

– Narodowi socjaliści, jak określali swoje szeregi naziści, oczekiwali, że autorytetem rektora uniwersytetu, badacza i uczonego, laureata Nagrody Nobla, poprę ich politykę. Przeliczyli się. Nigdy nie powiedziałem, że odpowiadają mi hasła i dążenia Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Przeciwnie, podczas konferencji naukowych i zwyczajnych zebrań pracowników uniwersytetu sprzeciwiałem się programowi głoszonemu przez nazistów. Wtedy, w 1932 roku, nie w pełni zdawałem sobie sprawę, do czego doprowadzi ich polityka. Kiedy w tym samym roku przestałem być rektorem uniwersytetu, dotarło do mnie, że kierowana przez Hitlera NSDAP jest partią faszystowską, podporządkowującą sobie życie społeczne, gospodarcze i polityczne, stosującą system terroru ideologicznego i powszechną inwigilację.

– Czy po pozbawieniu funkcji rektora naziści dali Panu spokój?

– Po 1932 roku nigdy nie zaznałem spokoju, nie licząc tego, który miałem w Niwicy, ale to inna sprawa. Ponieważ nie wsparłem NSDAP i nie przystąpiłem do tej partii, jak to zrobiło wielu uczonych bardziej dla tak zwanego świętego spokoju niż z przekonania, w Berlinie straciłem swoją pozycję. Nowe władze odwołały mnie ze stanowiska dyrektora Instytutu Fizyki Eksperymentalnej i zaproponowały przejście na emeryturę. Miałem 68 lat, wbrew temu, co powiedział profesor Klein, mogłem jeszcze spokojnie prowadzić

badania naukowe. W jakimś odruchu samoobrony, a pewnie i ze złości, napisałem podanie o natychmiastowe przeniesienie mnie na emeryturę.

– A gdyby Pan posypał głowę popiołem, czyli zapisał się do NSDAP...?

– Naziści domagali się ode mnie zrobienia kroku niehumanitarnego, czego jako ojciec, teść i dziadek nie mogłem uczynić. Naziści chcieli, abym wyrzekł się córek Angeli i Hildegardy lub spowodował, że obie porzucą swoich żydowskich mężów i wrócą do Niemiec. Gdy zaczęła się nagonka na niemieckich Żydów, przekonałem zięciów, że w Trzeciej Rzeszy czeka ich najgorsze, dlatego powinni wyjechać za granicę, w czym im pomogłem. Oprócz skrzywdzenia córek i zięciów naziści domagali się zerwania ze współpracownikami pochodzenia żydowskiego, jakich wielu miałem w swoim otoczeniu. Po spełnieniu tych żądań mógłbym wrócić do Instytutu Fizyki Eksperymentalnej, być jego dyrektorem i dalej prowadzić badania, korzystając z pomocy finansowej państwa.

– I wtedy zamienił Pan Berlin na Niwicę?

– Przebywanie w Niwicy, wsi cichej, spokojnej, wręcz nudnej było niezwykle trudne dla mnie, przyzwyczajonego do wielkomiejskiego gwaru, dzwoniącego telefonu, rozwiązywania bieżących problemów uniwersytetu, spotkań z uczonymi z całego świata. Prawda, w wiejskiej ciszy miałem doskonałe warunki do czytania, rozmyślenia, spacerowania, podziwiania fantastycznej przyrody Łuku Mużakowskiego. Jedyne moje kontakty z miejscowymi ludźmi ograniczały się do udziału w niedzielnych nabożeństwach. Żona, która od dnia zakupu tego domu, знаła niemal wszystkich w Niwicy i na wsi czuła się znakomicie, na pytanie, co robi mąż, odpowiadała: Przebywa na emigracji wewnętrznej.

– Czy jako mieszkaniec Niwicy nie utrzymywał Pan żadnych kontaktów ze światem nauki?

– Władze odebrały mi paszport i nie zezwoliły na kontakty z badaczami pracującymi za granicą, ale nie całe naukowe Niemcy o mnie zapomniały. Listonosz codziennie przynosił listy i zaproszenia na konferencje do Berlina, Würzburga, Getyngi, Heidelbergu i tam, gdzie

nie obawiano się ze mną rozmawiać. Najtrudniejsze było to, że w sali, do której wszedłem choćby jako słuchacz, zawsze pojawiali się panowie z policji politycznej.

– Nie mogę zrozumieć, że mimo tych ograniczeń, mimo uporzków, w rok po wybuchu drugiej wojny podjął się Pan prac nad usprawnieniem mechanizmów napędowych do łodzi podwodnych.

– Z taką prośbą zwróciło się do mnie naczelne dowództwo Kriegsmarine. Uznałem, że to okazja do potwierdzenia, że mimo odsunięcia od ośrodków badawczych, mimo zbliżania się do osiemdziesiątego roku życia, w nauce ciągle jestem niezastąpiony. Niestety, wiek już mi przeszkadzał, a może nie tyle wiek, co rok wcześniej przeżyty zawał serca.

– W historii myśli zapisał się Pan również jako autor celnych powiedzonek.

– Ludzie nie zajmujący się nauką często uważają badaczy za dziwaków. Z pewnością wielu uczonych daje ku temu powody, a to nie przywiązując wagi do wyglądu zewnętrznego, a to nie zajmując się swoją rodziną, a to mając za nic prawo czy obowiązki wobec państwa. Ponieważ ja zdawałem sobie z tego sprawę, starałem się tam, gdzie to było możliwe, iść pod prąd głoszonym opiniom. W ten sposób zapisałem się w historii cytatów jako autor myśli: Zajmować się biologią oznacza podglądać Boga przy akcie stworzenia.

– Dziękuję za rozmowę.

Dzieła Waltera Nernsta

Jak podaje polska edycja encyklopedii *Britanica*, Nernst zapisał się w nauce jako autor prac z zakresu teorii komórek galwanicznych, termodynamiki równowagi chemicznej, właściwości par w wysokich temperaturach i ciał stałych w niskich temperaturach oraz mechanizmów fotochemicznych. Większość jego dzieł znalazła zastosowanie w przemyśle i nauce. Oto te najczęściej wymieniane osiągnięcia profesora urodzonego w Wąbrzeźnie, zmarłego w Niwicy.

1886 – Zjawisko termomagnetyczne, tzw. efekt Nernsta-Ettingshausena, oznacza powstawanie pola elektrycznego w płytce metalicznej lub półprzewodnikowej pod wpływem gradientu temperatury i prostopadłego do niego pola magnetycznego. Rok po sformułowaniu tego zjawiska przez Nernsta, niezależnie od niego odkrył je Andreas Ettingshausen.

1889 – Lampa Nernsta była jedną z pierwszych żarówek elektrycznych. Miejsce żarnika zajmował ceramiczny pręcik. Wytwarzała światło o widmie zbliżonym do widma światła dziennego. Jej wadą było to, że do funkcjonowania potrzebowała dodatkowego elementu rozgrzewającego żarnik. Zdaniem autora szkicu o Nernście, prof. dr. hab. Adama Barylskiego, była doskonalsza od lampy Edisona.

1890 – Prawo podziału substancji, zwane też prawem równowagi fazowej Nernsta mówi, że dla dwu nie mieszających się, będących w kontakcie i pozostających ze sobą w równowadze cieczy, stosunek aktywności trzeciego składnika, rozpuszczonego w każdej z tych cieczy, jest stały w danych warunkach temperatury i ciśnienia.

1891 – Równanie Nernsta to podstawowa zależność elektrochemiczna wyrażająca równowagowy potencjał elektrody względem jej potencjału standardowego i stężenia substancji biorących udział w procesie elektrodowym.

1906 – Trzecia zasada termodynamiki, nazywana zasadą Nernsta-Plancka, oznacza, że entropia układu o ustalonych parametrach, na przykład, o stałym ciśnieniu lub objętości, i temperaturze zmierzającej do zera bezwzględnego zmierza również do zera. W uproszczeniu twierdzenie to tak brzmi: jeżeli między czystymi kryształami zachodzi wymiana chemiczna w temperaturze

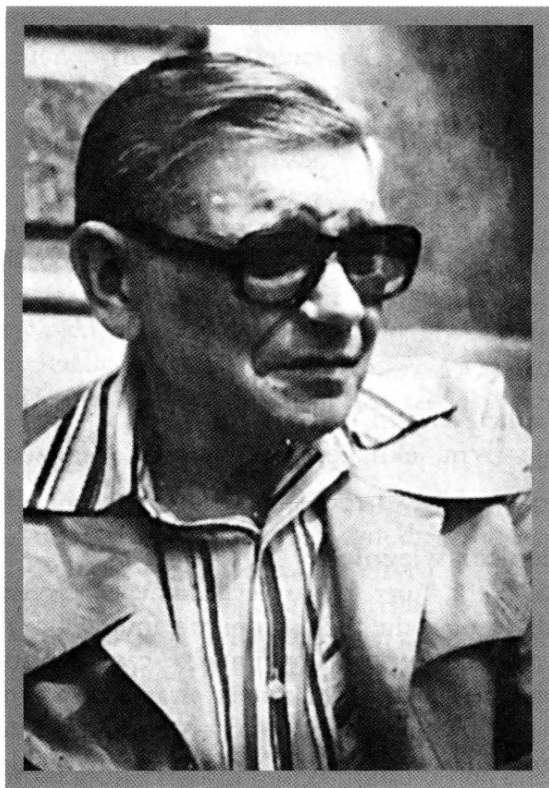
zera bezwzględnego, entropia się nie zmienia. Entropia to termodynamiczna funkcja stanu będąca miarą nieuporządkowania układów, a więc także całego wszechświata. Zasada ta ma duże znaczenie teoretyczne, w praktyce, w przeciwieństwie do zasad pierwszej i drugiej, znikome.

W 1893 r. Nernst wydał podręcznik chemii teoretycznej *Theoretische Chemie vom Standpunkte der Avogadro'schen Regel und der Thermodynamik*. Dwa lata później ukazała się kolejna jego książka *Einführung in die mathematische Behandlung der Naturwissenschaften*.

Encyklopedia *Britanica* podaje, że profesor jest też wynalazcą fortepianu wzmacnianego elektronicznie.

24748 Nernst – to planetoida okrążająca Słońce w ciągu pięciu lat i 72 dni, odkryta w 1992 r. przez Freimuta Börngena i Lutza Schmadelę w Tautenburgu w Turynii.

Tablice pamiątkowe dotyczące drogi życiowej Nernsta są w Niwicy (na ścianie domu, w którym mieszkał do śmierci) i Wąbrzeźnie (na kamienicy przy ul. Kościelnej, gdzie się urodził).



*Dr Paweł Wiktorski – fotografia Czesława Łuniewicza –
reprodukcja z książki „Na koniec wzeszło słońce”, Warszawa 1985*

Paweł Wiktorski

Urodził się 16 lipca 1913 w Warszawie, zmarł 17 października 1989 r. w Żaganiu. Studiował weterynarię na Uniwersytecie Warszawskim, stopień doktora medycyny weterynaryjnej uzyskał na uniwersytecie w Bolonii. Po klęsce wrześniowej przebywał za drutami obozów jenieckich w Hadamarze i Murnau. Do Polski wrócił z Wielkiej Brytanii w 1947 r. Pracował jako lekarz weterynarii m.in. w Skolimowie, Słupsku, Zielonej Górze i Żaganiu. Spod jego pióra wyszły opowieści: *Czas biegnie obok*, *A po wojnie, po skończonej*, *Lot nad kotłyską* i *Na koniec wzeszło słońce*.

UCIECZKA DO WOLNOŚCI

Rozmowa z dr Pawłem Wiktorskim,
jeńcem wojennym, lekarzem weterynarii, pisarzem

– Kim był jeńiec? Więźniem?

– Jeńiec to żołnierz, który dał się wziąć do niewoli podstępem albo podczas walki z powodu braku broni lub amunicji czy zranienia. Najczęściej osadzony w specjalnym obozie, czyli odcięty od świata zewnętrznego, bez możliwości kontaktowania się z tym światem, chociaż nie pozbawiony prawa do otrzymywania paczek i listów oraz organizowania swoich zajęć i uczestniczenia w zajęciach prowadzonych przez inne osoby. Wedle Konwencji genewskiej jeńiec był nadal żołnierzem, tyle że nie miał broni i pozostawał pod kontrolą przeciwnika, który powinien zapewnić mu identyczne warunki bytowe jak swoim żołnierzom. Więzień zaś to osoba pozbawiona wolności na podstawie wyroku sądu. Obie definicje są tylko częściowo prawdziwe i nie pokrywają się z praktyką. Niekiedy żołnierz jednej strony konfliktu zbrojnego przez drugą stronę bywa uważany za terrorystę, nie jest wtedy traktowany nie jak jeńiec, lecz jak przestępca. Mam na myśli także partyzanta, powstańca i każdego bojownika o wolność, niezależność, swobodę, niepodległość. Żaden sąd nie wydał wyroku wobec osób siedzących za drutami hitlerowskich obozów koncentracyjnych, mimo to Niemcy traktowali je gorzej niż kryminalistów.

– A mnie się wydaje, że jeńiec to jednak więzień.

– Praktycznie jeniec to więzień, do którego powinny być stosowane zasady określone w Konwencji genewskiej. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy nie zawsze stosowali się do tych zasad, jakby od początku byli przekonani, że wojnę wygrają, a zwycięzców nikt nie osądzi. Na szczęście stało się inaczej.

– **Czym się zajmowali jeńcy za drutami?**

– Wymyślali sobie przeróżne zajęcia, żeby nie umrzeć z bezczynności. Żeby nie zwariować, chociaż miałem w swoim otoczeniu wielu takich, których jenieckie życie doprowadziło do dziwactw i psychoz. Proszę pana, każdy jeniec zaczynał dzień od tęsknego spojrzenia za druty kolczaste okalające obóz i myślał, jak się wydostać z niewoli.

– „Ach, iść! Móc iść w obszary! Móc na przelaj w przestrzeń! Iść prosto, tuląc radość w płaszcz zmoczony deszczem” napisał Leon Kruczkowski w *Listach z oflagu*.

– Uwięziony za drutami oflagu II C Woldenberg, dziś Dobiegniew, Marian Brandys napisał, że „Kto nie spędził kilku lat w klatce z drutu kolczastego, nie pojmie nigdy siły i głębi jenieckiej tęsknoty do wolności”.

– **Pan też miał głowę nabitą marzeniami o ucieczce?**

– Codzienne rozmowy w obozach, w których siedziałem od jesieni 1939 do połowy zimy 1945 roku, choćby dotyczyły pogody, kończyły się rozważaniami nad ucieczką. Ranny, zdrowy, chory... każdy chciał spróbować, bo człowiek chce być wolny. Nawet gdy komisja do spraw sportu organizowała zawody, to w takich konkurencjach jak skok w dal, pchnięcie czegoś w rodzaju kuli, rzut piłeczką pałantową, czyli które dawały poczucie wolności.

– **Czy próbował Pan uciec?**

– Nie znałem nikogo, kto nie próbował wydostać się z niewoli na wolność. W Hadamarze kilka razy ułożyłem, jak mi się wydawało, perfekcyjny plan, ale się nie udało. Nie udało mi się wydostać z Murnau. Wielu moim kolegom udało się uciec, ale większość szybko zostało pojmanych.

– Czytałem opisy udanych ucieczek nawet z takich miejsc jak obóz koncentracyjny Auschwitz.

– Ja też o tym czytałem... Na początku marca 1940 roku przewieziono mnie z obozu przejściowego w Ostrzeszowie do Hadamaru w Hesji. Pierwszą wiadomością, jaka do mnie dotarła, była ta o ucieczce podporuczników Fleminga i Sobocińskiego. Po kilku dniach Niemcy ich złapali. Było już ciepło, gdy uciekło osiemnastu jeńców. Ale największe poruszenie wśród Niemców i ośmieszenie ich dozoru wywołała ucieczka inwalidy wojennego podporucznika Lacha. Zdawał sobie sprawę z tego, że na jednej nodze daleko nie ucieknie, dlatego dotarł do pierwszej wsi i tam poprosił napotkanego chłopca na wozie, aby go odwiózł pod bramę obozu.

– Niemcy zamknęli Oflag XII A w Hadamarze w 1941 roku. Czy oznaczało to koniec Pana dwuletniej niewoli?

– Rozparcelowali nas do większych obozów. Ja znalazłem się w oflagu VII A w bawarskim Murnau, niedaleko Monachium.

– Z Murnau też były ucieczki?

– Ucieczki były zawsze. Z każdego obozu jenieckiego. Większego i mniejszego. Lepiej i gorzej strzeżonego. Jak już powiedziałem: ucieczka z niewoli jest podstawowym obowiązkiem każdego jeńca. Jest ona dalszym ciągiem walki z wrogiem. W dziejach obozów jenieckich aż gęsto od opisów ucieczek, najczęściej nieudanych.

– Do historii świata przeszła ucieczka z obozu w Żaganiu, określona jako wielka.

– Ma pan na myśli ucieczkę osiemdziesięciu jeńców ze stalagu Luft III?

– Tak.

– Idę o zakład, że gdyby nie amerykański film *Wielka ucieczka*, niewiele osób na świecie wiedziałoby, że w Żaganiu był jeden z największych niemieckich obozów jenieckich. Film powstał w 1963 roku. Trzynaście lat wcześniej w Nowym Jorku wyszła książka pod tym samym tytułem Paula Brickhilla, australijskiego pisarza, który, będąc pilotem myśliwca Royal Australian Air Force, został strącony nad Tunezją w 1943 roku i do końca wojny w Europie był jeńcem

stalagu Luft III. Nie znam na tyle literatury zachodniej, aby stwierdzić, że książka przeszła bez echa. Na pewno nie było o niej tak głośno jak o wydanej w tym samym roku powieści *Barabas* szwedzkiego noblisty Pära Lagerkvista czy opublikowanej dziesięć lat wcześniej powieści *Komu bije dzwon* pióra Ernesta Hemingwaya albo o *Dżumie* Alberta Camusa z 1947 roku. W tym miejscu aż się ciśnie na usta powiedzenie przypisywane Leninowi, że kino jest najważniejszą ze sztuk.

– **Zna Pan opowieść *Wielka ucieczka* Paula Brickhilla?**

– Nie. Nawet nie wiem, czy ukazała się po polsku. Czytałem natomiast wstrząsającą *Wielką ucieczkę* Jürgena Thorwalda, wydaną po niemiecku w 1951 roku, znakomicie przełożoną na język polski przez zielonogórskiego chirurga i tłumacza doktora Albina Bandurskiego i Janiną Szczanieką. Mniej zorientowani czytelnicy myślą te tytuły, ponieważ oba dotyczą prawie tego samego czasu, wolności i prawa do swobody. Brickhill opowiada o alianckich jeńcach, Thorwald o niemieckich mieszkańcach Śląska, Prus Wschodnich i Pomorza, którzy pod naporem wojsk radzieckich zimą i wiosną 1945 roku uciekli na zachód. W książce Thorwalda znalazł się opis ostatnich dni w bunkrze Hitlera. Dotąd nikt tego lepiej nie opisał i pewnie nie opisze.

– **Mnie już się mylą książki z tytułem *Wielka ucieczka*. Oprócz Brickhilla *Wielką ucieczkę* ze stalagu Luft III, wydaną po polsku w 2003 roku, napisał brytyjski historyk Anton Gill.**

– W dużej części jest to książka oparta na materiałach zebranych przez wytwórnię United Productions do telewizyjnego filmu dokumentalnego o ucieczce z Żagania. Zresztą sprawie ucieczki jeńców ze stalagu Luft III było poświęconych więcej filmów i książek. Za najcenniejszą uważam rozprawę doktorską zielonogórskiego prokuratora i poety Tadeusza Sojki, mam nam myśli wydaną w 1986 roku książkę *Sagan Befehl: fakty i dokumenty*.

– **A czy oglądał Pan film zrealizowany na podstawie książki Brickhilla?**

– Myślę, że większość mieszkańców Żagania zna ten film jak nie z projekcji kinowe, to z wersji na kasetach. Nie wiem, ile w tym

prawdy, bo, jak wcześniej powiedziałem, nie znam książki Brickhilla, film jest swobodną przeróbką wydarzeń, które rozegrały się w czasie drugiej wojny światowej. Mogły one mieć miejsce w Żaganiu, ale i w Murnau w Bawarii czy w Dössel w Nadrenii Północnej – Westfalii. Jest w nim bowiem mowa, że stalag leży gdzieś w Niemczech.

– Mimo tej uwagi film zachwycił widzów na całym świecie. Wszedł do kanonu najbardziej cenionych opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce podczas drugiej wojny światowej.

– Sądzę, że sprawiła to przede wszystkim doborowa ekipa producencka i sukcesy, jakie odnosił wcześniejszy film tego samego reżysera, mam na myśli western *Siedmiu wspaniałych*. John Struges zaangażował bowiem do *Wielkiej ucieczki* Steve’a McQueena, Charlesa Bronsona, Jamesa Coburna, podziwianych za role w *Siedmiu wspaniałych*, oraz Richarda Attenborougha. Autorem muzyki był Elmer Bernstein, kompozytor nominowany do Oscara za oprawę muzyczną *Siedmiu wspaniałych*.

– Skoro film Struges’a nie jest wiernym odzwierciedleniem opowieści Brickhilla to jak było naprawdę? Czy to, co przedstawił Pan w książce *Na koniec weszło słońce* wydarzyło się w stalagu Luft III?

– Mieszkając w Żaganiu zebrałem nie tylko bogaty materiał na ten temat, ale i wiele razy byłem w miejscu, gdzie w czasie wojny stały baraki. A ponieważ miałem doświadczenie jeńca z Hadamaru i Murnau, łatwiej niż autorzy filmu mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądały przygotowania do ucieczki i co się wydarzyło w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku. Niestety, nie zdążyłem uwiecznić tego na papierze.

– Czy utrwalona w książce i na filmie ucieczka była jedyną ze stalagu Luft III?

– Ten obóz był przeznaczony dla zestrzelonych pilotów i załóg lotniczych brytyjskich, amerykańskich, kanadyjskich, południowoafrykańskich, australijskich, nowozelandzkich. Za drutami siedziało też około stu Polaków, podobnej wielkości grupa Rosjan, pojedynczy

przedstawiciele innych narodowości. Mimo że obowiązywał rygor, to jeńcy byli traktowani łagodniej niż w innych obozach. Nie powinny więc dziwić ucieczki w pojedynkę i grupkami. Dokumenty wskazują, że jedną z pierwszych ucieczek zorganizował Norweg Jens Muller, niestety była nieudana. W ciągu dwu lat doszło do blisko czterystu ucieczek w większości w przebraniu w niemieckie mundury wojskowe, w kitlu lekarskim, w ukryciu pod plandeką na samochodzie, nawet przez przecięte druty.

– Dlaczego Niemcy utworzyli stalag Luft III dopiero w trzecim roku wojny, w Żaganiu, podległy nie Wehrmachtowi jak większość takich obozów, lecz Luftwaffe?

– Powtórzę jeszcze raz, że zadaniem jeńca jest walczyć z wrogiem wszelkimi sposobami. Jednym z nich jest uciezka. Jeńcy więc uciekali z wszystkich obozów rozsianych po całej Europie. Te coraz gęstsze i udane ucieczki skłoniły dowództwo niemieckich wojsk lotniczych do postawienia takiego obozu, z którego uciezka byłaby, jak sądzili, niemożliwa. Generałowie Luftwaffe wskazali więc Żagań, który od połowy XIX wieku rozwijał się w oparciu najpierw o wojsko pruskie, potem Reichswehrę i Wehrmacht. Tu Niemcy sformułowali 11. Dywizję pancerną, z pobliskiego Świątoszowa (po niemiecku: Neuhammer) wyruszyły na fronty drugiej wojny 81. Dywizja pancerna i dywizja Breslau. Wielu mieszkańców było związanych z wojskiem wprost pracą albo poprzez rodziny, co oznaczało lojalność wobec armii i współpracę z jej służbami. Żagań, gdzie już istniał stalag VIII C spełniał i inne warunki określone przez Luftwaffe. Liczące nieco ponad 22 tysiące mieszkańców miasto leżało bowiem 625 kilometrów od granicy z neutralną Szwajcarią, 275 kilometrów od brzegu Bałtyku, w terenie mniej zaludnionym, lesistym, gdzie warunki długiego ukrywania się uciekinierów wydawały się Niemcom zbyt ciężkie. Ziemia, na której postawiono baraki była piaszczysta, a więc uniemożliwiająca zrobienie podkopu. Wobec zarzutów stawianych przez przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, że warunki w stalagach nie odpowiadają zasadom określonym w Konwencji genewskiej, Niemcy chcieli mieć ten obóz jako pokazowy. I rzeczywiście w porównaniu z warunkami odosobnienia panującymi w innych miejscach jeńcy umieszczeni w stalagu Luft III mieszkali w przestronnych drewnianych barakach, po

ośmiu. Dostawali paczki, nie pracowali ani w obozie, ani poza nim, w czasie wolnym organizowali sobie zajęcia kulturalne, sportowe, oświatowe. Obowiązywała ich jedynie obecność na codziennym apelu i cisza nocna.

– Mając takie warunki, woleli uciec?

– Pan nie siedział za drutami, nie rozumie więc, co to jest marzenie o wolności. Jaka niespożyta siła wstępuje w człowieka, który pragnie się wydostać z niewoli...

– O ucieczce nazwanej wielką może dlatego było tak głośno, że odbyła się przez najdłuższy tunel wykopany przez jeńców? W miejscu piaszczystym, a więc teoretycznie niemożliwym do zrobienia podkopu. Okolonym wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego i zasiekami oraz strzeżonego nie tylko przez strażników, ale i urządzenia techniczne, jakimi były mikrofony podsłuchowe umieszczone w ziemi.

– Przygotowania do wielkiej ucieczki trwały od dawna. Jak powiedział Henryk Marschall podczas przesłuchania przed wojskowym trybunałem w Hamburgu w 1947 roku, zaraz po osadzeniu w stalagu Luft III jeńcy rozpoczęli kopanie około stu tuneli. Dopiero gdy w 1943 roku do obozu został przywieziony najślynniejszy uciekinier major Roger Bushell, prace nabrały tempa. Bushell stanął na czele Organizacji X, opracował plan, czuwał nad jego wykonaniem. „Plan miał na celu ucieczkę dwustu oficerów przez tunel, który miał być wykopany z jednego baraku, lecz ze względów psychologicznych zaczęliśmy kopanie trzech tuneli jednocześnie, powiedział porucznik Marschall odpowiadając na pytania prokuratora w hamburskim trybunale. 'Tunele te nazywały się: »Tom«, »Dick«, »Harry«. Tunel »Tom« został odkryty przez Niemców latem, gdzieś w maju lub czerwcu 1943 roku i został wysadzony w powietrze. Drugi tunel »Dick«, gorzej usytuowany, był używany jako miejsce magazynowania wyposażenia potrzebnego przy budowie tunelu »Harry«”.

– Zaliczeni do ucieczki jeńcy wiedzieli, że uciekną tym ostatnim tunelem?

– Tak. Wejście do wykopu, zaprojektowane przez Polaka, kapitana Bronisława Mickiewicza, było pod piecykiem w baraku numer 104,

usytuowanym na wprost głównej bramy, wyjście w lesie za ogrodzeniem obozu. 111-metrowy tunel przebiegał na głębokości dziesięciu metrów, był oszalowany deskami z łózek jeńców. Na dnie szybu znajdowała się pompa, która przez konstrukcję z puszek po skondensowanym mleku dostarczała powietrze do brezentowych worków. Wewnątrz było oświetlenie elektryczne i drewniane tory, najpierw służące do wywozu urobku, a potem do transportu uciekinierów. Wybrany piasek w woreczkach ze sznurkami jeńcy wkładali do nogawek spodni i jako tzw. pingwiny rozsypywali po całym obozie. W ten sposób między barakami przybyło co najmniej czterdzieści ton urobku, którego nie dostrzegli niemieccy strażnicy. Gdy jedni kopali tunel, drudzy przerabiali wojskowe dreluchy na ubrania cywilne, kopiowali mapy, podrabiali dokumenty.

– Jak wyglądał ostatni dzień przed ucieczką?

– Ładnie to opisał żagański prozaik Edward Derylak w opowiadaniu *Per ardua ad astra*. „Od południa wszyscy już wiedzieli, że tej nocy nastąpi finał dziesięciomiesięcznych przygotowań. Jak zwykle odbywały się wykłady i lekcje języków. Rozegrano nawet mecz piłkarski. Wytypowanych dwustu uczestników ucieczki z niecierpliwością oczekiwało nastania zmroku, spacerowali po terenie sektora albo siedzieli w swoich izbach i palili papierosy, jeśli je mieli, albo usiłovali czytać książki. Wtajemniczone oczy dostrzegły jednak fasadowość tych działań.”

– Mimo precyzyjnych planów, ucieczka zaczęła się z prawie dwugodzinnym opóźnieniem.

– Nigdzie nie spotkałem logicznego wyjaśnienia, dlaczego uciekinierzy czekali aż dwie godziny. Bohater opowiadania Edwarda Derylaka mówi: „Wkrótce przyszła moja kolej. Musiałem zostawić koc, bo w tunelu było ciasno. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne przestoje. Położyłem się na wózku z wyciągniętymi do przodu rękami, w których trzymałem, ograniczony do minimum, swój bagaż. Dopiero teraz widziałem, ile wysiłku, odwagi i determinacji kosztowało wydrążenie tego nie kończącego się tunelu. Kolega ciągnął mnie na wózku do pierwszej mijanki. Tam przesiadałem się na następny. Mijanki te nosiły nazwy przystanków londyńskiego metra.”

– To było w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku.

– Kiedy pierwsi jeńcy dotarli do wyjścia z tunelu, okazało się, że jest ono nie w lesie, a zaraz za ogrodzeniem. Na ich szczęście zaczął się nalot samolotów brytyjskich na Żagań i wtedy w stalagu zgasło światło. Nad ranem niemiecki wartownik zauważył wydeptaną ścieżkę do lasu. Komendant obozu ogłosił alarm...

– Ilu jeńcom udało się wydostać z niewoli?

– Organizacja X planowała, że ucieknie nawet sześćset osób, uciekło osiemdziesiąt, czterech z tej grupy złapali jeszcze w pobliżu obozu. Reszta rozpieczętowała się po okolicy i mimo że władze niemieckie zarządziły wielką obławę, trzem jeńcom udało się szczęśliwie dostać do celu, byli to: Norweg Jens Muller, Anglik Peter Rockland (w rzeczywistości był Norwegiem Perem Bergslundem) i Holender Brom van der Stok. Norweg i Anglik pociągami przez Kostrzyn dostali się do Szczecina, a Holender przez Wrocław do Drezna. 73 uciekinierów Niemcy schwytywali na terenie Rzeszy. Mimo że jeńców chroniła Konwencja genewska, rozwścieczony Hitler wydał *Sagan Befehl* (rozkaz żagański) o najsurowszym ukaraniu złapanych, tak aby stanowił przestrożę i groźbę dla ewentualnych kandydatów na uciekinierów. Poleciał w nim rozstrzelać wszystkich nie-Anglików, a Anglikami uzupełnić stan do pięćdziesięciu. Wśród rozstrzelanych byli: kapitan Antoni Kiewnarski (45 lat), porucznicy Kazimierz Pawluk (38 lat), Stanisław Król (28 lat), Paweł Tobolski (38 lat), Jerzy Mondschein (35 lat) i Włodzimierz Kolanowski (31 lat).

– Czy winni tej zbrodni zostali kiedykolwiek ukarani?

– Dopiero w 1947 roku dziewiętnastu niemieckich sprawców zbrodni na jeńcach stanęło przed trybunałem wojskowym w Hamburgu. Czternastu skazano na karę śmierci, pięciu na dożywotnie więzienie. Morderców schwytywanych później sądzono także w 1955, 1966 i 1968 roku. Żaden nie zaprzeczył, że rozstrzelanie jeńców było pogwałceniem Konwencji genewskiej.

– Ostatnie pytanie: jaki tytuł miałyby ta książka, do której zebrał Pan materiał, a która nigdy nie powstała?

– Pewnie *Jenieckie latyfundium*. Tak też zatytułowałem jeden z rozdziałów zbioru opowieści *Na koniec wzeszło słońce*. W latach drugiej

wojny światowej w Żaganiu i w pobliżu miasta było co najmniej sześć obozów jenieckich. Nie zachowały się komplety dokumentów, dlatego trudno dziś ustalić, ilu jeńców się przez nie przewinęło. Z moich szacunkowych rachunków wynika, że od pół miliona do siedmiuset tysięcy. Ilu zmarło z powodu chorób, głodu i wycieńczenia, nie wiadomo. Nie wiadomo też, ilu próbowało uciec zza drutów, ale nie dopisało im szczęście. Wiadomo jedynie, że tylko Norweg, Anglik i Holender – trzech spośród osiemdziesięciu śmiatków wielkiej ucieczki dotarło do Anglii i opowiedziało, co się działo za drutami. Ta w niewielkiej części udana ucieczka miała ogromny wpływ na morale żołnierzy alianckich w ogóle, a brytyjskich przede wszystkim.

– Dziękuję za rozmowę.

Żagańskie obozy jeńckie w latach 1939-1945

Już w czasie wojen napoleońskich Żagań był miejscem, gdzie przetrzymywano jeńców. Obozy internowanych istniały tu w okresie pierwszej wojny światowej. Wziętych do niewoli powstańców wielkopolskich Niemcy przetrzymywali w Żaganiu.

Podczas drugiej wojny światowej w Żaganiu i bliskiej okolicy istniał kompleks niemieckich obozów dla jeńców.

VIII Okręgowi Wojskowemu Wehrmachtu we Wrocławiu podlegały:

Dulag Kunau (Konin Żagański, gmina Iłowa, powiat żagański)

Założony w październiku 1939 r. funkcjonował jako obóz przejściowy dla 18 tysięcy polskich szeregowych i podoficerów Września 1939. Jeńcy spali w dwustu namiotach. Podczas jego likwidacji w kwietniu 1940 r. 6 tysięcy jeńców zostało przeniesionych do stallagów VIII A w Zgorzelcu i VIII C w Żaganiu.

Stalag VIII C Sagan (Żagań)

Powstał pod koniec września 1939 r. Najpierw przebywali w nim żołnierze polscy z wojny obronnej, potem ponad 49 tysięcy jeńców francuskich, belgijskich, jugosłowiańskich, włoskich, holenderskich, greckich. Polacy, pozbawieni praw jeńców wojennych, zostali wywiezieni w głąb Niemiec na przymusowe roboty. W 1944 r. przebywało tu 101 powstańców warszawskich. Po zdobyciu Żagania w lutym 1945 r. Rosjanie przetrzymywali w obozie AK-owców.

Stalag VIII E Neuhammer (Świętoszów, gmina Osiecznica, pow. bolesławiecki)

Istniał od jesieni 1939 r. W grudniu 1939 r. przebywało w nim 14 tysięcy jeńców polskich. Potem przywożono tu jeńców francuskich, belgijskich, holenderskich i radzieckich. Wykorzystywani do pracy w rolnictwie, okolicznych fabrykach i na terenie obozu, jeńcy mieszkali w drewnianych barakach po 200-300 w jednym obiekcie. Jako obóz niemiecki przestał istnieć w lutym 1945 r. Zajęty przez Rosjan był jedną z najcięższych kaziń w Polsce pod nadzorem NKWD. Prawdopodobnie został zlikwidowany w 1952 r.

Stalag 308 Neuhammer (Świętoszów, gmina Osiecznica, powiat bolesławiecki)

Budowę rozpoczęto wiosną 1941 r., a pierwsi jeńcy radzieccy zostali przywiezieni w lipcu tego roku. Drewniane baraki zaczęto stawiać jesienią. Nie ma danych dokładnych, szacuje się, że do

grudnia 1941 r. w obozie przebywało 180 tysięcy żołnierzy radzieckich. Z powodu bardzo trudnych warunków mogło tu stracić życie nawet 50 tysięcy czerwonoarmistów. Pod koniec 1942 r. jeńców z tego obozu przeniesiono do stalagów VIII C Żaganiu i VIII E w Świątoszowie.

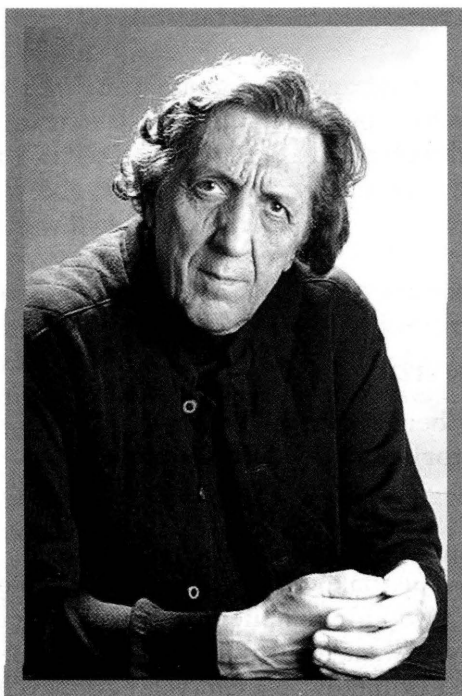
W Żaganiu istniały też obozy podlegające naczelnemu dowództwu Luftwaffe w Berlinie:

Stalag Luft III Sagan

Powstał wiosną 1942 r. Obóz był przeznaczony dla lotników i członków załóg latających. Jeńcy mieszkali w drewnianych barakach ustawionych na palach. W 1945 r. przebywało w nim ponad 10 tysięcy jeńców, wśród nich około stu pilotów polskich latających na maszynach RAF-u. Ewakuacja obozu rozpoczęła się 8 stycznia 1945 r.

Stalag Luft IV Sagan-Belaria

Istniał kilka tygodni 1944 r. przy zakładach zbrojeniowych jako filia stalagu Luft III Sagan. Z Żagania został przeniesiony do Gross Tychow (Tychowo) na Pomorzu Zachodnim.



*Eberhard Hilscher – fotografia Christopa Traberta –
reprodukcja z książki „Moi świebodzińscy krewni i polska dziewczyna”,
Świebodzin 2002*

Eberhard Hilscher

Urodził się 28 kwietnia 1927 w Swiebus (pol. Świebodzin), zmarł 7 grudnia 2005 r. w Berlinie. W latach 1944-1945 służył w Wehrmachcie. Do 1946 r. był jeńcem w obozie amerykańskim. Od 1948 do 1952 r. studiował germanistykę, pedagogikę i geografię na Uniwersytecie im. Humboldtów w Berlinie. Napisał powieści, m.in. *Die Weltzeituhr*, *Glücksspieler und Spielverderber*, *Der Morgenstern*. Był wybitnym znawcą twórczości Tomasza Manna, Gerharta Hauptmanna i Arnolda Zweiga. Należał do aktywnych uczestników dialogu niemiecko-polskiego. Swoją liczącą ok. 4 tys. tytułów księgozbiór przekazał świebodzińskiemu muzeum. W 2000 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Świebodzina. Został pochowany na świebodzińskim cmentarzu.

WYRWANI Z KORZENIAMI

**Rozmowa z Eberhardem Hilschrem,
pisarzem, historykiem i badaczem literatury**

– Czy lubił Pan Polaków?

– Tak samo jak Austriaków, Chińczyków, południowoamerykańskich Indian. Nigdy nie dzieliłem ludzi ze względu na narodowość, język, wyznawaną religię, płeć, wiek. Na starych i młodych. Na blondynów i brunetów. Na chorych i zdrowych. Starłem się nie wdawać w dyskusję z idiotami, co mi się nie zawsze udawało. Wbrew własnej woli miałem do czynienia z głupimi Niemcami, jak i niedorzecznymi Polakami.

– Wśród Polaków miał Pan tylko znajomych czy również kolegów i przyjaciół?

– Po powrocie z niewoli amerykańskiej nie znałem żadnego Polaka i gdzieś tak do pięćdziesiątego roku życia nie dokładałem starań, aby zawrzeć znajomość z kimś, kto myśli i mówi po polsku. Owszem, bywałem w Polsce jako uczestnik spotkań literackich, konferencji uniwersyteckich, wygłaszałem referaty, wdawałem się w dyskusje naukowe. Z biegiem lat, im więcej miałem siwych włosów na głowie, im częściej przekraczałem granicę niemiecko-polską, tym głośniejsze i wyraźniejsze odzywała się we mnie potrzeba rozmawiania z Polakami, tak jak rozmawiałem z Niemcami.

– W listopadzie 1971 roku rządy PRL i NRD podpisały umowę o swobodnym przekraczaniu granicy, co oznaczało zniesienie

wiz i paszportów. Wystarczał dowód osobisty ze stempelkiem odpowiedniej treści.

– Młodzi, urodzeni po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku, pewnie tego nie rozumieją. Przecież dziś każdy obywatel Republiki Federalnej jak i każdy Polak może jechać do dowolnego kraju Unii Europejskiej. Wtedy podróż zagraniczna bez wizy i paszportu była eksperymentem w bloku wschodnim.

– Wtedy też wielu wschodnich Niemców starszego pokolenia odczuło potrzebę odwiedzenia miejsc, w których się urodzili, chodzili do szkoły czy kościoła. Jeśli nie oni sami to ich dzieci i wnukowie chcieli zobaczyć strony ojczyste. Czy Pan dopiero wtedy wybrał się do Świebodzina?

– Dom, w którym się urodziłem, nadal stoi przy ulicy Łużyckiej, tyle że teraz bliżej centrum miasta. Gdy po latach nieobecności w Świebodzinie z duszą na ramieniu wszedłem do mojego dawnego domu, stwierdziłem, że jest troskliwie utrzymany, a mieszkający w nim nieznani mi ludzie niezwykle serdeczni. W mojej pamięci dom stał naprzeciw łąnów zbóż przy cichej, oddalonej od ruchu i gwaru ulicy. Rozmawiając z jego nowymi gospodarzami w pamięci wróciły obrazy matki grającej Chopina na pianinie, do wycieczek rowerowych nad pobliskie jeziora i do lasów. Przypomniałem sobie, jak dzień w dzień chodziłem Breitstrasse (ul. Józefa Piłsudskiego) i Glogauer Strasse (ul. Głogowska) do gimnazjum w parku Miejskim, gdzie nie byłem najlepszym uczniem.

– Miał Pan żal do polskiej rodziny, że mieszka w domu, którego nie zbudowała?

– Nie miałem ani żalu, ani pretensji. Jako człowiek bywający na konferencjach z udziałem historyków, jako humanista i badacz przeszłości, zdawałem sobie sprawę z tego, że polska rodzina zajęła mój dom nie z własnej woli, nie z chęci poprawy swego życia. W 1945 roku, kiedy zakończyła się noc wojny, ta rodzina mogła pozostać w miasteczku na Wołyniu, ale wtedy musiałyby wyprzeć się swego pochodzenia i przyjąć obywatelstwo radzieckie. Mogła opuścić swój dom i, jak to nazywała polska propaganda, zamieszkać na ziemiach odzyskanych. To była decyzja wymuszona przez aliantów. Wyrok wydany nie przez sąd, lecz przez polityków Wielkiej Trójki w Teheranie

i Jalcie. Kara za grzechy, których nie dopuściła się ani ta polska rodzina, która zamieszkała w moim domu, ani mój ojciec, ani moja matka, ani ja. To był rezultat odpowiedzialności zbiorowej, jaką zwycięzcy obarczyli wszystkich Niemców. Jako młody człowiek nie chciałem się z tym pogodzić, bo nie rozumiałem, dlaczego ta kara spotkała moje pokolenie. W chwili wybuchu wojny miałem dwanaście lat. Na nikogo nie podniosłem ręki, do nikogo nie celowałem z karabinu, który w 1944 roku Trzecia Rzesza wcisnęła mi do rąk i kazała dźwigać jak Jezusowi krzyż. Ja nikogo nie zabiłem.

– Skoro Stalin jest uosobieniem zła, to może wymusił na przywódcach Ameryki i Anglii przesunięcie granic i wysiedlenie Niemców z części terytoriów przez nich zajmowanych?

– Nie podoba mi się, że za wszystko co złe, historia obarcza Stalina. Za pozbawienie Niemców stron rodzinnych jest odpowiedzialna Wielka Trójka.

– Gdyby mimo przegranej wojny Niemcy pozostali w swoich domach, a Prusy Wschodnie, Pomorze, Śląsk, Ziemię Lubuską zajęli zwycięzcy, niewiele by się zmieniło. Byłoby jak z Wolnym Miastem Gdańskiem, gdzie na ulicach częściej słyszało się niemiecką mowę. Gdzie dominowały napisy niemieckie. Gdzie Niemcy prowokowali Polaków. Alianci obawiali się, że z biegiem lat Niemcy powrócą do idei, które wywołały pierwszą i drugą wojnę światową.

– To jest drażliwy problem, inaczej widziany przez Niemca i inaczej przez Polaka. Jako humanista, jako pisarz, jako człowiek starszej daty rozumiem obawy pana i polityków. Jako Niemiec buntuję się przeciw wypędzeniom milionów ludzi z ich domów.

– Wypędzeniom?

– Niemcy uważają, że po 1945 roku zostali wypędzeni z ziem wschodnich. Polacy nazwali to wysiedleniem albo przesiedleniem. W literaturze natknąłem się też na określenie: transfer ludności. Tak o tamtym wydarzeniu mówią ci, którzy nie mają pojęcia, co to znaczy stracić rodzinny dom. Przypuszczam jednak, że z upływem lat właśnie to ostatnie określenie będzie najczęściej stosowane. Coś podobnego występuje w odniesieniu do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Ponieważ Auschwitz i Birkenau, Stuthoff, Bełżec, Majdanek, Treblinka leżały na terenie okupowanej Polski, wielu młodych dziennikarzy i historyków uważa je za polskie obozy.

– Nawet nie pytam, czy zgodzi się Pan ze mną, że już od końca X stulecia Niemcy parli na wschód. Pierwszymi podbitymi byli Słowianie połabscy. W literaturze występuje określenie *Drang nach Osten*.

– Jeśli ma pan na myśli, na przykład Ziemię Lubuską, to została ona przejęta legalnie w połowie XIII wieku przez margrabiów brandenburskich jako zastaw za pożyczkę udzieloną księciu Bolesławowi Rogatce.

– Wielkopolska przeszła pod administrację niemiecką w wyniku rozbiorów u schyłku XVIII stulecia. Śląsk stał się pruski w 1741 roku po wojnie z Austrią. Prusy były ciągiem dalszym państwa Zakonu Krzyżackiego. W środkowej Europie istniały osady niemieckie.

– Osady zakładali nie tylko Niemcy, lecz również Holendrzy, Czesi, Włosi, Tatarzy, Ormianie, a przede wszystkim Żydzi.

– Do parcia Niemców na wschód kontynentu trzeba dodać nacjonalistyczną ideę Wielkich Niemiec, jaka pojawiła się pod koniec XIX wieku. Kanclerz Bernhard von Bülow mówił o usunięciu Polaków z terenów, gdzie osadnicy niemieccy stanowili mniejszość.

– Polacy mieli prawo obawiać się Niemców, tym bardziej że od wieków stosunki między obu nacjami nie były najlepsze. To znaczy były one poprawne między zwyczajnymi ludźmi, pogarszały się, gdy do głosu dochodzili rządzący, politycy i wojskowi. Nie zgadzam się z tymi, którzy powtarzają, że jak świat światem nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem. To wyłącznie polski punkt widzenia, stereotyp.

– Relacje polsko-niemieckie w ogóle, wyłączając koniec XIX i XX stulecie, były poprawne. Nieprzyjazne były stosunki polsko-pruskie już od 1226 roku, kiedy książę Konrad Mazowiecki podarował krzyżakom ziemię chełmińską, a ci przy

pomocy miecza i krzyża zaczęli budować państwo, które potem stało się Prusami, a jeszcze później Brandenburgią-Prusami i znowu Prusami.

– Prusy, pod berłem których pod koniec XIX wieku Niemcy się zjednoczyły, też nie były lubiane przez Bawarczyków, Frankonów, Szwabów, Sasów, Nadreńczyków, Badeńczyków, Westfalczyków. Owszem Prusaków ceniono za umiejętność gospodarowania, za pryncypialność, ale wyśmiewano wręcz karykaturalne posłuszeństwo, biurokrację, brak fantazji i polotu.

– W wydany po polsku opowiadaniu *Moi świebodzińscy krewni i polska dziewczyna* napisał Pan, „że »Stary Fryc« swoje wojny śląskie...

– ...»usprawiedliwiał« wyłącznie zawiłymi pruskimi »roszczeniami spadkowymi« do »naszego drogiego ojczystego powiatu« i zamiennych legnickich dóbr książęcych. »Takie wyniki badań potwierdzają raz jeszcze wyjątkowość naszej elizejskiej społeczności nad rzeczką Rohrbach«. To struga, nad którą leżał Swiebus. Po polsku bywa nazywana Pławnicą.

– A jak zachowywali się pańscy sąsiedzi przed 1939 rokiem?

– Bohater mojego opowiadania, które pan przed chwilą przywołał tak zapamiętał tamte lata. „Najpierw niewiele z tego zauważaliśmy w Świebodziźnie. Oczywiście czasami ciągnęły ulicami ryczące na całe gardło oddziały brunatnych koszul. Innym razem jakiś nazistowski wierszokleta (oklaskiwany przez nauczycieli gimnazjum, lecz przez mojego ojca określany jako »miernota«) recytował w auli szkolnej swoje grafomańskie strofy o Marchii Granicznej, a nasz nauczyciel muzyki dyrygował pieśniami *Die Fahne hoch* i *Zum Kampf bereit, seid jederzeit für Deutschlands Ehr und Herrlichkeit*. Jednak dopiero w roku 1938 żydowski współuczeń musiał pójść na przymusowe wakacje (godne pozazdroszczenia) i na Kreuzstrasse pewnemu starozakonnemu sprzedawcy zabawek zdemolowano sklep”.

– Czy niemiecki generalny plan wschodni oznaczał to samo co Lebensraum, czyli domaganie się przestrzeni życiowej?

– Opracowany przez nazistów *Generalplan Ost* miał doprowadzić do wyniszczenia ludności słowiańskiej i żydowskiej i zajęcia

zamieszkałego przez te społeczności terytoriów. Najpierw chodziło o ziemię na wschód od granicy niemiecko-polskiej po 1939 roku. W drugim etapie miał on doprowadzić do panowania Niemiec od półwyspu Iberyjskiego po Ural. Jeśli do tego dodać idiotyczne dążenie nazistów do wyodrębnienia Herrenvolk, czyli rasy panów, za jakich uważali się twórcy tego planu, to wstyd, że jestem Niemcem.

– Ten plan owszem narodził się w głowach hitlerowców, ale powstał już przed pierwszą wojną światową, kiedy imperium niemieckie planowało zająć całą środkową Europę.

– Tak było.

– I dlatego pod koniec drugiej wojny światowej Stalin proponował, a alianci zaakceptowali, że najlepszym wyjściem dla Europy będzie wysiedlenie Niemców z terytoriów zajętych od średniowiecza. Uczynili to dlatego, że obawiali się, iż Niemcy pozostawieni w Prusach Wschodnich, na Śląsku, na Ziemi Lubuskiej, na Pomorzu, w Gdańsku będą szkodzili państwom zwycięskim, a do nich zaliczali też Polskę.

– Ma pan na myśli Niemców jako rodzaj piątej kolumny?

– Tak było po 1939 roku w Bydgoszczy, na Śląsku, w Łodzi.

– Nie wszyscy Niemcy się tak zachowywali.

– Dajmy spokój zwycięstwom i klęskom armii niemieckiej na wschodzie i w Polsce czy, jak chcieli Pana rodacy, w Generalnym Gubernatorstwie. Przeskoczmy na Środkowe Nadodrze w styczniu 1945 roku, kiedy wojska niemieckie uciekały przed nacierającą Armią Czerwoną i nielicznymi oddziałami polskimi.

– Nie przeżyłem wypędzenia, przepraszam, niech będzie że wysiedlenia, z Swiebus. W 1944 roku jako siedemnastolatka wcielono mnie do Wehrmachtu, służyłem na zachodzie Europy. Koniec wojny i pierwsze miesiące pokoju spędziłem za drutami amerykańskiego obozu dla jeńców. Z opowieści rodzinnych pamiętam, że sąsiedzi, szczególnie młode Niemki, bardzo bały się Rosjan.

– Po 1939 roku Polki też się bały, tyle że Niemców.

– Niemcy nie gwałcili, a Iwan... „Wieczorem siedzieliśmy wszyscy razem w pokoju, gdy Rosjanin Paul rozkazał mi iść razem z nim do innego pokoju. Zrozpaczona spojrzałam na ojca. Ale on nic nie mógł zrobić. To był pierwszy raz, gdy zobaczyłam mojego ojca płaczącego, ponieważ do tej pory udawało mu się mnie ochronić. Ale nadeszło to, co nadejść musiało, wspomina Ruth Henke, w 1945 roku dwudziestojednoletnia córka młynarza z Dühringsdorf (Bogdaniec koło Gorzowa). Potem czułam się chora i poniżona.”

– **Z relacji, do których dotarłem wynika, że najwięcej krzywdy wyrządzili czerwonoarmiści bezbronnej ludności cywilnej zaraz po zajęciu miasteczek i wiosek.**

– Ostatni niemiecki proboszcz parafii Świętej Jadwigi w Grünberg (Zielona Góra) ksiądz Georg Gottwald napisał, że Rosjanie weszli do miasta 14 lutego 1945 roku. „Miasto rozbrzmiewało dniami i nocami krzykami bóleści cierpiących, gwałconych mieszkańców, kobiet i dziewcząt, których nie chroniło żadne prawo. Do mojego kościoła zbiegała się duża ilość kobiet i dziewcząt, które były gwałcone po 20-30 razy pod rząd. Mówiono mi o morderstwach na tle seksualnym, rozpruwaniu brzucha, wycinaniu intymnych części ciała, obcinaniu piersi. Trupów było mnóstwo, ciągle były pochówki. Jak straszne były to okrucieństwa, może uświadomić fakt, że z około 4 tysięcy pozostałych w Zielonej Górze mieszkańców w pierwszych czternastu dniach – 500 osób popełniło samobójstwo (były to całe rodziny, kobiety, mężczyźni i dzieci), między innymi lekarze, wysoko postawieni urzędnicy sądowi, fabrykanci i zamożni mieszkańcy.”

– Rosjanie czuli się panami życia i śmierci bezbronnych ludzi. Chociaż, może się mylę, przegrana wojna niewiele zmieniła w umysłach Niemców. Z badań przeprowadzonych zaraz po zakończeniu wojny w Bawarii, Badenii-Wirtembergii, Hesji wynika, że co najmniej połowa Niemców uważała nazizm za „dobrą ideę, lecz źle realizowaną”.

– Najpierw naziści wydali rozkaz, aby ludność cywilna, w większości starcy i kobiety z dziećmi, wyjechała za Odrę. Potem kazali im pozostać w swoich domach, a kto wbrew temu poleceniu chciał wyjechać, traktowano go jak dezertera. Tuż przed wkroczeniem Rosjan na tereny zajmowane przez Niemców, władze nakazały ewakuację

ludności cywilnej. To okazało się trudne do wykonania, bo drogi były zapchane cofającym się wojskiem, ludzie więc szli poboczami, między polami, ciągnąc wózki, taszcząc swój niewielki dobytek na plecach, bo ileż można zabrać, jak się nie ma koni z wozem. Front przesuwał się tak szybko na zachód, że część ludności nie zdążyła opuścić swoich domów.

– Kto nie zdążył uciec, nadal mieszkał w swoim domu. Większość Niemców nawet nie przypuszczała, że gdy nastanie pokój, zostaną wysiedleni.

– Przywołana przeze mnie Ruth Henke pod datą 21 czerwca 1945 roku zanotowała, że jakiś nieznajomy przyszedł na podwórze i powiedział: „Za dwie godziny musicie opuścić posiadłość”. Jest wiele wspomnień z tamtych lat, Henke wydaje mi się najrzetelniejsza, gdy pisze: „Cała droga była wielką niewiadomą. Popędzono nas. Cóż w takim pośpiechu można było wziąć ze sobą? Czy kiedykolwiek tu wrócimy? (...) Nasza droga była trudna, szliśmy przez Dąbroszyn, całkowicie zniszczony Kostrzyn, a później przez Müchenburg. Nocowaliśmy na łąkach, w stodołach i oborach. Po drugiej stronie Odry odłączali się już ludzie od kolumny, ale cały czas i tak było nas bardzo dużo. Podczas całej tej drogi żaden człowiek nie wpuścił nas do domu. Mimo to udało się nie przymierać głodem, jedliśmy to, co znaleźliśmy na polach. Nocowaliśmy raz w Seelow i to przed kościołem. Tam też mogliśmy coś ugotować. Ludzie stamtąd dali nam dzięki Bogu kilka marchewek i kartofli z ogrodu.”

– Pod koniec maja 1945 roku radzieckie komendantury wojskowe przekazały władzę polskiej administracji i wtedy dotarła instrukcja w sprawie wysiedlenia Niemców. Gorliwi zarządcy na własną rękę przeprowadzili tzw. dzikie wysiedlenie. W ramach tej samej akcji mogła zostać wysiedlona rodzina Ruth Henke. Profesor Bernardetta Nitschke z Uniwersytetu Zielonogórskiego podaje, że 29 czerwca 1945 roku w ciągu godziny zestawiono 480-osobową kolumnę babimojskich Niemców. Dano im tylko kilka minut na spakowanie dobytku.

– To była akcja przeprowadzona na polecenie kogoś z góry. Gorliwi zarządcy miasteczek i wiosek, jak ich pan określa, sami by tego

nie wymyślili. Oni musieli przygotować mieszkania dla tych, którzy mieli przyjechać z Kresów Wschodnich w ramach tzw. repatriacji. Pan musi wiedzieć, że na mocy porozumień polsko-radzieckich zaraz po wojnie na ziemie zwane odzyskanymi przyjechało ponad półtora miliona osób. To ci, których wzorem są filmowi antagoniści Kargul i Pawlak. Żołnierze zwolnieni z wojska polskiego dostawali to, co im obiecano podczas wcielania w Związku Radzieckim, czyli domy i ziemię. W 1945 roku jeszcze nie było powrotów z Zachodu, ale spodziewano się, że wróci część cywilów wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec. Liczono na powrót żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Prawdę mówiąc to do jesieni 1946 roku wysiedlano Niemców bez podstaw prawnych. Dopiero wtedy władze polskie określiły, kogo należy wysiedlić.

– **Szczyt wysiedleń przypadł na okres po zawarciu układu poczdamskiego, czyli od sierpnia 1945 roku.**

– Wtedy wysiedlenia odbywały się w oparciu o dekret Krajowej Rady Narodowej. Była w nim mowa, że wysiedleniu podlegają te osoby, które ukończyły osiemnaście lat i deklarują niemiecką orientację narodową. Kto chciał pozostać na ziemiach zwanych odzyskanymi, musiał dowieść swojej polskości. Czy pan wie, że nakazano nawet wysiedlenie mieszkańców Dąbrówki Wielkopolskiej, wsi uważanej za bastion polskiej kultury, języka, tradycji? Dopiero wizyta urzędników z Poznania do wsi i zabiegi Lucjana Brudły z Starostwa Pogranicza zapobiegł tej pochopnej decyzji. Władze polskie podzieliły Niemców na trzy grupy: starych i niezdolnych do pracy, zdolnych do pracy oraz fachowców potrzebnych do pracy w przemyśle. Ci ostatni pracowali po stronie polskiej jeszcze w 1947 roku, a nawet dwa lata dłużej, kiedy zakończono wysiedlanie moich rodaków.

– **Czy Pan wie, ilu Niemców Polacy wysiedlili z ziemi zachodnich i północnych?**

– W tej sprawie wolę się nie wypowiadać. Niemcy podają ogromne liczby, Polacyprzeciwnie. W 1939 roku przeprowadzono spis powszechny w Trzeciej Rzeszy, na jego podstawie można powiedzieć, ile osób mieszkało w miastach i wioskach. Ale przecież w trakcie działań wojennych były miliony zabitych żołnierzy, umierali cywile, odbywał się naturalny ruch ludności.

– Wróćmy do pałacu Cecilienhof w Poczdamie. W 1945 roku nie wytyczono granicy niemiecko-polskiej na zawsze. Miało to się stać podczas kolejnej konferencji, do której nigdy nie doszło. Chociaż za taką można uznać tę w 1990 roku, na której zatwierdzono *Traktat dwa plus cztery*.

– W wyniku podziału Niemiec na strefy okupacyjne, wschodnia część przypadła Związkowi Radzieckiemu. W Poczdamie ustalono tymczasową granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nysie Łużyckiej, potwierdzoną w 1950 roku w układzie zgorzeleckim między Polską a dopiero co powstałą Niemiecką Republiką Demokratyczną. Granica między całymi Niemcami i Rzeczpospolitą Polską została określona w 1990 roku w *Traktacie dwa plus cztery*, umożliwiającym zjednoczenie Niemiec, i w podpisanym osobno traktacie polsko-niemieckim.

– Może inaczej by to wszystko wyglądało, gdyby nie wybuchła zimna wojna.

– Zaraz po układzie poczdamskim w propagandzie niemieckiej do głosu doszły ziomkostwa, które w 1950 roku proklamowały *Kartę wypędzonych ze stron ojczystych*. One robiły wszystko, aby przekonać świat, jak Niemcy zostali skrzywdzeni. Z identyczną siłą sprawczą propaganda polska wyrывała z korzeniami pozostałości niemieckiej obecności na Pomorzu, na Ziemi Lubuskiej i Śląsku. Po stronie niemieckiej dominowało twierdzenie o tymczasowości granicy, po stronie polskiej wygrywała teza o powrocie na prastare ziemie piastowskie.

– W 1948 roku odbyła się Wystawa Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W Zielonej Górze, Szczecinie, Wrocławiu, Opolu, Olsztynie, Gdańsku spotykali się pisarze ziem zachodnich i północnych na corocznych zjazdach. Do 1971 roku istniało Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich. Hasło *Byliśmy, jesteśmy, będziemy* zdobiło liczne pomniki powrotu ziem odzyskanych do macierzy.

– W liście z 3 sierpnia 1946 r. ksiądz Gottwald pisał: „Powrót na Śląsk, po moich tam doświadczeniach, uważam za całkowicie wykluczony. Gdy opuszczałem Śląsk to Polacy zaczęli na cmentarzach

usuwać wszystkie nagrobki. Żadne niemieckie nazwisko nie miało więcej głosić, że tu kiedyś były Niemcy.”

– Mimo to postanowił Pan wrócić do Świebodzina. Miasto przyjęło Pana w poczet honorowych obywateli.

– Kiedy w 2000 roku władze Świebodzina nadały mi ten tytuł, kiedy odebrałem dyplom, powiedziałem, że może kiedyś powrócę na zawsze do domu, do kraju Mickiewicza, Wita Stwosza i Chopina. A gdy umrę, proszę, aby mnie pochowano w Świebodzinie.

– Dziękuję za rozmowę.

Mieszkańcy miast Środkowego Nadodrza

Liczby dotyczą ostatniego roku przed drugą wojną światową. Pomi-
nałem Słubice, które do 1945 r. były prawobrzeżną częścią Frank-
furtu nad Odrą oraz Gubin, który z lewobrzeżną częścią stanowił
jedno miasto.

Babimost (Bomst, 1938 r.) – 1.807

Bytom Odrzański (Beuthen an der Oder, 1939 r.) – 3.176

Cybinka (Ziebingen, 1939 r.) – 3.951

Czerwieńsk (Rothenburg an der Oder, 1937 r.) – 2.200

Dobiegniew (Woldenberg, 1939 r.) – 5.674

Drezdenko (Driesen, 1939r.) – 5.674

Gorzów Wlkp. (Landsberg an der Warthe, 1939 r.) – 48.073

Gozdnica (Freiwalddau, 1939 r.) – 2.939

Łłowa (Halbau, 1939 r.) – 3.481

Jasień (Gassen, 1939 r.) – 3.200

Kargowa (Unruhstadt, 1934 r.) – 1.807

Kostrzyn nad Odrą (Küstrin an der Warthe, 1939 r.) – 24.000

Kożuchów (Freystadt, 1939 r.) – ok. 6.000

Krosno Odrzańskie (Crossen an der Oder, 1939 r.) – 10.800

Lubniewice (Königswalde, 1939 r.) – 1.431

Lubsko (Sommerfeld, 1939 r.) – 10.578

Łęknica (Lugknitz, 1939 r.) – 1.857

Małomice (Mallnitz, 1939 r.) – 3.237

Międzyrzecz (Meseritz, 1939 r.) – 10.848

Nowa Sól (Neusalz an der Oder, 1930 r.) – 16.500

Nowe Miasteczko (Neustädtel, 1945 r.) – 1.700

Ośno Lubuskie (Drossen, 1939 r.) – 5.515

Rzepin (Reppen, 1939 r.) – 6.442

Skwierzyna (Schwerin an der Warthe, 1939 r.) – 7.072

Sława (Schlawe, 1939 r.) – 1.803

Sulechów (Züllichau, 1939 r.) – 9.600

Sulęcín (Zielenzig, 1939 r.) – 5.867

Strzelce Krajeńskie (Friedeberg, 1938 r.) – 6.100

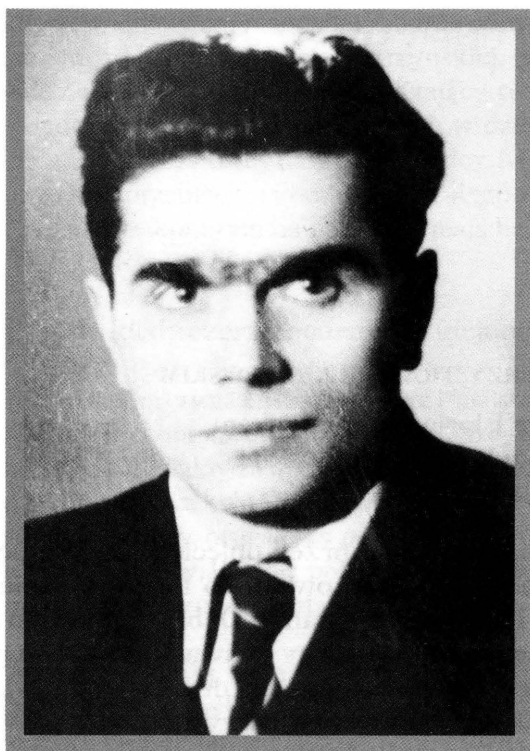
Szlichtyngowa (Schlichtingsheim, 1939 r.) – 1.038

Szprotawa (Sprottau, 1939 r.) – 12.578

Świebodzin (Schwiebus, 1939 r.) – 10.400

Trzciel (Tirschtiiegel, 1939 r.) – 2.220

Witnica (Vietz, 1939 r.) – 5.637
Wschowa (Fraustadt, 1939 r.) – 7.700
Zbąszynck (Neu Bentschen, 1938 r.) – 2.200
Zielona Góra (Grünberg, 1939 r.) – 26.076
Żagań (Sagan, 1939 r.) – 22.343
Żary (Sorau, 1939 r.) – 25.902



*Florian Kroenke – zdjęcie ze zbiorów
Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie*

Florian Kroenke

Urodził się 23 kwietnia 1909 w Tarnowie Pałuckim koło Wągrowca, zmarł 18 lipca 2004 r. w Warszawie. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu pracował w starostwie w Wągrowcu i w wielkopolskich urzędach skarbowych. W czasie drugiej wojny światowej był referentem w niemieckim biurze handlowym. W 1945 r. został pełnomocnikiem rządu i starostą w Gorzowie. Od 1946 r. był wicewojewodą poznańskim i kierownikiem Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie. W 1949 r. został odwołany z tego urzędu. Po krótkim pobycie w Wągrowcu zamieszkał w Warszawie, gdzie pracował w biurach projektów. Został Honorowym Obywatelom Gorzowa.

GNIAZDO PRZY TRAKCIE KRÓLEWSKIM

**Rozmowa z Florianem Kroenkiem,
pierwszym włodarzem lubuskim**

– Panie Wojewodo, czy przed objęciem funkcji pełnomocnika rządu na obwód gorzowski, co formalnie miało miejsce 8 kwietnia 1945 roku, był Pan w Dąbroszynie albo znał dzieje tego miejsca na trakcie sławy i chwały królestwa pruskiego?

– Całe moje życie do zakończenia drugiej wojny światowej było związane z ziemią wielkopolską. Po wyzwoleniu Wągrowca w lutym 1945 roku zostałem burmistrzem tego miasta. Miesiąc później na czele grupy wągrowieckiej przyjechałem do Gorzowa, wtedy mającego niemiecką nazwę: Landsberg. Nigdy wcześniej nie byłem w tych stronach i niewiele wiedziałem o przeszłości takich miejsc historycznych jak Dąbroszyn, Kostrzyn, Sarbinowo.

– Kiedy pierwszy raz znalazł się Pan w Dąbroszynie?

– Niedługo po objęciu funkcji pełnomocnika rządu na obwód gorzowski. Na pewno nie było to w kwietniu 1945 roku. Wtedy w dęboszyńskim pałacu, jak brzmiała pierwsza nazwa Dąbroszyna, był szpital polowy i sztab 1. Frontu Białoruskiego, dowodzonego przez marszałka Georgija Żukowa.

– Kronikarze podają, że w Dąbroszynie odbyła się narada, podczas której najwyżsi rangą dowódcy radzieccy ustalili taktykę operacji berlińskiej, która doprowadziła do zakończenia wojny.

– Narada pod przewodnictwem marszałka Żukowa odbyła się tydzień po zdecydowanym zdobyciu twierdzy kostrzyńskiej, czyli 5 kwietnia 1945 roku. Zachował się film potwierdzający to historyczne wydarzenie, będące jednym z najważniejszych w dziejach drugiej wojny światowej. Podczas owej narady dowódcy frontów Armii Czerwonej uzgodnili przebieg forsowania Odry. Rozpoczęło się ono dziesięć dni później, zakończyło na początku maja bezwarunkową kapitulacją Trzeciej Rzeszy Niemieckiej.

– **Pamięta Pan, do kiedy czerwonoarmiści stacjonowali w Dąbroszynie?**

– Na przełomie maja i czerwca 1945 roku pałac i majątek dęboszyński przejął 17. Pułk Piechoty 5. Dywizji II Armii Wojska Polskiego. Był to oddział odpowiedzialny za uporządkowanie granicy na Odrze i jej ochronę od Orzechowa koło Cedyni do Słubic. Gdy jedna część żołnierzy pilnowała granicy, druga przy pomocy miejscowych Niemców zbierała zboże i uprawiała pola pozostawione przez ostatniego właściciela majątków w Kamieniu Małym i Sosnowce.

– **Kamień Mały jest dużą wsią między Witnicą i Dąbroszynem. A gdzie leży Sosnowka?**

– Zanim niemiecki Tamsel stał się Dąbroszynem, 7 kwietnia 1945 roku zebrała się w Poznaniu Komisja dla spraw Przywrócenia Nazw Słowiańskich na Przyodrze, przewodniczył jej ksiądz profesor Stanisław Kozierowski, wybitny językoznawca i historyk. Komisja uznała, że słowiańską nazwę Tamprosowe należy przetłumaczyć jako Dęboszów. Żołnierze stacjonujący w pałacu nazwali wieś Sosnowką pewnie tylko dlatego, że od strony Sarbinowa stała ściana lasów sosnowych. Gdyby wyszli za tory kolejowe, gdzie rozlewisko Warty z kępami olch i wierzb, pewnie by nazwali wieś Olchówką czy Wierzbówką. Jesienią tego samego roku komisja nazewnicza skorygowała swój wniosek, proponując ministrowi administracji publicznej, aby wieś nazywała się Dąbroszynem.

– **Często zaglądał Pan do bazy polskich żołnierzy?**

– Współpracowałem z nimi nie tylko wtedy, kiedy stacjonowali w Dąbroszynie, lecz i potem, kiedy pułk zajął koszarę przy ulicy Wojska Polskiego w Międzyrzeczu.

– Czy wtedy, kiedy Pan zaglądał do Dąbroszyna, w pałacowych komnatach jeszcze były meble pozostawione przez ostatnich niemieckich właścicieli rezydencji?

– Czy meble, które widziałem, należały do niemieckich użytkowników pałacu, tego nie wiem. Ostatni gospodarz Dąbroszyna Stanisław von Schwerin i jego żona Maria Helena z domu von Klitzing opuścili Dąbroszyn zanim szpice Armii Czerwonej dotarły nad Odrę. Jaki majątek Schwerinowie ze sobą zabrali, nigdy się nie dowiedziałem. Nie sądzę jednak, aby w tak dramatycznym momencie kazali służbie wynosić meble z pałacu i ładować je na samochody.

– **A czy na pałacowych ścianach wisiały obrazy z bogatej kolekcji Schwerinów i wcześniejszych właścicieli Dąbroszyna?**

– W tej sprawie zwróciłem się oficjalnie do dowództwa pułku stacjonującego w Dąbroszynie, aby znajdujące się w pałacu dzieła sztuki zostały przekazane do tworzonego muzeum w Gorzowie. Wojskowi przysłali mi pisemną odpowiedź, że w chwili przejmowania budynku od Rosjan wewnątrz nie było żadnych obrazów ani rzeźb. Potem doszło do mnie, że w domach niektórych mieszkańców wsi są wykradzione z pałacu zabytkowe meble, obrazy, książki. We wrześniu 1945 roku Walentyna Pokornowa zaproponowała koncepcję przyszłego Muzeum Ziemi Lubuskiej w Gorzowie. Dlatego niedługo po tym poprosiłem zarząd gminy w Witnicy, na terenie której leżał Dąbroszyn, o odebranie mieszkańcom owych zabytków i dostarczenie ich do Gorzowa. Sukces okazał się skromniutki, gdyż do muzeum trafiły tylko portrety Joachima i Adama Fryderyka von Wreechów oraz odlane w brązie popiersie Henryka Pruskiego.

– **Po demobilizacji część żołnierzy 17. Pułku osiadła w Witnicy i okolicznych wsiach. Ich sąsiedzi twierdzili, że opuszczając Dąbroszyn zabrali ze sobą cenne dzieła sztuki.**

– Taka wiadomość dotarła również do starostwa, dlatego domagałem się od zarządu witnickiej gminy odszukania tych dzieł sztuki. Jak już powiedziałem, polecenie moje przyniosło skromniutki efekt. Po wielu latach gorzowskie muzeum odkupiło od mieszkańca Dąbroszyna dwudrzwiową szafę z 1698 roku.

– A udało się Panu dowiedzieć, jakie dzieła sztuki zaginęły z dąbroszyńskiej rezydencji?

– Pomocna okazała się praca brandenburskiego pisarza, autora historycznych reportaży i dziennikarza Theodora Fontanego, który w drugiej połowie XIX wieku był kilka razy w Kostrzynie i Dąbroszynie w związku z książką *Po tamtej stronie Odry*. Najsławniejszy niemiecki krytyk literacki Marcel Reich Ranicki miał odwagę tak napisać: „Bez Fantanego nie byłoby braci Mannów”. Fontane porównał Dąbroszyn do berlińskiego Charlottenburga. Wedle niego, było to jedno z najważniejszych miejsc w królestwie pruskim. Z jednej strony pałacu biegł trakt bity z Berlina do Królewca, o którym Otto von Bismarck powiedział, że stanowi niemiecką arterię życia. Z drugiej strony ciągnęła się droga żelazna, biorąca swój początek w Kostrzynie. Dzieje Dąbroszyna zaczęły się na początku XII wieku, kiedy wieś należała do templariuszy. Potem przeszła we władanie słońskich joannitów. W 1653 roku dobra dąbroszyńskie kupił Jan Adam von Schöning. Od tego czasu aż do końca drugiej wojny było tu wyjątkowo bogate i pielęgnowane gniazdo rodowe jego dziedziców, związanych z dworem panującym Hohenzollernów.

– Wieś leży przy rozlewisku Warty, na skraju lasów, gdzie gleby ubogie. W jaki sposób Jan Adam von Schöning doszedł do tak znacznego majątku?

– Nie ten Jan Adam von Schöning, który kupił Dąbroszyn, lecz jego syn, również Jan Adam rozstawił to miejsce. On to po ukończeniu studiów prawniczych w Wittenberdze, Strasburgu i Paryżu, doszedł do najwyższego stanowiska wojskowego w Prusach. Zanim został marszałkiem polnym, jako generał major miał swój znaczący udział w przepędzeniu Szwedów z Brandenburgii i z Prus Wschodnich. Drugi jego chlubny czyn wiąże się z pokonaniem wojsk osmańskich pod wodzą Kara Mustafy pod węgierską Budą w 1686 roku, czyli trzy lata po wiktorii wiedeńskiej, podczas której bohaterem został polski król Jan III Sobieski. Fontane pisze, że „Schöning, bogato nagrodzony przez swego władcę, również od cesarza Leopolda otrzymał różnorodne dowody jego łaski, między innymi wysadzaną diamentami szpadę wielkiej wartości”.

– **A nie pisze Fontane, że z wojny z Turkami Schöning przywiózł ogromne łupy?**

– „Łupy, jakie zdobyto w Budzie, były przeogromne, twierdzi Fontane. Znaczne sumy dukatów i cekinów, jak również kamienie szlachetne i wschodnie perły wpadły w ręce zwycięzców”. Za część zdobytego w ten sposób majątku Schöning przebudował rodowe gniazdo w Dąbroszynie. Fontane daje do zrozumienia, że do pracy przy urządzaniu parku wykorzystał jeńców tureckich. Coś w tym musiało być, tym bardziej że przywiózł do Dąbroszyna kilka tureckich dziewczyn, wśród nich urodziwą Fatimę. Gdy wyjechała do Warszawy, została kochanką i matką dwojga dzieci króla Augusta II Mocnego.

– **Czy po powrocie z wojny z Turkami Schöning osiadł w Dąbroszynie i prowadził spokojne, wiejskie życie?**

– Mimo że tytułujący się wielkim elektorem władca Prus Fryderyk Wilhelm nadał Schöningowi stopień marszałka polnego, zaciągnął się do armii saskiej, co dlań raczej źle się skończyło. Od 1689 roku aż do śmierci mieszkał w Dąbroszynie, czyniąc swoją posiadłość równą rezydencjom najznamienitszych rodzin pruskich. Po śmierci feldmarszałka gniazdo rodowe przejął jego syn Jan. Ten nie doczekawszy się męskiego potomka, wydał swoją zaledwie szesnastoletnią córkę Luizę Eleonorę za Adama Fryderyka von Wreecha. Fontanne powtarza za ówczesnymi dziejopisarzami, że pani von Wreech uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet w Prusach. Ale nie dzięki urodzie zapisała się w pruskiej historii.

– **A...?**

– Z powodu księcia Fryderyka, następcy tronu, którego po nieudanej próbie ucieczki do Belgii jego ojciec Fryderyk Wilhelm I uwięził w twierdzy kostrzyńskiej. Od połowy XVI wieku była to jedna z najważniejszych warowni w Prusach, stojąca na drodze do Berlina. Rosjanie co najmniej dwa razy usiłowali ją zdobyć. Udało się to Armii Czerwonej dopiero w 1945 roku po dwumiesięcznych, krwawych walkach. Miasto zostało niemal doszczętnie rozbite. Nawet przylgnęło do niego określenie: Polska Hiroszima.

– **Odbiega Pan od tematu.**

– Niezupełnie, mam bowiem zamiar odpowiedzieć na pytanie: czy skazanego na pobyt w Kostrzynie księcia Fryderyka i piękną żonę Adama Fryderyka von Wreecha łączyły wyłącznie więzy przyjaźni, czy też coś więcej? Fontane pisze tak: „Panujące na ten temat poglądy nie są zbyt korzystne dla dobrego imienia damy; jednak rozmaite listy, które następca tronu kierował wtedy właśnie do pani von Wreech, a których treść stała się znana dopiero niedawno, będą być może w stanie zmodyfikować powszechnie przyjęte w tej sprawie poglądy.” Fontane staje w obronie Fryderyka, kiedy pisze: „Do Dąbroszyna kierowały księcia duchowe potrzeby. Poziom aspiracji intelektualnych oficerów garnizonu kostrzyńskiego mu nie wystarczała.”

– Czy później, gdy książę Fryderyk został królem Prus i zapisał się w historii jako twórca najpotężniejszego państwa Europy, nadal utrzymywał kontakt z panią na Dąbroszynie?

– Zanim Prusacy ponieśli klęskę w bitwach z Rosjanami pod Kijami i Kunowicami, 25 sierpnia 1826 roku stoczyli z nimi zaciekły bój pod Sarbinowem. To skraj włości dąbroszyńskich. Pod Sarbinowem zwyciężyli raczej Rosjanie, chociaż w tej sprawie trudno o jednoznaczną opinię, bo po jednej i drugiej stronie padły tysiące zabitych. Zaraz po wygranej-przegranej bitwie król przyjechał do Dąbroszyna, o czym świadczy list wysłany do pani von Wreech, która znalazła schronienie w jednym z sąsiednich majątków. Fryderyk II pisał: „Madame! Po bitwie w dniu 25 udałem się tutaj i znalazłem na miejscu ogromne zniszczenia. Może być Pani pewna, że uczynię wszystko, co możliwe, aby ratować to, co jeszcze ratować można. Wojsko moje stanęło przed koniecznością zaprowiantowania się tu, w Dąbroszynie, a jeśli nawet przykre położenie, w jakim się znajduję, czyni niemożliwym powetowanie całej straty, jaką wrogowie przede mną tu spowodowali, to przynajmniej nie chcę, aby się nazywało, że przyczyniłem się do ruiny osoby, w stosunku do której mam obowiązek uczynić ją szczęśliwą.”

– Zdaje się, że Fryderyk Wielki więcej nie zajrzał do Dąbroszyna.

– Na ten temat kronikarze milczą. Na pewno odbierał listy od pani von Wreech i na pewno na nie odpowiadał.

– Matkę, czyli Luizę von Wreech coś duchowego łączyło z królem. Jej syn Ludwik Aleksander był przyjacielem księcia Henryka Pruskiego, brata Fryderyka Wielkiego.

– Ludwik Aleksander nie miał potomstwa, w ten sposób gniazdo rodowe przekazał siostrzeńcowi Bogusławowi Fryderykowi von Dönhoffowi. Ponieważ i on nie doczekał się syna, córkę Rozalię Ulrikę wydał za mąż za Hermanna von Schwerina. Tą drogą Schwerinowie weszli w posiadanie dóbr dąbroszyńskich, którymi zawiadywali aż do ostatniego dnia stycznia 1945 roku. Zawiadywali i je wzbogacali, pamiętając, aby rezydencja była chlubą rodziny i państwa.

– Najważniejsza w pałacu była sala przodków, w której kolejni gospodarze dóbr zawieszali portrety swoich poprzedników, malowane przez najwybitniejszych pruskich i francuskich mistrzów pędzla. Może były tam dzieła Wojciecha Kossaka, który tworzył w Berlinie i tam namalował *Bitwę pod Sarbinowem*?

– Zdaniem Fontanego po wejściu do sali przodków oczy gościa zatrzymywały się na ogromnych rozmiarów portrecie Jana Adama von Schöninga, pogromcy armii tureckiej pod Budą, i na zawieszonym obok tej samej wielkości wizerunku jego żony otoczonej wianuszkami dzieci. Salę zdobiły trzy podobizny Luizy Eleonory von Wrech, w której, nie ma co tego ukrywać, kochał się następca tronu pruskiego Fryderyk. Były tam też trzy portrety jej męża, generała Adama von Wreecha. Na ścianach wisały również obrazy przedstawiające osoby pośrednio związane z rezydencją, na przykład ministra Euzebiusza von Brandta i jego żony. Temu, co się działo w pokoju bilardowym ze ściany przypatrywali się Fryderyk Wielki i jego brat Henryk Pruski. Ten pokój zdobiło malowidło przedstawiające zamek w Cöllin nad Sprewą, najdawniejszą siedzibę Hohenzollernów. Wypada dodać, że na ten obraz zwrócił uwagę Fryderyk Wilhelm IV, gdy w 1845 roku był z wizytą w Dąbroszynie. Król kazał sporządzić jego kopię, która trafiła do Muzeum Marchijskiego w Berlinie.

– Ogromną wartość historyczną i kulturową ma kościół pod wezwaniem Świętego Józefa, ustawiony w niewielkiej odległości od pałacu.

– Obecny kościół niewiele różni się od dziesiątków podobnych budowli z początku XIX wieku. Powstał jako świątynia ewangelicka

dla mieszkańców rezydencji i wsi. Z kulturowego punktu widzenia najciekawsze jest to, czego nie widzą wierni obecnie uczestniczący w mszach rzymskokatolickich. W głównej nawie za ścianą postawioną współcześnie jest jedno z najwybitniejszych dzieł brandenburskiego baroku. Badacz dziejów Nowej Marchii Zdzisław Linkowski twierdzi, że „czegoś takiego nie ma nawet w Berlinie”. Chodzi mu przede wszystkim o sarkofagi i pomniki nagrobne Jana Adama von Schöninga i jego żony Joanny oraz alabastrowe figury, będące personifikacją Miłości i Sprawiedliwości. W podziemiach kościoła są dwie krypty, w których złożono doczesne szczątki kolejnych gospodarzy dąbroszyńskiego gniazda. Warto dodać, że z niektórymi utrzymywał kontakty biskup Ignacy Krasicki, który jako rządca diecezji warmińskiej po pierwszym rozbiorze był poddanym pruskim.

– Trzecim świadkiem znakomitej przeszłości dóbr dąbroszyńskich jest przypałacowy park.

– To arcydzieło umysłu ludzkiego wprawdzie nie dorównywało parkowi Mużakowskiemu w Łęknicy i Bad Muskau, dziś rozdzielonego graniczną Nysą Łużycką, ale w Nowej Marchii nie miało sobie równego. Zwiedzającego dąbroszyński park przede wszystkim zaskakiwała zgromadzona w nim roślinność i rzeźby. Niestety, nie wszystkie dzieła przyrody i ludzi były tak mocne, aby nie dać się niszczącej sile czasu oraz wandalom. W parku górnym, wspinającym się po skarpie wzdłuż drogi do Sarbinowa, jeszcze niedawno stała Świątynia Zofii z bogatym księgozbiorem i czytelną. Na szczęście pozostała sąsiednia Świątynia Cecylii, błagająca o poszanowanie i remont. Architektura parku dolnego, gdzie stoi pałac i kościół, była podporządkowana mieszkańcom rezydencji i gościom. Do Dąbroszyna często przyjeżdżali berlińscy malarze, rzeźbiarze, pisarze a to po nasycone żywicą i wilgocią powietrze, a to jako przyjaciele i znajomi gospodarzy, a to po natchnienie.

– Czy je znajdowali?

– O, tak. Paul Haacke napisał monografię marszałka polnego Jana Adama von Schöninga. Utwór sceniczny dotyczący flirtu następcy tronu pruskiego z Luizą Eleonorą von Weerech wyszedł spod pióra Adalberta Luntowskiego. Urodzony w Spielgelberg, czyli w Pożrzadle koło Świebodzina Fedor von Zobekltitz opublikował

literacki reportaż z Dąbroszyna w almanachu, ilustrowany rysunkami i fotografiami Dorothe'y Kauer. Studium porównawcze o dwu marchijskich kobietach, które odegrały ważne role w życiu pruskich królów, czyli o Luzie von Wreech i Wilhelminie von Lichtenau, ogłosił Max Rehmann. Pani von Wreech była też bohaterką pracy analitycznej Ulricha von Schwerina. Nie wspominam o drobniejszych publikacjach, których było wiele w regionalnej prasie i książkach dotyczących powiatu landsberskiego.

– Wróćmy do parku. Co go odróżniało od innych tego rodzaju miejsc w Nowej Marchii?

– W parku było bardzo dużo architektury ogrodowej. Przed wejściem głównym do pałacu rozciągał się ogromny trawnik, to na nim stanął pomnik Wiktorii dłuta Chrystiana Raucha, wzniesiony w setną rocznicę koronacji Fryderyka II Wielkiego. Mam na myśli tego samego artystę, który w 1841 roku wyrzeźbił Mieszka I i Bolesława Chrobrego dla katedry poznańskiej. W parku stał także obelisk ku czci brata króla, księcia Henryka Pruskiego, zaprzyjaźnionego z synem pani Wreech. Był tam również pomnik, „który wystawił hrabia Ludwik Wreech, upamiętniając swego nauczyciela Fahndroffa, który 24 sierpnia 1758 roku został zamordowany przez plądrujących Rosjan i zostawiony pod drzewem w parku”. Pomniki i tablice pamiątkowe spacerujący po parkowych alejkach napotykał co kilka kroków.

– I ja kilka razy oglądałem, niestety, zaniedbany park. Zatrzymałem się przed ogromnymi drzewami, które nie poddały się ani niszczącemu przyrodę czasowi, ani wandalom.

– Przypałacowy park, w założeniu arkadyjski, przyciągał przyjezdnych, szczególnie z pobliskiego Kostrzyna, którzy lubili tu wypoczywać. Oprócz dębów szypułkowych czy pospolitych lip i klonów, w parku rosły jesiony wyniosłe, a nawet rzadko spotykany miłorząb japoński. Niestety, tak jak dziś, również i w dawnych czasach dochodziło do wandalizmu. Dlatego pod koniec XIX wieku ogrodnik dworski za zgodą hrabiego Schwerina zamknął park dla zwiedzających. Warto dodać, że tamtejsza szkółka drzew i krzewów nie miała sobie równej w Nowej Marchii. W 1905 roku na wystawie w Düsseldorfie ogrodnik dąbroszyński dostał brązowy medal za zestaw roślin.

– Po zakończeniu wojny gospodarstwa Niemców wysiedlonych z Dąbroszyna przeszły w ręce osadników wojskowych i rodzin przywiezionych z kresów wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej. Kto został gospodarzem pałacu, tej wyjątkowej budowli przy królewskim trakcie?

– Po żołnierzach pałac zajął Państwowy Urząd Repatriacyjny. Wracający do kraju byli przymusowi robotnicy, którzy przekraczali granicę w Kostrzynie, w Dąbroszynie otrzymywali niezbędne dokumenty i skromniutki zasiłek. Tu też była noclegownia i stołówka, niestety, nie dająca sobie rady z tłumem repatriantów. Proszę sobie wyobrazić niemal czterdzieści tysięcy wynędzniałych, głodnych, obdartych ludzi, którzy przewinęli się przez pałac w ciągu dwu lat. Gdy urząd repatriacyjny zakończył swoją misję, zaproponowałem, aby pałac przejęli plastycy i urządzili w nim dom pracy twórczej, lecz oni upatrzyli sobie mniejszą budowlę w Murzynowie koło Skwierzyny. Kolejnym kandydatem na gospodarza była opieka społeczna, potem związki zawodowe. Na szczęście dla pałacu w 1950 roku powstały państwowe gospodarstwa rolne, które na parterze miały swoje biura, a na piętrze mieszkali robotnicy.

– **Panie wojewodo, Pan uważa to za szczęście? Przecież pegeery zdewastowały nie tylko ten pałac, ale i niemal wszystkie podobne budowle, pozostawione przez niemieckich właścicieli.**

– Proszę wziąć pod uwagę, że w kraju zniszczonym wojną nie było lepszych kandydatów na gospodarzy takich rezydencji szlacheckich jak ta w Dąbroszynie, jak w Dzieduszycach Starych, w Kiełpinie, w Stanowicach, w Sosnach, jak dwory w Gralewie, Lubnie, Wojciszczach. W powojennej polityce prym wiodło przekonanie, że są to ziemie odzyskane. Piastowskie. Że trzeba zatrzeć ślady niemieckiej obecności. Politycy wołali: byliśmy, jesteśmy, będziemy! Zniszczone wojną państwo było biedne. Na bieżącą konserwację pałacu w Dąbroszynie brakowało pieniędzy, mimo to zmieniający się dyrektorzy pegeeru na miarę swoich umiejętności i możliwości dbali o budynek. Więcej strat powstało w parku. Najlepiej zachował się kościół.

– **A Pan jako kierownik ekspozytury urzędu wojewódzkiego nie ma sobie nic do zarzucenia?**

– Jak pan wie, pochodzę z Wielkopolski, uważanej za gospodarną, dbającą o pamiątki przeszłości. Niestety, jako administrator odpowiedzialny za Ziemię Lubuską żyłem w niezwykle trudnym ideologicznie czasie. Bywało, że stawałem okoniem wobec decyzji polityków. W 1948 roku zostałem wyrzucony z Polskiej Partii Robotniczej, bo okazałem się nie tylko „wrogiem klasowym”, ale i wykazałem „wrogą postawę wobec klasy robotniczej”. Przestałem być włodarzem regionu dlatego, że popierałem „wszędzie wrogi kler”.

– U progu Trzeciej Rzeczypospolitej, gdy zostały zlikwidowane pegeery, pałac przejęła gmina Witnica i rozpoczęła jego remont. Miała tu powstać siedziba euroregionu Pro Europa Viadrina. Nie wyszło. Teraz władze gminy czekają na kogoś z grubym portfelem, kto zamieni pałac na hotel i centrum konferencyjne.

– Oby ten ktoś szybko się pojawił. Fontane w zakończeniu swojej opowieści o Dąbroszynie napisał: „Są w Marchii pałace, z których wywodzili się sławniejsi feldmarszałkowie niż Schöning, piękniejsze kobiety niż pani von Wreech i lepsi poeci niż Ludwig Wreech lub hrabia Hermann Schwerin, ale nie ma żadnego dworu wiejskiego, który jak Dąbroszyn, przez sześć pokoleń pozostałby ciągle taki sam w świadomym uprawianiu i chronieniu różnorakich sztuk.”

– Dziękuję za zajmującą rozmowę.

Lubuszenie na szczytach władzy

Wśród polskich i niemieckich polityków niewielu ma lubuskie korzenie. Najbardziej znanym jest zapewne właściciel dóbr w Pförten (pol. Brody) Henryk Brühl, który w 1737 r. został premier-ministrem w rządzie saskim Augusta III. W Bledzewie urodził się Jan Dekert, w 1789 r. wybrany na prezydenta Warszawy. Z Gubina pochodził Wilhelm Pieck, w latach 1949-1960 prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Szprotawską metrykę ma Klaus Hänsch, w 1994 r. wybrany na przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. W latach 1983-1985 zielonogórzanin Henryk Stawski był członkiem Rady Państwa PRL. Tekę ministra kultury w rządach Piotra Jaroszewicza i Edwarda Babiucha objął Zygmunt Najdowski, który w latach 1973-1974 mieszkał w Zielonej Górze. W tych samych rządach wiceministrem zdrowia był zielonogórzanin Stanisław Gura. Krótko gabinet wiceministra przemysłu lekkiego w rządzie Piotra Jaroszewicza zajmował Tadeusz Wieczorek, w latach 1957-1969 mieszkał w Zielonej Górze.

Bez wątplenia największą karierę polityczną zrobił mieszkający w Zielonej Górze Józef Zych. 3 marca 1995 r. został wybrany na marszałka Sejmu, czyli drugą osobę w państwie. Dwukrotnie był wybierany na wicemarszałka tej izby parlamentu. Gdy skończyła się kadencja prezydenta Lecha Wałęsy, a prezydent-elekt Aleksander Kwaśniewski jeszcze nie został zaprzysiężony, 23 grudnia 1995 r. przez kilka godzin pełnił obowiązki głowy państwa. 26 października 2005 r. na marszałka Sejmu posłowie wybrali urodzonego w Gorzowie, absolwenta tamtejszego liceum ogólnokształcącego Marka Jurka. Wicemarszałkiem Senatu w 2001 r. została zielonogórzanka Jolanta Danielak.

11 listopada 2005 r. na premiera, czyli czwartą osobę w państwie Sejm powołał gorzowianina Kazimierza Marcinkiewicza. Urząd ministra gospodarki w rządzie Hanny Suchockiej sprawował Wacław Niewiarowski z Gorzowa. W 2007 r. tekę ministra pracy i polityki społecznej w rządzie Donalda Tuska objęła mieszkająca w Zielonej Górze Jolanta Fedak.

Ryszard Kołodziej był wiceministrem rolnictwa w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Premier Hanna Suchocka na stanowiska podsekretarzy stanu powołała gorzowian: Kazimierza Marcinkiewicza

w resorcie edukacji narodowej i Grażynę Sroczyńską-Andrzejewską jako pełnomocniczkę rządu ds. osób niepełnosprawnych w resorcie pracy i polityki społecznej. W rządzie Jerzego Buzka wiceministrami byli zielonogórzanie Jarosław Barańczak – w resorcie gospodarki i Marian Miłek – w resorcie skarbu państwa. W rządzie Leszka Millera urzędy wiceministrów sprawowali: administracji i spraw wewnętrznych – zielonogórzan Andrzej Brachmański i środowiska – Krzysztof Zaręba, w latach 1988-1991 wojewoda gorzowski. Pocho-
dzący z Gorzowa Piotr Styczeń był wiceministrem transportu i budownictwa w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza. W rządzie tego samego premiera i Jarosława Kaczyńskiego urząd wiceministra pracy i polityki społecznej sprawowała Elżbieta Rafalska z Gorzowa. Gorzowianin Marek Surmacz był wiceministrem administracji i spraw wewnętrznych w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Na wiceministrów premier Donald Tusk powołał: gorzowianina Piotra Stycznia – resort infrastruktury i zielonogórzan Waldemara Sługockiego – resort rozwoju regionalnego oraz Marka Twardowskiego – resort zdrowia.

W 2006 r. Kazimierz Marcinkiewicz pełnił obowiązki prezydenta Warszawy.



*Sługa Boży ks. bp dr Wilhelm Pluta – portret pędzla Tadeusza Stachowicza –
reprodukcja z pracy „Zatroskany Pasterz”, Poznań 2001*

Ks. bp Wilhelm Pluta

Urodził się 9 stycznia 1910 w Kochłowicach (dziś dzielnica Rudy Śląskiej), zmarł 22 stycznia 1986 r. w wypadku samochodowym w Przetoczniczy koło Krosna Odrzańskiego. Ukończył studia teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, tam też w 1949 r. obronił rozprawę doktorską. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1934, a sakrę biskupia przyjął w 1958 r., kiedy został rządcą ordynariatu gorzowskiego. Potem był administratorem podległym bezpośrednio Stolicy Apostolskiej, a od 1972 r. ordynariuszem diecezji gorzowskiej. Napisał m.in. książki *W trosce o życie wewnętrzne*, *Ascetyka dla świeckich*. Od 2001 r. trwa jego proces beatyfikacyjny.

RAJ MATKI BOSKIEJ

Rozmowa z ks. bp. Wilhelmem Plutą,
ordynariuszem diecezji gorzowskiej, sługą Bożym

– Ci którzy lepiej poznali Księdza Biskupa, mam na myśli choćby księdza doktora Andrzeja Brenka, autora książki *Zatroskany Pasterz*, twierdzą, że Eminencja powinien należeć do wspólnoty zakonnej cystersów.

– Dlaczego akurat do cystersów?

– Ich zdaniem Ksiądz Biskup w swoim ziemskim żywocie postępował wedle cysterskiej zasady: *Ora et labora*. Czyli modlił się i pracował.

– Przyznam się panu do czegoś, o czym rzadko wspominają moi biografowie. Otóż po ukończeniu szkoły średniej zapisałem się na studia w Akademii Górniczej w Krakowie. Uczyniłem to pod wpływem ojca, który był sztygarem w kopalni Wirek. Jednak w 1929 roku na prośbę mojej kochanej mateńki, niezwykle pobożnej i prawej kobiety, przeniósłem się na teologię. Z urodzenia jestem Ślązakiem, czyli jak coś postanowię, to wszelkimi siłami staram się robić to najlepiej jak potrafię. A coś innego ksiądz powinien robić, jeśli nie rozumieć wiernych i pomagać im, pracować dla dobra Kościoła i modlić się do Boga?

– Autor poufnej charakterystyki Księdza Biskupa jako ordynariusza gorzowskiego, przygotowanej przez urzędnika

wydziału do spraw wyznań Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze twierdził, że „Biskup Pluta nie ma nałogów. Będąc proboszczem grał chętnie w karty z dobranym towarzystwem”.

– Nic w tym złego. W inne dni nie miałem czasu, ale wieczorami w soboty grałem z przyjaciółmi i znajomymi najczęściej w skata. To najpopularniejsza na Śląsku gra w karty. Nie tylko grałem w karty, ale i, bywało, wypijałem kieliszek wina czy kufelek piwa. W miłym towarzystwie.

– Ów urzędnik twierdzi, że nawet wobec swoich pomocników w kurii diecezjalnej Ksiądz Biskup udawał świętoszka. „Bp Stroba w ścisłym gronie kpi czasem z takiego zachowania się bpa Pluty, a nawet w jego obecności, czego ten nie spostrzeża lub udaje”.

– Czyż z tego powodu miałem się gniewać na biskupa Strobę albo robić mu wymówki? Na duchownego czekają te same ziemskie pokusy, co na każdego świeckiego. Większość księży ma identyczne wady jak większość mężczyzn. Jako ordynariusz nie różniłem się od sufraganów: biskupa Stroby, biskupa Sochy, biskupa Jeża. Proszę pana, jako mieszkaniec Ziemi Lubuskiej nie różniłem się od przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Jana Lembasa. Z woli Pana Niebieskiego ukończyłem studia teologiczne i zostałem księdzem, biskupem gorzowskim.

– Jeszcze jedno stwierdzenie ze ściśle poufnej charakterystyki. „Bp Pluta nie zadawała się obecnym stanowiskiem, liczy na dalsze awanse, stąd cechuje go bezwzględność środków i podporządkowanie całej swej działalności osobistym ambicjom”.

– Zostając biskupem i rządcą największej w Polsce administracji kościelnej w Gorzowie, osiągnąłem bardzo dużo. Dziękowałem Bogu, że mnie wybrał na ten urząd. Kim jeszcze mogłem zostać? Arcybiskupem w Poznaniu czy Wrocławiu, kardynałem w Krakowie albo w Warszawie i Gnieźnie? Może tak. A może i prymasem Polski albo watykańskim ministrem czy przewodniczącym kongregacji w Stolicy Apostolskiej? To nic nagannego, jeśli człowiek w ogóle, a ksiądz szczególnie stara się sumiennie pracować, służąc Bogu,

Kościółowi i diecezjanom. Przecież uczciwa, ofiarna służba nikomu nie przynosi ujmy. Przeciwnie, jest godna pochwały, a nie kpiny, jak uczynił ów urzędnik, autor charakterystyki.

– Skrupulatny kronikarz historii Paradyża podaje, że w ciągu 26 lat kierowania Kościołem gorzowskim ponad 250 razy Ksiądz Biskup przekroczył bramę prowadzącą do historycznego klasztoru cystersów.

– Przyznam się panu, że oprócz tego, iż w murach dawnego opactwa znajduje się seminarium diecezjalne, było jeszcze coś, co zachęcało mnie do częstego odwiedzania tego miejsca. Najłatwiej odpowiedzieć, że dobry Bóg tak chciał. Ten sam dobry Bóg, który w 1230 roku odpowiedział wojewodzie poznańskiemu i jednocześnie kasztelanowi głogowskiemu Mikołajowi Broniszowi, aby sprowadził cystersów do Gościkowa i podzielił się z nimi swoim majątkiem. Proszę pana, to miejsce w pobliżu jeziora Paklicko Wielkie, na wyniosłości pośród nizin, ma szczególną siłę przyciągania. Nie uznaję czarów ani magii, ale najprościej jednak wytłumaczyć moje częste pobyty w Paradyżu, nazywając go miejscem magicznym. Jest to miejsce niezwykle tak dla Kościoła, jak i każdego człowieka bez względu na to, czy wierzy w Boga czy ma Bogów cudzych przed Nim.

– Nie chce mi się wierzyć, że wojewoda Bronisz z tego właśnie powodu wskazał to miejsce, gdzie mnisi powinni postawić klasztor.

– Opactwo w Gościkowie powstało jako pierwsze na tej ziemi, przed opactwem w Zemsku, założonym przez mnichów z łżyckiego Dobrego Ługu (Doberlugu), na początku XIV wieku przeniesionym do pobliskiego Bledzewa, i przed opactwem w pobliskiej Obrze. Nie było pierwsze na polskim terytorium, bo już istniały słynne opactwa cysterskie, na przykład, w Kołbaczu na Pomorzu Zachodnim, założone przez zakonników z Esum na duńskiej Zelandii, w Trzebnicy na Dolnym Śląsku, założone przez mniszki z bawarskiego Bambergu.

– Nie wyjaśnił Ksiądz Biskup, dlaczego cystersi wybrali Gościkowo na swoją siedzibę.

– W sporządzonym po łacinie dokumencie fundacyjnym jest wymieniona wieś Gastecove jako miejsce budowy opactwa. Jest też

mowa o innych wsiach między Śremem a Książem, które wydzielił wojewoda Bronisz na rzecz klasztoru. Gastecove to Gościkowo położone mniej więcej w połowie drogi między brandenburskim Lehninem w pobliżu Poczdamu a wielkopolskimi wsiami, stanowiącymi uposażenie nowego klasztoru. Opat cystersów z Lehnina był tym, który obok wojewody Bronisza i jego brata Dionizego złożył swój podpis na dokumencie fundacyjnym. Lehnińscy mnisi zobowiązali się do założenia opactwa w Gościkowie i krzewienia wiary chrześcijańskiej nad środkową Odrą.

– Czy była taka potrzeba, skoro już istniała diecezja lubuska?

– Proszę pana, przyjąwszy chrzest, Mieszko I i jego syn Bolesław zwany Chrobrym parli za Odrę, umacniając państwo Polan bliżej rubieży zachodnich. Dlatego już za pierwszych Piastów papież utworzył bardzo ważne dla Kościoła diecezje: kołobrzeską, wrocławską i gnieźnieńską. Za Bolesława Krzywoustego powstała diecezja wolińska, później przeniesiona do Kamienia Pomorskiego, i lubuska w zaodrzańskim Lubuszu. Pierwszym Piastom chodziło o to, aby religia chrześcijańska dotarła do ludności słowiańskiej po obu stronach Odry. Sto lat później, kiedy władzę nadal sprawowali ich piastowscy następcy, na Zachodzie, jak mawiał pewien polityk rodem z moich stron, Brandenburgia rosła w siłę i parła na wschód. To był początek tego, co przeszło do historii jako *Drang nach Osten*. Polscy władcy starali się nie ustępować, ale i zdawali sobie sprawę z konsekwencji naporu, dlatego przesuwali terytorium państwa bardziej na wschód.

– Mimo że za Piastów Odra jeszcze wyznaczała granicę zachodnią, Ziemia Lubuska pierwsza dostała się w ręce Brandenbursów.

– Piastowie rozumieli, że swoją władzę mogą umocnić przy wsparciu Kościoła. A ponieważ tam gdzie pojawiali się cystersi, następował rozwój nauki, kultury, medycyny, rzemiosła, rolnictwa, władcy wybrali ich jako tych, którzy będą mieli wpływ na rozwój cywilizacyjny państwa.

– W opisie bitwy stoczonej pod Legnicą w 1241 roku znalazłem informację, że Mikołaj Bronisz i jego brat Dionizy byli na polu walki.

– Wedle Jana Długosza na drodze Mongołom, zwanym też Tata-rami, co można przełożyć na nasz język jako: z piekła rodem, pod Legnicą stanęły wojska chrześcijańskie, głównie polskie i niemieckie. Mimo że chrześcijanie ponieśli klęskę, bo zginęło wielu sławnych i bitnych rycerzy, wśród nich książę śląski Henryk Pobożny, Tatarzy zawrócili. Gdyby nie ta bitwa, być mogli opanować chrześcijańską Europę. Na polu bitewnym pod Legnicą padli obaj Broniszowie.

– **Wróćmy do średniowiecznego Gościkowa.**

– Dokładnie nie wiadomo, kiedy powstał pierwszy drewniany klasztor. Mogło to być zaraz po 1236 roku. Na pewno klasztor stanął na lewym brzegu Paklicy, skąd rozciąga się piękny widok na dolinę. Otrzymał łacińską nazwę Paradisus Sanctae Mariae, co po polsku tłumaczy się jako: Raj Matki Boskiej. Przez miejscową ludność łacińska nazwa została szybko spolszczona. Paradyż. I tak przeszła do historii.

– **Paradyż ma intrygującą, wręcz tajemniczą nutę. To słowo wydaje melodyjny dźwięk.**

– Słusznie. To też wyjaśnia, dlaczego tak lubiłem zaglądać do Paradyża. A ten krajobraz... Cystersi zawsze na swoje siedziby wybierali miejsca o wybitnych walorach krajobrazowych.

– **A dlaczego paradyską siedzibę zakonnicy nazwali Rajem Matki Boskiej?**

– Cystersi słynęli z kultu Bożej Rodzicielki. Ich liturgia ma charakter maryjny. W XIII wieku kapituły generalne zakonu uchwaliły, że wszystkie konwenty będą poświęcone Maryi. Na przykład, klasztor w niedalekim Bierzwniku otrzymał nazwę: Las Świętej Marii, w podgorzowskich Mironicach: Miejsce Nieba.

– **Domyślam się, że pierwsze zabudowania opactwa różniły się od tych, które dziś stoją w Paradyżu.**

– Jak wspomniałem, pierwszymi mieszkańcami Paradyża byli mnisi z brandenburskiego Lehnina. Na ich zlecenie murarze sprowadzeni z Doberlugu zaczęli stawiać pierwszą świątynię i klasztor. Trwało to bardzo długo. Zdaniem części badaczy, obiekty opactwa nigdy

nie powstały według pierwotnego planu. Na dodatek w 1633 roku uległy spaleniu i znowu trwała budowa opactwa. To, co dziś oglądają zwiedzający Paradyż, powstało po kolejnym pożarze w 1722 roku.

– Historycy piszą o barokizacji Paradyża?

– Stało się to po przedostatnim pożarze. W drugiej połowie XVII wieku budowle otrzymały barokowy wystrój. Z jednej strony cieszący oczy zwiedzających, z drugiej, wielka szkoda, że nie zachowały się obiekty wcześniej wzniesione i znajdujące się w nich dzieła sztuki sakralnej.

– Skoro pierwszymi mnichami byli zakonnicy z brandenburskiego Lehnina to i pewnie w Paradyżu panował duch niemiecki?

– W całej Europie cystersi stanowili zwartą wspólnotę. Wedle benedyktyńskiej reguły, zazwyczaj milczeli, więc ten duch niemiecki rzadko objawiał się w mowie. Językiem kościelnym była łacina, zatem wierni nie odczuwali specjalnego wpływu języka ojczystego mnichów na polskie zwyczaje.

– Czy klasztor paradyski należał do dużych zgromadzeń zakonnych?

– W chwili założenia opactwa mogło być kilku cystersów. Najwięcej, bo około czterdziestu, przebywało w jego murach w roku 1623. Potem ilość zakonników malała. W chwili likwidacji opactwa, co miało miejsce w 1834 roku, przebywało w nim siedemnastu cystersów, którym państwo pruskie zapewniło utrzymanie w pobliskich parafiach wiejskich. Kronikarze podają, że od powstania do likwidacji w klasztorze mieszkało 946 braci. Oprócz nich byli także konwersi, czyli ci, którzy nie składali ślubów wieczystych.

– Z czego opactwo się utrzymywało?

– W dokumencie fundacyjnym z 1230 roku jest mowa o uposażeniu klasztoru. Z biegiem lat jego majątek rósł w wyniku darowizn i zakupów. W połowie XVI wieku na dobra ziemskie paradyskich cystersów składało się prawie 31 tysięcy hektarów pól i cztery tysiące hektarów lasów w kluczu międzyrzeckim, świebodzińskim i śremskim. Obejmowały one trzydzieści wsi.

– Skąd pochodzili mnisi?

– W średniowieczu kandydatów do klasztoru nie brakowało. W zdecydowanej większości byli to najmłodsi synowie okolicznych rycerzy, chociaż i wielu mnichów pochodziło z dalszych ziem. Klasztor pozwalał na zdobycie umiejętności pisania i czytania, a na stare lata zapewniał dach nad głową.

– Jak wyglądało życie w średniowiecznym opactwie?

– Rytm życia był ustalony regułą zakonną. Dzień zaczynał się od pobudki o godzinie trzeciej i obowiązkowej modlitwy do czwartej. Potem mnisi mogli dalej się modlić, pracować albo spać do szóstej. Przed mszą z udziałem wszystkich mieszkańców klasztoru był czas przeznaczony na higienę osobistą. Zakonnicy nie nosili koszul, zakładali na swoje ciało białe habity z czarnym szkaplerzem, przepasane płóciennym pasem. Kolejne punkty w ich rozkładzie dnia to śniadanie i praca do południa, przerywana dźwiękiem dzwonów i wezwaniem do kościoła na modlitwę. Jedząc obiad w refektarzu, słuchali fragmentów pism religijnych, czytanych przez wyznaczonego zakonnika. Do wieczora czytali, potem znowu się modlili, a o siódmej zbierali się na wieczerzę. Przed snem jeszcze raz się modlili. W ciągu dnia spotykali się w kościele dziewięć razy. Oprócz obecności na codziennej mszy świętej uczestniczyli w nabożeństwach zwanych: matutinum, laudes, prima, tercia, seksta, nona, nieszpory i kompleta.

– Co jedli?

– Posiłki były monotonne, a pożywienie, do czego zobowiązywała reguła zakonna, musiało pochodzić z pracy rąk. Na śniadanie był chleb, ser, jabłecznik i piwo. Na obiad podawano rybę, jajka, warzywa i chleb. Na kolację zawsze była zupa. To jadłospis na dni niepostne. W postne, a tych w zakonie było dużo, nie podawano sera i jaj. Żadnego mięsa mnisi nie jedli. Białe pieczywo było przeznaczone dla gości, zakonnicy dostawali chleb z otrębami.

– Czy każdy mnich miał osobną celę?

– W pierwszym, drewnianym klasztorze była duża izba mieszkalna, w której przebywali wszyscy mnisi, wyłączając funkcyjnych. Po kolejnych przebudowach izby były coraz mniejsze, nigdy jednak

takie, aby każdy brat miał osobne pomieszczenie do swojej dyspozycji.

– **Rozumiem, że cystersi byli samowystarczalni.**

– W klasztorze każdy miał jakąś funkcję. Gdy jeden gotował posiłki, drugi przygotowywał zapasy na zimę, trzeci piekł chleb, czwarty tkał sukno i tak dalej. Proszę wziąć pod uwagę, że część zakonników przebywała poza murami klasztoru.

– **Czym się tam zajmowali?**

– Wedle reguły zakonnej cystersi mieli prowadzić proste i ubogie życie w ciszy i samotności. Z biegiem lat te pustelnicze zasady były łagodzone. Mnisi, którzy złożyli śluby wieczyste, sprawowali liturgię i posługi religijne na miejscu i w okolicznych parafiach. Oprócz braci zakonnych w klasztorze przebywali konwersi, którzy nie składali ślubów, ale wyrzekali się dóbr osobistych. Konwersów nie obowiązywały śpiewy chóralne, ponieważ ich zadaniem była praca fizyczna lub nadzorcza. Podlegali mistrzowi grangi, czyli temu, który zarządzał folwarkami. Podstawowym zadaniem jednych była więc modlitwa i służba Bogu, drugich praca i modlitwa. Działo się to wedle zasady: *Ora et labora*.

– **Powiedział Ksiądz Biskup, że na majątek paradyski składały się tysiące hektarów pól i lasów.**

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że utrzymanie tak wielkiego klasztoru pochłaniało ogromne pieniądze. Kosztowne były przebudowy i modernizacje obiektów, ich wyposażanie, zakup ksiąg, dzieł sztuki. Ponadto na własny koszt lub przy wsparciu wiernych opactwo wznosiło kościoły w okolicznych wsiach, na przykład, w Kaławie, Opalewie, Chociszewie. Pieniądze na te cele pochodziły z dochodów uzyskiwanych w majątkach należących do klasztoru.

– **Historycy przyjmują, że cystersi byli tą grupą społeczną, która przede wszystkim przyniosła postęp cywilizacyjny na ziemię polskie.**

– Nie tylko bracia zakonni i konwersi pracowali w folwarkach klasztornych. Podstawową siłę roboczą stanowili chłopci i rzemieślnicy z okolicznych wiosek. Część była na utrzymaniu klasztoru, część

pracowała za usługi świadczone przez zakon. Cystersi spiętrzali wodę w rzekach i jeziorach po to, aby koła młyńskie męły ziarno. Zakładali browary, ogrody warzywne i sady, winnice, przetwórczo owoców. Prowadzili nowoczesną hodowlę zwierząt i uprawę roli. Im się przypisuje wprowadzenie płodozmianu znanego jako trójpolówka, co z pewnością miało wpływ na wzrost wydajności w rolnictwie. Było to możliwe między innymi dlatego, że klasztory utrzymywały kontakty i wymieniały się doświadczeniami. Po drugie, zwierzchnicy prowadzili kontrolę i sprawdzali, czy opactwa przestrzegają tak reguł zakonnych, jak i zaleceń wydawanych przez agronomów, zootechników, medyków weterynaryjnych. Od nich uczyli się gospodarowania właściciele majątków, co przyczyniło się do podniesienia kultury rolnej w okolicy.

– Jak cystersi dbali o rozwój kultury duchowej?

– To jedno z podstawowych zadań cystersów, którzy starali się gromadzić w swoich bibliotekach wartościowe księgi. W Paradyżu od XV wieku istniała niemała i bardzo ważna biblioteka, zaliczana do największych w Polsce. Kiedy rząd pruski nakazał likwidację opactwa, ostatni przeor Karol Fałęcki przekazał fragment księgozbioru do biblioteki w Warszawie. Niestety, część rękopisów i starodruków z wielką szkodą dla kultury uległa rozproszeniu, część zaginęła, dlatego nie ma możliwości dokładnego opisania jej zbiorów. Po roku 1952, kiedy Paradyż stał się siedzibą Wyższego Seminarium Duchownego, udało się odbudować bibliotekę, obecnie jest w niej bowiem ponad 1300 woluminów starodruków, wśród nich najważniejsze dzieła reformatorów religijnych, za jakich uchodzą Marcin Luter i Jan Kalwin.

– Doskonałe organy i akustyka klasztornej kościoła przyciąga instrumentalistów i melomanów. Potwierdzają to odbywające się w Paradyżu festiwale muzyczne i koncerty z udziałem wybitnych artystów krajowych oraz zagranicznych.

– Teraz w kościele są organy z 1931 roku, powstałe w słynnej firmie Sauer-Walcker we Frankfurcie nad Odrą. Zastąpiły one wcześniejsze organy barokowe, których budowniczym był Wielkopoleśin Joachim Gotlob Peter. Po paradyskich cystersach pozostało wiele

znakomitych dzieł sztuki, mam na myśli, na przykład, wielki ołtarz z 1739 roku. Nad dawnym wejściem do kościoła w nawie południowej zachowały się fragmenty średniowiecznych fresków. W kaplicy południowej jest słynący łaskami i cudami obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, przekazany klasztorowi przez opata Zygmunta Czyżowskiego. W obejściu znajdują się dwa barokowe obrazy błogosławionego Wincentego Kadłubka. Pozostał nagrobek opata Marka Łentowskiego, który wcześniej był dworzaninem królów Zygmunta Wazy i Władysława IV...

– **Papież Benedykt XII nałożył na cystersów obowiązek nauki, co zapewne stało się ich najważniejszym zadaniem zakonu.**

– Stąd wywodził się najwybitniejszy przedstawiciel polskiej gałęzi zakonu w XV wieku, profesor Akademii Krakowskiej, który do historii nauki przeszedł jako Jakub z Paradyża. Do jego najważniejszych dzieł należą: *De bono morali et remediis contra peccata*, *De contractibus*, *Petitiones religiosorum pro reformatione sui status*, *Sermones de sanctis*. Spośród siedemnastowiecznych cystersów w dziejach opactwa zapisał się Stanisław Dobrowolski, który sporządził opis klasztoru paradyskiego *Semmina Paradissi*. Mnisi paradyscy studiowali przede wszystkim w Krakowie i Lipsku.

– **Kto kierował wspólnotą zakonną?**

– Najwyższą władzę miał opat, wybierany przez kapitułę opactwa. Jego uprawnienia były takie same jak kompetencje biskupa, tyle że na znacznie mniejszym terytorium. Spis 57 opatów paradyskich otwiera Henryk I, zamyka Tomasz d'Antici. Do 1537 roku opatami byli Niemcy, potem król Zygmunt Stary nakazał, aby opatami byli Polacy pochodzenia szlacheckiego, co doprowadziło do zatargu polsko-brandenburskiego. Urząd ten sprawowali wybitni myśliciele, teolodzy, administratorzy, doradcy królewscy. Zastępcą opata był przeor wyznaczony przez opata za zgodą konwentu. Opat i przeor zarządzali wspólnotą klasztorną przy pomocy oficjałów.

– **Oficjałów, czyli kogo?**

– Na przykład, zarządcą gospodarczym był cellarius, czyli szafarz, któremu podlegały folwarki, spichlerze, stawy rybne, młyny.

Bursarius był skarbnikiem, magister conversorum sprawował pieczę nad konwersami, a infirmarius opiekował się chorymi. Furtian miał klucze do furty klasztornej, pilnował porządku przy wchodzeniu i wychodzeniu z opactwa. On też dzielił chleb między ubogich, decydował, kto może wejść do klasztoru. Był także kantor, który intonował śpiew w kościele i regulował czynności klasztorne. Zakrystian dbał o kościół, utrzymywał w nim porządek i czystość. Mistrz nowicjatu wprowadzał kandydatów na mnichów w codzienne życie klasztoru, przygotowywał ich i nauczał.

– Ilu zakonników mieszkało w Paradyżu?

– Z jednych źródeł wynika, że opactwo paradyckie należało do grupy największych w Polsce, z drugich – że do średnich. Brak dokładnych informacji, ilu mnichów w poszczególnych latach żyło w klasztorze. Wiadomo, że w 1623 roku ich liczba nie przekroczyła 40, w 1772 – 23, w 1818 – 20. W chwili jego likwidacji, co stało się w 1834 roku, mury klasztorne opuściło 17 cystersów, wśród nich było ośmiu Polaków, pięciu Czechów i czterech Niemców.

– Po drugim rozbiorze Polski w 1793 roku Paradyż wraz z Wielkopolską znalazł się w zaborze pruskim.

– W 1810 roku władze pruskie nakazały konfiskatę majątku klasztornego rozrzuconego po okolicy, a potem powolną likwidację opactwa w Paradyżu. Do ostatecznej likwidacji klasztoru jako siedziby paradyckich cystersów doszło w 1834 roku.

– I co wtedy stało się z budynkami?

– Najpierw zajęło je Katolickie Seminarium Nauczycielskie dla młodzieży polskiej i niemieckiej. W 1922 roku gospodarzem budynków została Państwowa Szkoła Średnia, której absolwenci mieli prawo wstępu na uniwersytety. W roku wybuchu drugiej wojny światowej istniał tu Zakład Kształcenia Nauczycieli. Pod koniec wojny Rosjanie urządzili magazyn materiałów wybuchowych za murami poklasztornymi. Po nich na rok obiekty przejęła polska milicja. Kolejnym gospodarzem Paradyża stali się salezjanie, którzy prowadzili Zakład Wychowawczy dla chłopców, a w planie mieli utworzenie niższego seminarium duchownego. Gdy w 1952 roku w wyniku politycznych władz zaczęły się problemy z utrzymaniem Wyższego

Seminarium Duchownego w Gorzowie, zarządca administracji apostołskiej ksiądz infułat Zygmunt Szczęsny przełożył Wydział Filozoficzny do Paradyża. Dziewięć lat później w dawnym opactwie znalazł się także Wydział Teologiczny.

– **Przekazanie budynków pocysterskich seminarium duchownemu było chyba najlepszym rozwiązaniem problemu. Opactwo ma troskliwego gospodarza.**

– Należyte utrzymanie zabytkowych budynków wymaga ogromnego wysiłku ze strony Kościoła. Pomocy finansowej udziela państwo i samorząd województwa. Bardzo dużo pieniędzy pochłania konserwacja zgromadzonych w Paradyżu dzieł sztuki. Ma pan rację, że trudno o lepszego gospodarza tego historycznego miejsca niż kościelna wspólnota wiernych. Administracja diecezjalna i rektor seminarium starają się, aby dobra pozostawione przez cystersów służyły nie tylko Kościołowi, ale i też osobom oraz instytucjom świeckim.

– **Mówi się, że cystersi byli prekursorami zjednoczenia Europy.**

– Z pewnością pierwszym, który chciał zjednoczyć ziemie Europy łacińskiej, był Otton III, władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. W 1000 roku w drodze do Gniezna był witany przez Bolesława Chrobrego w podszprotawskiej Hławie. Otton III dążył do tego, aby zachodnia Europa składała się z królestw Italii, Galii, Germanii i Sklawinii. Po jego śmierci w tej sprawie niewiele się działo, nie licząc Kościoła, który jednoczył katolików. Dopiero po drugiej wojnie światowej na nowo odżyła idea zjednoczenia Europy. Odżyła i się powiodła.

– **Dziękuję za rozmowę.**

– Bogu Najwyższemu niech będą dzięki.

Lubuski szlak cysterski

Większość klasztorów i świątyń cystersi postawili w dzisiejszej zachodniej i północnej Polsce. Niektóre przetrwały wieki i służą Kościołowi katolickiemu, niewielka część popadła w ruinę. Przez te obiekty prowadzi szlak turystyczny, zwany cysterskim. Na Środkowym Nadodrzu wiedzie on przez:

Mironice, wieś w gminie Kłodawa, w powiecie gorzowskim

W 1300 r. osiedlili się tu mnisi z Kołbacza. W połowie XIV w. wzniesli klasztor, a po 1368 r. zbudowali kościół. Dobra zakonne były plądrowane w czasie wojny polsko-krzyżackiej w 1433 r. i polsko-czeskiej wyprawy do Nowej Marchii. Podczas wizytacji klasztoru w 1515 r. opat Walentyn Ludovici potwierdził całkowity upadek życia zakonnego. Ostatni opat Jan Kuna w 1539 r. przeszedł na luteranizm i został pastorem w Baczynie. Wtedy margrabia Nowej Marchii Jan Kostrzyński przeprowadził kasatę opactwa. Na jego majątku utworzył domenę państwową. Zabudowania poklasztorne przetrwały do pożaru w 1875 r.

Bledzew, dawniej miasteczko, dziś wieś gminna w powiecie międzyrzeckim

Właścicielami wsi w 1321 r. zostali cystersi z Zemska, którzy najpierw zbudowali klasztor, a około 1414 r. przenieśli tu swoją siedzibę. Na prośbę opata król Kazimierz Jagiellończyk nadał Bledzewowi prawa miejskie. W 1592 r. klasztor i kościół uległy spaleni. Odbudowywano je do początku XVII w. Do 1793 r. Bledzew był najbardziej na zachód wysuniętym miastem królestwa polskiego. Klasztor, na początku mający charakter niemieckiego, po sukcesach reformacji w Brandenburgii, zaczął się stawać polskim ośrodkiem katolickim. Wśród opatów bledzewskich było wielu wybitnych Polaków, m.in. dyplomata, poeta i dworzanin królów polskich Sebastian Grabowiecki, fundator nowego klasztoru i kościoła. Likwidacja opactwa miała miejsce w 1834 r. Wtedy rząd pruski przeprowadził licytację dóbr pocysterskich, nakazując rozebranie budynków pozostawionych przez zakonników. W kościele pw. Świętej Katarzyny, zbudowanym (przebudowanym) w latach 1881-1882, znajdują się pamiątki z czasów cysterskich, m.in. barokowa monstrancja z pozłacanego srebra z końca XVII w., srebrny wysadzany kamieniami relikwiarz

(pacyfikał) z 1716 r., paciżykał z wygrawerowanymi postaciami św. Barbary, św. Katarzyny i św. Józefa, drewniane, złożone na pulmencie świeczniki paschalne z przełomu XVII i XVIII w., srebrny złożony krzyż procesyjny z XVIII w., ampułki srebrne mszalne z tacą z początku XVIII w., na ich i na tacy są wtopione monety z 1588, 1607, 1690, 1696 r.

Rokitno, wieś w gminie Przytoczna, w powiecie międzyrzeckim
Za rządów opata bledzewskiego Kazimierza Opalińskiego przy miejscowym kościele najpierw osadzono siedmiu, potem dziewięciu zakonników, nad którymi pieczę sprawował superior. W wyniku tego probostwo rokitnickie zostało zamienione w prepozyturę klasztoru. W 1669 r. do miejscowego kościołka przeniesiono z Bledzewa słynący łaskami obraz Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej. Dziś wizerunek Madonny znajduje się w kościele, zbudowanym w pierwszej połowie XVIII w., niedawno podniesionym do rangi bazyliki mniejszej. Pamiątki po miejscowych i bledzewskich cystersach można odnaleźć w muzeum rokitniańskiego sanktuarium. W pobliżu bazyliki jest pocysterska kaplica Najświętszej Maryi Panny, powstała w 1758 r.

Stary Dworek – wieś w gminie Bledzew, w powiecie międzyrzeckim

W 1560 r. bledzewski opat Piotr III stał się właścicielem wsi. Tu pod koniec XVI w. zbudował rezydencję opatów, która na początku XVII w. spłonęła. Na jej miejscu w 1705 r. opat Józef Bernard Gurowski wybudował nową rezydencję. Po likwidacji klasztoru bledzewskiego, rezydencja stała się własnością prywatną. Zdewastowana przez ostatnich użytkowników, nie przetrwała do trzeciego tysiąclecia.

Zemsko, wieś w gminie Bledzew, w powiecie międzyrzeckim

Między 1232 a 1235 książę Władysław Odonic nadał cystersom dobra nad Ponikwią, którzy postawili klasztor. Ponieważ było to miejsce często zalewane przez rzekę, na początku XV w. cystersi przenieśli swoją siedzibę do Bledzewa. Część zakonników jednak pozostała w Zemsku do 1579 r. Obiekty klasztorne nie dotrwały do czasów współczesnych.

ŹRÓDŁA

- Ad Oderam fluvium*. Księga dedykowana pamięci Edwarda Dąbrowskiego, red. Bartłomiej Gruszka. Zielona Góra 2008.
- Katarzyna Adamek, Marian R. Świątek, *Żagań znany i nieznan*. Żagań 2002.
- Adam Barylski, *Profesor Walter Nernst – autor III zasady termodynamiki*. „Technika chłodnicza i klimatyzacyjna” 2005, nr 10.
- Maciej Borkowski, Andrzej Kirmiel, Tamara Włodarczyk, *Śladami Żydów*. Dolny Śląsk, Opolszczyzna, Ziemia Lubuska. Warszawa 2008.
- Grzegorz Jacek Brzustowicz, *Klasztory cysterskie w Bierzwniku, Pełczycach i Reczu*. Choszczno 1995.
- Janusz Chutkowski, *Dzieje Głogowa*. Legnica 1991.
- Zbigniew Czarnuch, *Trzy szkice do portretu Dąbroszyna*. „Trakt” 1992, nr 4.
- Zbigniew Czarnuch, *Witnica na trakcie dziejów*. Vietz am Wege der Geschichte. Witnica 2000.
- Edward Dąbrowski, *Wczesnośredniowieczny system obronny Krosna Odrzańskiego w świetle badań terenowych na tle kroniki Thietmara*. Krosno Odrzańskie 2009.
- Edward Derylak, *Per ardua ad astra*. Żagań 2009.
- Theodor Fontane, *Po tej stronie Odry*. Gorzów Wlkp. 2000.
- Anton Gill, *Wielka ucieczka*. Warszawa 2003.
- Ruth Henke, *Szczęśliwe lata*. Wspomnienia ostatniej mieszkanki Górnego Młyna w Bogdańcu. [Bogdaniec 2009.]
- Eberhard Hilscher, *Moi świebodzińscy krewni i polska dziewczyna*. Opowiadania i wiersze. Meine Schwiebuser Verwandten Und

- das polnische Mädchen. Erzählung Und Gedichte. Świebodzin 2002.
- Jerzy Horyń, *Historia Obozów w Świętoszowie*. Warszawa 1987.
- Jacek Jakubiak, *Żagańskie obozy jenieckie*. „Zeszyty Żagańskie” 2004, nr 4.
- Jacek Jakubiak, *Wielka ucieczka 60 lat później*. „Zeszyty Żagańskie” 2004, nr 5.
- Paweł Kacprzak, *Działania organów administracji państwowej w akcji wysiedlania i wyjazdach ludności niemieckiej z Polski w 1945 roku*. „Studia Lubuskie” 2010, tom VI.
- Stanisław Kowalski, *Zabytki Środkowego Nadodrza*. Katalog architektury i urbanistyki. Zielona Góra 1976.
- Kronika Thietmara*, red. Marian Zygmunt Jedlicki. Poznań 1953.
- Jarosław Kuczer, *Archiwum Herminy von Reuss*. Korespondencja rodzin Reuss, Schönaich-Carolath, Hohenzollern oraz Prittwitz und Gaffron w zbiorach WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze. Zielona Góra 2009.
- Zdzisław Linkowski, *Dąbroszyn sentymalny*. „Trakt” 1992, nr 4.
- Marlena Magda-Nawrocka, Tomasz Struk, *Krosno Odrzańskie przez wieki*. Territorio de Crosone. Krosno Odrzańskie 2005.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Sprotavia Civitas*. (Opowieści o dawnej Szprotawie). Szprotawa 1994.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Jan Strauss jr wystąpił w Zielonej Górze*. „Kalendarz Zielonogórski 1984”.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Brama. Krosno Odrzańskie ongiś*. Krosno Odrzańskie 1995.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Na tropach dawnej Zielonej Góry*. Opowieść o mieście. Zielona Góra 1993.
- Jerzy Piotr Majchrzak, ... *więcej niż życie*. (Dorota Talleyrand-Périgod i jej czasy). Żagań 2004.
- Tadeusz Malinowski, *Edward Dąbrowski – nestor zielonogórskich archeologów*. „Studia Zielonogórskie” 2005, nr 11.
- Zbigniew Miler, *Pastor Felix Hobus (1866 – 1941)* „Schliemann doliny Warty”, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1999, nr 6, tom 2.
- Jan Muszyński, *Krosno Odrzańskie. Przeszłość i teraźniejszość*. Warszawa–Poznań 1972.

- Niezwykli i tajemniczy ludzie Ziemi Lubuskiej*, red. Dariusz Chajewski. Zielona Góra 2010.
- Henryk F. Nowaczyk, *Chopin nad Sprewą*. „Ruch Muzyczny” 2007, nr 23.
- Henryk F. Nowaczyk, *Chopin nie grał w Sulechowie*. „Ruch Muzyczny” 1996, nr 1, 2.
- Leon Okowiński, *Chopin w Sulechowie. Mit czy fakt?* Sulechów 2006.
- Ryszard Pantkowski, *Gubin*. Gubin 1998.
- Tadeusz Sojka, *Sagan Befehl: fakty i dokumenty*. Zielona Góra 1986.
- Hieronim Szczegółka, *Koniec panowania piastowskiego nad środkową Odrą*. Poznań 1968.
- Rajmund Szubański, *Pięćdziesięciu z Żagania*. Warszawa 1987.
- Dariusz Wiczorek, *Poczet piastowskich książąt Śląska Lubuskiego*. Zielona Góra (brak roku wydania).
- Paweł Wiktorski, *Czas biegnie obok*. Warszawa 1980.
- Paweł Wiktorski, *Na koniec wzeszło słońce*. Warszawa 1985.
- Adam Zamoyski, *Chopin powściągliwy romantyk*. Kraków 2002.
- Zatroskany pasterz. Wilhelm Pluta biskup gorzowski (1910-1986)*. Der führsorgliche Hirte. Wilhelm Pluta Bischof von Gorzów (1910-1986). Oprac. ks. Andrzej Brenk. Poznań 2001.
- Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku*, red. Hieronim Szczegółka. Zielona Góra 1999.
- Jerzy Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, Bydgoszcz 2008.

www.chopin.pl (24 X 2010)

www.deszczno.pl (7 I 2011)

www.dw-world.de (29 XI 2010)

www.gazetalubuska.pl (3 VII 2010)

www.miesiecznikchemik.pl (28 XI 2010)

www.muzeum.zagan.pl (24 II 2010)

www.nernst.de (26 XI 2010)

www.otyn.pl (14 X 2010)

www.paradisus.pl (2 X 2010)

www.pl.wikipedia.org/wiki/Jan_II_Szalony (2 I 2011)

www.sulechow.pl (24 X 2010)

www.sztetl.org.pl (15 XII 2010)

www.umzagan.pl (24 II 2010)

www.wilhelmpluta.pl (15 X 2010)

ZAMIAST PODSUMOWANIA

- 24 marca 1000 – w grodzie Ilua (Ilwa, Iława) koło dzisiejszej Szprotawy Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III
- 10 listopada 1003 – koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Braćmi Międzyrzeczekimi
- 24 sierpnia 1109 – zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci jako zakładników
- 22 września 1234 – książę wielkopolski Władysław Odonic odstąpił Santok księciu piastowskiemu Henrykowi Brodatemu, a ten wznosił tu gród
- 9 kwietnia 1241 – bitwa pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny, nastąpił rozpad księstwa głogowskiego
- 20 kwietnia 1249 – książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem
- 1251 – powstało księstwo głogowskie
- 1254 – książęta wielkopolscy podarowali Brandenburgii północną część kasztelanii santockiej
- 1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim
- 19 stycznia 1279 – powstało księstwo żagańskie
- 1303 – pojawił się termin Nowa Marchia, oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej
- 28 lutego 1312 – pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako o mieście

- 1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
- 1343 – Kazimierz Wielki przyłączył Ziemię Wschowską do Wielkopolski
- 25 lutego 1363 – Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę zagańską Jadwigę we Wschowie
- 1385 – frankfurczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
- 31 marca 1454 – w Strzelcach sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
- 17 maja 1462 – odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
- 28 grudnia 1483 – ostatni piastowski władca Głogowa Jan II Szalony zrzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
- 1526 – Śląsk i południowa część środkowego Nadodrza przeszły w ręce Habsburgów austriackich
- 1537 – margrabia Johann von Hohenzollern przeniósł stolicę Nowej Marchii do Kostrzyna i rozpoczął budowę twierdzy
- 1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
- 1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
- 1742 – Prusy zajęły Śląsk
- 25 września 1758 – zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
- 12 sierpnia 1759 – pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
- 23 września 1901 – pastor Felix Hobus odkrył figurkę bogini z Deszczna, pochodzącą z 700-550 r. p.n.e.
- 29 maja 1946 – Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
- 15 sierpnia 1946 – Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
- 26 czerwca 1950 – powstało województwo zielonogórskie (duże)
- 1 czerwca 1975 – podział kraju na 49 województw, powstały województwa gorzowskie i zielonogórskie
- 24 lipca 1998 – Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało województwo lubuskie

28 września 2001 – pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, powstały z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej

1 maja 2006 – Polska została członkiem Unii Europejskiej

PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania opowiadań zebranych w tym tomie, tak i jak przy tworzeniu dwu poprzednich „kluczy”, ogromnej pomocy udzielili mi za przyjaźnieni znawcy dziejów Środkowego Nadodrza i miłośnicy regionu.

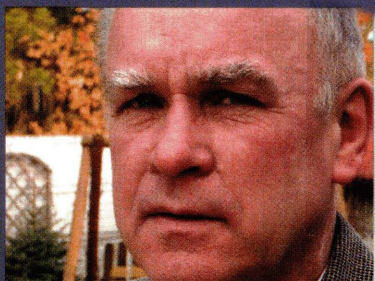
Za rady, odpowiedzi i wskazówki dziękuję historykom prof. dr. hab. Wiesławowi Hładkiewiczowi i prof. dr. hab. Czesławowi Osękowskiemu z Uniwersytetu Zielonogórskiego, zielonogórzanom dr Ewie Lukas-Janowskiej, dr. Andrzejowi Marcinkianowi, dr. Andrzejowi Toczewskiemu, dr. Mieczysławowi Wojeckiemu i Zygmuntovi Stabrowskiemu oraz Zbigniewowi Czarnuchowi z Witnicy i Andrzejowi Kirmielowi z Międzyrzecza. Za konsultację dziękuję ks. dr. hab. Andrzejowi Dragule z Instytutu Filozoficzno-Teologicznego im. Edyty Stein w Zielonej Górze. Jestem wdzięczny moim kolegom po piórze Edwardowi Derylakowi z Żagania, Eugeniuszowi Kurzawie z Wilkanowa i Jerzemu Szewczykowi z Zielonej Góry za wskazanie źródeł, a dr Krystynie Kamińskiej z Gorzowa za przypomnienie ważnych wydarzeń z dziejów subregionu gorzowskiego. Dziękuję prof. Czesławowi Grabowskiemu i jego współpracownikom z Filharmonii Zielonogórskiej za odpowiedzi dotyczące historii muzyki.

Specjalne podziękowanie składam Małgorzacie Zielińskiej z wydawnictwa Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez spostrzegawczości i pomocy której nie wszystkie błędy byłbym w stanie wychwycić. Dziękuję Emilii Ćwilińskiej za redakcję techniczną i przygotowanie składu książki oraz dozór nad jej powstawaniem. Igorowi Myszkiewiczowi dziękuję za pomysł i projekt okładki. Elżbiecie Maciejewskiej i Leszkowi Kani dziękuję za odpowiedzi i konsultacje.

Dziękuję tym Lubuszanom, z którymi wymieniałem uwagi na temat zdarzeń i postaci historycznych przedstawionych w książce.

SPIS TREŚCI

Bogini z Deszczna	7
Rozmowa z pastorem Feliksem Hobusem, archeologiem z zamiłowania	
Trojaczki krośnickie	19
Rozmowa z Edwardem Dąbrowskim, archeologiem	
Ostatni z rodu Piasta	33
Rozmowa z Janem II Szalonym, księciem żagańskim i głogowskim	
Orszak władców Śląska Lubuskiego	45
Rozmowa z Ireną Bierwaczonck, malarką	
Skazani na wieczną tułaczkę	57
Rozmowa z Tadeuszem Jasińskim, pisarzem historycznym i publicystą	
Pani klenicka mieszka w Otyniu	71
Rozmowa z Dorotą Talleyrand-Perigod, księżną żagańską	
Koncert, którego snadź nie było	83
Rozmowa z Fryderykiem Chopinem, kompozytorem i pianistą	
Nadodrzańskie żony ostatniego cesarza Niemiec	95
Rozmowa z dr. Martinem Klosem, filozofem i historykiem, współtwórcą zielonogórskiego muzeum	
Stary przyjaciel znad Warty	109
Rozmowa z Carlem Teikem, kompozytorem	
Noblista na emigracji wewnętrznej	123
Rozmowa z prof. dr hab. Walterem Nernstem, fizykiem i chemikiem, noblistą	
Ucieczka do wolności	135
Rozmowa z dr Pawłem Wiktorskim, jeńcem wojennym, lekarzem weterynarii, pisarzem	
Wyrwani z korzeniami	149
Rozmowa z Eberhardem Hilschrem, pisarzem, historykiem i badaczem literatury	
Gniazdo przy trakcie królewskim	163
Rozmowa z Florianem Kroenke, pierwszym wódcą lubuskim	
Raj Matki Boskiej	177
Rozmowa z ks. bp. Wilhelmem Plutą, ordynariuszem diecezji gorzowskiej, sługą Bożym	
Źródła	193
Zamiast podsumowania	196
Podziękowania	199



BIO-BIBLIOGRAFIA pisarza, redaktor
Za *Zmowę pułkowników* w 2000 r.
otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki.
Drugi klucz do bramy znalazł się wśród
książek nominowanych do tej nagrody

w 2010 r. Laureat nagrody redakcji „Studiów Zielonogórskich” w 2011 r.
Teksty drukuje m.in. w „Gazecie Lubuskiej”, miesięczniku „Puls”,
kwartalnikach „Pro Libris” i „Pegaz Lubuski”, w dolnośląskim
tygodniku „Nowy Casnik”.

www.alfred-siatecki.pl

Wywiady przeprowadzone z osobami, które swoją działalnością
zapisali się w dziejach ziem między Wartą i Odrą, autor z dużym
kunsztem uzupełnił dodatkowymi wiadomościami o wielkich
i lokalnych wydarzeniach historycznych. Pojawiają się postaci
władców, duchownych, naukowców, pisarzy, polityków, którzy dzięki
autorowi stają się bliscy czytelnikowi. Więź emocjonalna z miejscem
skąd pochodzimy, gdzie żyjemy stanowi niezwykle ważny dla każdego
element tworzący tożsamość lokalną i regionalną, a w jej odkrywaniu
pomocna będzie ta książka. To odkrywanie odnosi się także do samych
postaci i wydarzeń, autor bowiem umieścił w książce wiele mniej
znanych zdarzeń z dziejów regionu. Zachęcam do lektury zarówno
najmłodszych, jak i starszych czytelników, z pewnością będzie to
interesująca przygoda z historią regionu.

prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski
historyk, regionalista
Uniwersytet Zielonogórski

Patronat medialny:

MUSEION
STUDIA
ZIELONOGÓRSKIE

ISBN 978-83-88426-65-0